



Józef Jagodziński

Bunkry na ruinach

Szkice do historii

KL Stutthof – Außenlager Pölitz



IPN Szczecin



Józef Jagodziński

Bunkry na ruinach

Szkice do historii

KL Stutthof – Außenlager Pölitz

Józef Jagodziński

Bunkry na ruinach

Szkice do historii

KL Stutthof – Außenlager Pölitz

Wstęp, edycja i opracowanie tekstu: Paweł Knap

Współpraca przy edycji: Agnieszka Gorczyca, Michał Siedziako



Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Oddział w Szczecinie
Szczecin 2016

Recenzenci:

dr hab. Mirosław Golon
Elżbieta Grot

Redakcja i indeks osobowy:

Paweł Knap

Projekt graficzny okładki:

Iwona Lemirska

Korekta:

Agnieszka Gorczyca, Paweł Knap, Elżbieta Wilanowska

Skład:

Adrian Łaskarzewski

Druk:

Łódzka Drukarnia Dzielowa SA
90-215 Łódź, Rewolucji 1905 r. nr 45

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej –
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
Oddział w Szczecinie

Fotografia na okładce autorstwa Pawła Skubisza.
Zdjęcie przedstawia fragment drutu kolczastego przy ogrodzeniu
zachowanym na terenie dawnego obozu koncentracyjnego w Mścięcinie.

ISBN 978-83-65574-05-3

*Tym, którzy w kaźni KL Stutthof – Außenlager
Pölitz utracili życie, oraz tym nielicznym, którzy
w stanie krytycznym ocaleli – wspomnienia te
poświęcam.*

AUTOR

Spis treści

Paweł Knap

Wstęp 9

Józef Jagodziński

Bunkry na ruinach. Szkice do historii KL Stutthof – Außenlager Pölitz

Od autora 19

Rozdział I. W Stutthofie 23

Rozdział II. Pod Trzeszczynem 41

Rozdział III. W Mścięcynie 71

Rozdział IV. Droga donikąd 99

Rozdział V. Powrót 113

Suplement 149

Lilii Jagodzińska-Hamann

Posłowie 151

Indeks osobowy 157

Policka¹ filia Konzentrationslager² Stutthof³, powstała wiosną 1944 r. i do początku 1945 r. podlegała organizacyjnie obozowi macierzystemu (później przeszła pod zarząd obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen⁴, czego powodem była ewakuacja placówki w Sztutowie)⁵. Jej lokalizacja wynikała z potężnego zapotrzebowania na siłę roboczą w fabryce benzyny syntetycznej⁶ – Hydrierwerke AG Pölitz⁷, a robotników za niewielką opłatą mogli dostarczyć właśnie obozy koncentracyjne i jenieckie⁸.

Transport więźniów wyruszył ze Sztutowa pod koniec czerwca 1944 r. Maria Jezierska podaje, iż 600 więźniów przybyło na Pomorze 7 maja 1944 r. Data ta zapewne wynika

¹ Położenie geograficzne filii omówiono w dalszej części wstępu. Ze względu jednak na jej oficjalną nazwę, w niniejszej publikacji wielokrotnie pojawiać się będzie określenie wiążące obóz właśnie z Policami (Pölitz), a nie z Trzszczykiem (Trestin) czy później Mściciem (Messenthin). Police i Mścicino znalazły się w granicach administracyjnych Wielkiego Szczecina (Großstadt Stettin) 15 X 1939 r.

² Konzentrationslager – (niem.) obóz koncentracyjny, dalej: KL.

³ Obóz (początkowo Zivilgefängenenlager – obóz jeńców cywilnych, od października 1941 r. Sonderlager – obóz karny, od stycznia Konzentrationslager) Stutthof powstał w 1939 r. (pierwszy transport – ok. 150 Polaków zatrzymanych na terenie Wolnego Miasta Gdańska – trafił tam już 2 IX). Z niewielkiego obozu (ok. 3,5 tys. więźniów na 12 ha w 1940 r.) rozrósł się do potężnego obozu zagłady (ok. 57 tys. więźniów na 120 ha w 1944 r.), służącego eksterminacji Polaków, Żydów i przedstawicieli innych, łącznie ponad 40 narodowości. W styczniu 1945 r. rozpoczęła się piesza, a w kwietniu 1945 r. morska ewakuacja więźniów. Obóz macierzysty wyzwolony został 9 V 1945 r. Liczbę ofiar szacuje się na 65 tys. Zob. m.in. D. Drywa, *Zagłada Żydów w obozie koncentracyjnym Stutthof (wrzesień 1939–maj 1945)*, Gdańsk 2001; J. Grabowska, *Marsz śmierci. Ewakuacja piesza więźniów KL Stutthof i jego podobozów 25 stycznia–3 maja 1945*, Gdańsk 1992; E. Grot, *Rejs śmierci. Ewakuacja morska więźniów KL Stutthof 1945 r.*, Gdańsk 1993; M. Orski, *Niewolnicza praca więźniów obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939–1945*, Gdańsk 1999; M. Owsiniński, *Polscy więźniowie polityczni w obozie Stutthof 1939–1945*, Toruń 2001; *Stutthof. Hitlerowski obóz koncentracyjny*, red. D. Steyer, Warszawa 1988.

⁴ KL Sachsenhausen powstał w 1936 r. Do 1945 r. przez obóz przeszło ok. 200 tys. więźniów, połowa nie doczekała wyzwolenia, które nastąpiło 22 IV 1945 r. Po wojnie, do 1950 r., na jego terenie funkcjonował sowiecki obóz dla niemieckich jeńców wojennych.

⁵ B. Frankiewicz, *Praca przymusowa na Pomorzu Zachodnim w latach drugiej wojny światowej*, Poznań 1969, s. 105.

⁶ Plany produkcji benzyny syntetycznej miały na celu uniezależnienie Niemiec od importu ropy naftowej. Koncern IG Farbenindustrie pierwsze udane próby (w oparciu o metodę Friedricha Bergiusa, polegającą na wodnej destylacji węgla) przeprowadził w 1925 r. Dwa lata później ruszyła produkcja przemysłowa.

⁷ Fabryka benzyny syntetycznej – Hydrierwerke AG Pölitz (z udziałem koncernu IG Farbenindustrie) powstała na bazie zakładu Norddeutsche Mineralölwerke GmbH, który zajmował się regeneracją paliwa okrętowego. O jej lokalizacji zdecydowały także takie czynniki, jak bliskość ważnego szlaku rzeczno- i morza czy dobra komunikacja kolejowa z dostarczającym węgiel Śląskiem. J. Matura, *Chemia na usługach wojny*, „sedina.pl magazyn. Rocznik Miłośników Dawnego Szczecina” 2008, s. 46.

⁸ Prawdopodobnie stawki te wynosiły 4–6 marek za dzień pracy więźnia niewykwalifikowanego. M. Orski, *Przedsiębiorstwa SS i firmy prywatne – najemcy siły roboczej obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939–1945*, Gdańsk 2001, s. 37, 166, 266.

z błędu popełnionego przez jednego z relacjonujących wydarzenia świadków. Źródła niemieckie (a za nimi inni polscy autorzy), a także niektórzy byli więźniowie w swoich wspomnieniach, wskazują na 25–29 czerwca 1944 r.⁹ Transport trafił do prowizorycznego obozu letniego, znajdującego się w odległości jednego kilometra na północny wschód od fabryki, sąsiadującego z obozem karnym Hagerwelle¹⁰. Zakwaterowanych w obozie więźniów wykorzystywano zarówno do pracy w Hydrierwerke Politz, jak i do budowy właściwego obozu (zimowego) w Mscicinie, składającego się z ponad trzydziestu baraków wykonanych z płyt betonowych i osadzonych na trwałych fundamentach. Więźniów przeniesiono tam jesienią 1944 r.

Liczba więzionych w Policach wahała się od 800 w czerwcu, do 2,8 tys. w sierpniu 1944 r. Rozbieżne szacunki liczebności w literaturze przedmiotu (sięgające nawet 9 tys.) wynikają z wzięcia pod uwagę nie tylko więźniów filii KL Stutthof, ale i innych grup ulokowanych w sąsiedztwie. W obozie przebywali Polacy, Rosjanie, Litwini, Łotysze, Niemcy, Francuzi, Jugosłowianie i Grecy, pod koniec jego istnienia prawdopodobnie również Żydzi. Późniejszy znaczny spadek stanu liczbowego (ok. 2,4 tys. pod koniec 1944 r. i ok. 2 tys. w kwietniu 1945 r.) wiąże się m.in. z wysoką śmiertelnością wśród chorych i wycieńczonych pracą w fabryce¹¹.

Za to, co działo się na terenie polickiej filii obozu, przed władzami zwierzchnimi¹² odpowiadał komendant, któremu podlegała cała załoga. Pierwszym komendantem KL Stutthof – Außenlager Politz był SS¹³-Oberscharfuhrer¹⁴ Hans Kuhlmann¹⁵ (25 czerwca–5 sierpnia 1944 r.). Kolejnymi: SS-Hauptsturmfuhrer¹⁶ Ernst Sette¹⁷ (do 18

⁹ M. Jezierska, *Obozy w Policach*, „Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce”, t. XV, Warszawa 1965, s. 84–85; K. Dunin-Łasowicz, *Police*, Warszawa 1974, s. 52; M. Orski, *Filie obozu koncentracyjnego Stutthof w latach 1939–1945*, Gdańsk 2001, s. 307; por. J. Nowicki, *Od Stutthofu do Sandbostel*, „Przegląd Lekarski” 1968, nr 1, s. 158–159.

¹⁰ B. Waluk, *Obozy pracy przymusowej i karne obozy pracy w Policach k. Szczecina 1939–1945* [w:] *Z problematyki medycyny w hitlerowskich obozach koncentracyjnych*, Gdańsk 1971, s. 177–178. Hagerwelle był obozem karnym (niem. Straflager), który powstał w 1941 r. i podlegał szczecińskiej Gestapo. Stworzony został dla robotników przymusowych z Prowincji Pomorze. Więźniowie odbywali w nim kary od kilku dni do kilku miesięcy, m.in. za ucieczkę z miejsca pracy czy samowolne oddalenie.

¹¹ M. Orski, *Filie...*, s. 309; por. B. Frankiewicz, *op. cit.*, s. 106, M. Jezierska, *op. cit.*, s. 87.

¹² KL Stutthof i jego podobozы od 7 I 1942 r. podlegały Centrali Obozów Koncentracyjnych w Oranienburgu oraz Głównemu Urzędowi Administracyjno-Gospodarczemu SS i Głównemu Urzędowi Bezpieczeństwa III Rzeszy.

¹³ SS (niem. Schutzstaffel) – eskadra ochronna NSDAP (niem. Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei – Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników), utworzona w 1925 r. jako partyjna bojówka mająca pełnić funkcję osobistej ochrony wodza III Rzeszy, z czasem stała się zbrojnym ramieniem partii i największą organizacją w państwie. W 1946 r. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał SS za organizację zbrodniczą.

¹⁴ SS-Oberscharfuhrer – podoficerski stopień w SS, odpowiednik sierżanta.

¹⁵ Hans Kuhlmann – ur. 3 XII 1906 r. W 1941 r. członek 2 Kompanii wartowniczej w KL Stutthof, następnie (od 9 XI 1942 r. do 20 VI 1944 r.) komendant podobozу w Nadbrzeżu/Hopehill, komendant podobozу w Policach, komendant podobozу w Gdyni (16 X–9 XII 1944 r.), później ponownie w KL Stutthof. M. Gliński, *Załoga obozu koncentracyjnego Stutthof (1 IX 1939–9 V 1945)*, cz. II (K–Q), „Stutthof. Zeszyty Muzeum” 1985, nr 6, s. 104 (Gliński posługuje się imieniem Johannes).

¹⁶ SS-Hauptsturmfuhrer – oficerski stopień w SS, odpowiednik kapitana.

¹⁷ Ernst Sette – zastępcą kierownika Wydziału III w Sztapie Komendantury KL Stutthof (od 29 VI 1944 r. do 5 IV 1945 r.). M. Gliński, *op. cit.*, cz. III (R–Z wraz z uzupełnieniami), „Stutthof. Zeszyty Muzeum” 1987, nr 7, s. 216.

sierpnia 1944 r.) i SS-Untersturmführer¹⁸ Kurt Volkmann¹⁹. Załoga liczyła od 30 do 50 osób, głównie esesmanów, ale też żołnierzy Wehrmachtu²⁰ i Ukraińców z formacji pomocniczych²¹.

Równoległe funkcjonował więźniarski pion nadzoru. Wykorzystywanie więźniów do zadań związanych z działalnością administracji obozowej było jedną z charakterystycznych cech funkcjonowania obozów koncentracyjnych. Zdobycie określonej funkcji umożliwiało uzyskanie specjalnych przywilejów, chroniących często przed przypadkową śmiercią oraz poprawiających fizyczne warunki egzystencji. Funkcyjni nie stanowili jednak zwartej grupy. Wśród nich byli więźniowie wykonujący swoje obowiązki z nadgorliwością pozwalającą zaszerzegać ich do grona socjo- i psychopatów, ci, u których nastąpiło przewartościowanie dotychczasowych postaw społecznych i za cenę własnego życia gotowi byli wziąć udział w eksterminacji ludności, a także funkcyjni, którzy nie poddali się deprawacji środowiska obozowego i swoje stanowiska wykorzystywali do pomocy współwięźniom²². Choć wśród funkcyjnych w polickiej filii KL Stutthof dominowali niemieccy kryminaliści, stanowisko Lagerältester I²³ piastował Polak – Wacław Kozłowski²⁴. Jego zastępcą, jako Lagerältester II²⁵, został Erich Schamp²⁶.

Nad więźniami wszystkich podobozów KL Stutthof opiekę lekarską sprawował szpital placówki macierzystej. Niemal w każdej z filii znajdowało się ambulatorium lub izba chorych, zaopatrywane przez szpital obozowy w lekarstwa, opatrunki i narzędzia, oczywiście w minimalnych ilościach. Przebywali tam więźniowie z lżejszymi schorzeniami, wracający po kilku dniach leczenia do codziennych zajęć. Ciężko chorzy wysyłani byli do szpitala w Sztutowie, w ich miejsce przysyłano więźniów zdolnych do natychmiastowego podjęcia pracy²⁷. W Policach, prócz chorób typowych dla obozów koncentracyjnych,

¹⁸ SS-Untersturmführer – oficerski stopień w SS, odpowiednik podporucznika.

¹⁹ Kurt Volkmann – ur. 13 XI 1911 r. Członek Sztabu Komendatury KL Stutthof od 8 VIII 1944 r. (przybył z KL Majdanek). M. Gliński, *op. cit.*, cz. III..., s. 224. W przypadku wszystkich wymienionych komendantów por. A. Lasik, *Kartoteka członków załogi obozu koncentracyjnego Stutthof*, mps w zbiorach AMS.

²⁰ Wehrmacht – siły zbrojne III Rzeszy utworzone w 1935 r. wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego (w wyniku podpisanego 28 VI 1919 r. traktatu niemieckie siły zbrojne – od 1921 r. Reichswehra – nie mogły m.in. liczyć więcej niż 100 tys. żołnierzy wojsk lądowych, posiadać czołgów, samolotów bojowych, okrętów podwodnych i lotnictwa morskiego, obowiązywał również zakaz powszechnej służby wojskowej). W skład Wehrmachtu weszły siły lądowe (Heer), lotnictwo (Luftwaffe) i marynarka wojenna (Kriegsmarine).

²¹ M. Orski, *Filie...*, s. 309.

²² M. T. Frankowski, *Ludzie i bestie. Socjologiczne studium mikrostruktur społecznych niemieckiego obozu koncentracyjnego*, Warszawa 2003, s. 104–111.

²³ Lagerältester I – starszy obozu, któremu podlegali wszyscy więźniowie funkcyjni. Więzień pełniący tę funkcję zobowiązany był m.in. do przekazywania pozostałym funkcyjnym zleceń i rozkazów esesmanów. Na lewej ręce powyżej łokcia nosił czarną opaskę z napisem „LA I”.

²⁴ Wacław Kozłowski – ur. 1 IX 1903 r., więzień KL Stutthof nr 7029, w 1946 r. skazany na śmierć przez Sąd Okręgowy w Gdańsku w I procesie załogi KL Stutthof (25 IV–1 VI), wyrok wykonano.

²⁵ Lagerältester II – zastępca starszego obozu. Na lewej ręce powyżej łokcia nosił czarną opaskę z napisem „LA II”.

²⁶ Erich Schamp – ur. 13 IV 1901 r., więzień KL Stutthof nr 15859.

²⁷ M. Gliński, *Miejsce szpitala w systemie organizacyjnym obozu koncentracyjnego Stutthof i jego obsada personalna [w:] Z problematyki medycyny...*, s. 144.

takich jak flegmona²⁸, wszawica, świerzb, biegunka, czerwotka, tyfus, gruźlica czy zapalenie płuc oraz urazów, głodu i stanów skrajnego wyczerpania, personel szpitalny musiał się mierzyć z zatruciami przemysłowymi²⁹. Więźniowie, którzy potrafili przetrwać morderczy dzień pracy, wracali często oszołomieni oparami benzyny i farb syntetycznych czy oślepieni działaniem paku³⁰ na oczy. Lekarzem wyznaczonym do pracy w Policach był niejaki Heydecke³¹. Większość czasu przebywał on jednak w Szczecinie, a jego rola ograniczała się w praktyce jedynie do podpisywania dokumentów umożliwiających sporządzenie aktów zgonu. Wystawiano je w KL Stutthof na podstawie wykazu zmarłych przesłanego przez komendanta podobozu. Ciała ofiar z Polic przewożono początkowo do krematorium na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie i tam palono³², później zapewne chowano w lasach otaczających obóz. Do tej pory nie odnaleziono jednak żadnych śladów masowych grobów w okolicach Polic. Prawdopodobnie jedyne poszukiwania przeprowadzili pracownicy Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie w 1969 r. Wykonano wtedy kilkadziesiąt wykopów sondażowych w miejscach wskazanych przez świadków, jednak w żadnym z nich nie znaleziono śladu pochówków³³.

Decyzja o likwidacji i ewakuacji KL Stutthof – Außenlager Pölitz zapadła dopiero w kwietniu 1945 r., podczas gdy ewakuacja rejonu Szczecina trwała od lutego tego roku³⁴. 9 marca około 800 więźniów skierowano do Bergen-Belsen³⁵, gdzie część z nich doczekała wyzwolenia. 17 marca rozstrzelano ponad 300 chorych. Dokładnie miesiąc później pociągiem do Barth wywieziono – według różnych danych – od 200 do 400 więźniów, których po przybyciu na miejsce zatrudniono przy pracach ziemnych na lotnisku, a następnie ewakuowano pieszo w kierunku Rostocku. 23 kwietnia pozostałych w obozie ewakuowano pieszo w kierunku Tanowa, a później Ueckermünde. Na miejscu pozostała niewielka

²⁸ Flegmona – ropne zapalenie tkanek miękkich, przede wszystkim tkanek łącznych. W obozach flegmony atakowały zwłaszcza nogi i ręce więźniów. E. Grot, *Eksterminacja pośrednia [w:] Stutthof. Hitlerowski...*, s. 201.

²⁹ M. Lambert, *Warunki sanitarno-higieniczne w obozach pracy przymusowej w rejonie Szczecina w latach II wojny światowej*, „Przegląd Zachodniopomorski” 1972, z. 3, s. 153.

³⁰ Pak – jeden z produktów ubocznych przy wytwarzaniu benzyny syntetycznej, wykorzystywany m.in. do wyrobu brykietów i produkcji koksu.

³¹ Nazwiska tego brak w zestawieniu dotyczącym załogi obozu. M. Gliński, *Załoga obozu...*, cz. I (A–J), „Stutthof. Zeszyty Muzeum” 1984, nr 5, s. 187–216.

³² M. Gliński, *Miejsce szpitala...*, s. 145; M. Lambert, *Niektóre problemy medyczne obozu koncentracyjnego w Mścicinie*, Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie (dalej: AIPN Sz), 5/128, k. 1. Krematorium w Szczecinie działało na terenie Cmentarza Centralnego od 1925 r. Znajdowało się między kaplicą główną a kostnicą. Zob. *Ogromny park pochował umarłych... Cmentarz Centralny w Szczecinie*, red. M. Słomiński, Szczecin 2005, s. 49. „Podczas wojny [kaplica główna] nie doznała większego uszczerbku. Jako budynek nieużytkowany, z biegiem lat ulegała jednak coraz to większej dewastacji. Przyczynę tego opuszczenia upatrywać należy raczej w stanie zbiorowej psychy i żywych jeszcze powojennych urazach, niż w braku środków na remont. Odstęrczająco działał komin krematorium, wywołując wspomnienia hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Paraliżowała świadomość, że w istniejących wciąż jeszcze piecach masowo spalano zwłoki robotników przymusowych III Rzeszy”. *Ibidem*, s. 114.

³³ P. Szulc, *Polickie obozy w latach drugiej wojny światowej [w:] Z dziejów Polic, Szczecin–Police 2007*, s. 45.

³⁴ K. Golczewski, *Przymusowa ewakuacja z nadbałtyckich prowincji III Rzeszy 1944–1945*, Poznań 1971, s. 145.

³⁵ KL Bergen-Belsen – obóz koncentracyjny powstały w 1940 r., początkowo jako obóz jeniecki. Wyzwolony został przez wojska brytyjskie 15 IV 1945 r. Zginęło w nim ok. 70 tys. osób, z czego 20 tys. to jeńcy wojenni.

grupa osób, która zająć się miała zniszczeniem tego, co pozostało w obozie. 1 maja więk-
szość z ostatniej grupy ewakuowanych doczekała się wyzwolenia pod Warnemünde³⁶.

W miejscu obozu zachowała się znaczna część baraków. W 1950 r. urządzono w nich tuczarnię trzody chlewnej, która podlegała Oddziałowi Gospodarki Zwierzętami Rzeź-
nymi w Szczecinie. Jeden z byłych więźniów tak wspomina swoją wizytę na terenie po-
dobozu, którą odbył w 1972 r.: „Te same baraki z pustaków. To samo ogrodzenie z drutu
kolczastego, ale już nie pod napięciem. Odszukałem barak byłego rewiru. Zajrzałem do
wnętrza. [...] w miejscu, gdzie stała moja prycza, ujrzałem lochę z dziesięcioma prosię-
tami w gnoju po uszy. W naszym obozie założono tuczarnię trzody chlewnej. Zdębia-
łem. Coś podobnego nigdy mi na myśl nie przyszło, aby w naszym kraju, gdzie z takim
pietyzmem otaczamy miejsca martyrologii naszego i innych narodów, mogła się zdarzyć
taka rzecz”³⁷. Później – w 1980 r. – teren został przekazany Gminnej Spółdzielni Police,
a obiekty przekształcono na warsztaty ślusarskie, lakiernie, warsztaty samochodowe oraz
hurtownię. Powstałe wówczas Osiedle Rzemieślnicze funkcjonowało do końca 2007 r.
w granicach Szczecina³⁸.

* * *

Podstawą źródłową dla badań nad historią podobozu w Policach³⁹ są dokumenty
zgrupowane w Archiwum Muzeum Stutthof w Sztutowie⁴⁰ oraz Archiwum Oddziało-
wej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Szczecinie, gdzie
przechowywane są m.in. akta dawnej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerow-
skich w Szczecinie⁴¹. Część dokumentacji związanej z tym zagadnieniem odnaleźć moż-
na w innych archiwach IPN. Szczegółowej kwerendy wymaga zwłaszcza zasób archiwum

³⁶ M. Orski, *Filie...*, s. 312; zob. J. Grabowska, *op. cit.*, s. 48.

³⁷ A. Soroka, *Trylogii Sienkiewicza zawdzięczam życie*, mps w zbiorach AMS Oddział w Sopocie, s. 17.

³⁸ 16 X 2006 r. Przewodniczący Rady Miejskiej w Policach, za pośrednictwem Wojewody Zachodniopomorskiego, skierował do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji wnioski Rady Miejskiej z 26 IX 2006 r. o zmianę granic miasta Police. O przyłączenie terenu do granic administracyjnych miasta i gminy Police wystąpili rzemieślnicy i mieszkańcy Osiedla Rzemieślniczego. 1 I 2008 r., zgodnie z Rozporządzeniem Rady Ministrów z 24 VII 2007 r. w sprawie ustalenia granic niektórych gmin i miast oraz nadania miejscowościom statusu miasta, z obszaru powiatu Szczecin wyłączony został obszar rzeczonoego osiedla (ul. Ofiar Stutthofu – teren dawnego obozu oraz budynek przy ul. Przędzińskiej 11 – dawna siedziba komendantury) i włączony do obszaru gminy Police. Sprawozdanie z pracy Burmistrza Gminy Police za okres od sesji Rady Miejskiej 6 III do 27 III 2007 r., <http://bip.police.pl>; Szczecin – raport o stanie miasta 2008, <http://szczecin.pl>.

³⁹ Zob. Z. Chmielewski, *Baza źródłowa i stan badań nad obozami hitlerowskimi na Pomorzu Zachodnim w latach 1939–1945* [w:] *Obozy hitlerowskie na Pomorzu Zachodnim i Gdańskim w latach drugiej wojny światowej*, red. L. Janiszewski, Szczecin 1989, s. 80; J. Matynia, *Literatura i materiały źródłowe o filiacjach obozu koncentracyjnego Stutthof*, „Gdańskie Szeszyty Humanistyczne” 1969, nr 18, s. 201–204.

⁴⁰ AMS, Konzentrationslager Stutthof (teczki personalne, księgi ewidencyjne, listy transportowe); *ibidem*, Wspomnienia byłych więźniów.

⁴¹ Archiwum Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Szczecinie, akta dawnej Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Szczecinie (dalej: AIPN Sz, OKBZH), opatrzone ogólną sygnaturą S 15/68 OKS (głównie protokoły przesłuchań świadków); m.in. Obóz Zimowy w Mścięcinnie. Aussenarbeitslager Pölitz bei Stettin. Messenthiner Waldhalle, 1944–1978, poz. 21; Zamiejscowy Obóz Pracy Police k. Szczecina „Sonderlager Pölitz bei Stettin”, 1939–1972, poz. 23; Szklone obozów karnych i pracy przymusowej w Policach (1939–1945); Sprawa zbrodni hitlerowskich popełnionych na robotnikach przymusowych i jeńcach wojennych w obozie karnym w Policach, 1939–1973, poz. 24a; Zbrodnie hitlerowskie popełnione na terenie Polic i Mścięcina k. Polic, 1939–1968, poz. 25.

Międzynarodowej Służby Poszukiwawczej w Bad Arolsen⁴². Badacz tematu nie może pominąć również zasobu Archiwum Państwowego w Szczecinie⁴³.

Literatura przedmiotu jest bogata, przede wszystkim jednak w przypadku obozu macierzystego⁴⁴. Do tej pory nie została opublikowana monografia polickiej filii KL Stutthof, co więcej – nie ukazał się żaden tom wspomnień, w którym jej tematyka poruszona zostałaby w sposób choćby zbliżony do pracy Józefa Jagodzińskiego⁴⁵. O zagadnieniach związanych z obozem polickim pisali przede wszystkim Krzysztof Dunin-Wąsowicz⁴⁶, Bogdan Frankiewicz⁴⁷, Maria Jezierska⁴⁸, Jan Antoni Kłys⁴⁹ i Marek Orski⁵⁰. Warto również wspomnieć o artykułach Macieja Lamberta⁵¹, Pawła Szulca⁵² i Bronisława Waluka⁵³, wspomnieniach Jerzego Nowickiego⁵⁴ oraz pracy magisterskiej Janusza Leszka Jurkiewicza⁵⁵. Tematykę obozu przywołują także autorzy publikacji o charakterze popularnym

⁴² Międzynarodowa Służba Poszukiwawcza (International Tracing Service) w Bad Arolsen powołana została w 1952 r. i formalnie podporządkowana Międzynarodowej Komisji Czerwonego Krzyża na mocy Umów Bońskich z 1955 r. Zajmowała się zbieraniem dokumentacji na temat losów tysięcy ludzi poddanych represjom podczas II wojny światowej. W maju 2006 r. Komisja do spraw Międzynarodowej Służby Poszukiwawczej w Bad Arolsen postanowiła przekazać cyfrowe kopie archiwum wszystkim sygnatariuszom Umów Bońskich (Polska jest nim od 2000 r.). Na początku 2007 r. Ministerstwo Spraw Zagranicznych podjęło decyzję o przekazaniu otrzymanych akt do IPN. 30 IV 2009 r. Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN poinformowało, że baza danych dotycząca wspomnianego zasobu, została udostępniona do realizacji wniosków badawczych składanych do IPN.

⁴³ Archiwum Państwowe w Szczecinie, Prezydium Policji w Szczecinie, Kartoteka cudzoziemców rejestrowanych przez Wydział ds. Obcokrajowców Prezydium Policji w Szczecinie (Polizeipräsident in Stettin-Ausländeramt), Akta osobowe cudzoziemskich pracowników przymusowych zatrudnionych w przemyśle i zakładach usługowych m.in. w Szczecinie i Policach.

⁴⁴ Bibliografia obozu, obejmująca lata 1939–1988 (dla lat 1986–1988 niepełna), została opracowana i wydana przez Muzeum Stutthof w Sztutowie: *Bibliografia KL Stutthof*, oprac. E. Ferenc, Gdańsk 1991. Pozycje z lat późniejszych wymienione są w bibliografiach umieszczonych w najnowszych publikacjach muzeum, zwłaszcza pracach Marka Orskiego (M. Orski, *Niewolnicza praca...*; *idem*, *Przedsiębiorstwa SS...*; *idem*, *Filie...*), i książce Marcina Owińskiego, wydanej przez toruńską Fundację „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” (M. Owiński, *op. cit.*).

⁴⁵ Z prac niepublikowanych warto wymienić rękopis przechowywany w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu: Cz. Gołowacz, *Wspomnienia z lat 1930–1945*, 15656/II.

⁴⁶ K. Dunin-Wąsowicz, *op. cit.*, s. 45–117.

⁴⁷ B. Frankiewicz, *op. cit.*, s. 104–107; *idem*, *Hitlerowskie obozy pracy przymusowej oraz obozy karne i jenieckie na terenie Szczecina w latach drugiej wojny światowej*, „Przegląd Zachodniopomorski” 1965, nr 4, s. 132; *idem*, *Obozy hitlerowskie na ziemi szczecińskiej w latach 1939–1945*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” (Studia nad faszyzmem i zbrodniami hitlerowskimi II), Wrocław 1975, s. 83; *idem*, *Obozy hitlerowskie na Pomorzu Zachodnim 1939–1945* [w:] *Obozy hitlerowskie na Pomorzu Zachodnim...*, s. 58–59; *idem*, *Obozy hitlerowskie w Policach k. Szczecina*, mps w zbiorach AIPN Sz, 5/32, k. 45–55.

⁴⁸ M. Jezierska, *op. cit.*, s. 84–99.

⁴⁹ *Außenlager Stutthof*, oprac. J. A. Kłys, „Zabytki” 2008, z. 6 i 7 (J. A. Kłys powołuje się m.in. na niepublikowane opracowanie Holgera Kliche z Geschichtswissenschaftliches Institut w Eberswaldzie – H. Kliche, *Obozy pracy przymusowej w Policach w okresie od 1939 do 1945*, mps udostępniony przez autora).

⁵⁰ M. Orski, *Filie...*, s. 307–313.

⁵¹ M. Lambert, *Niektóre problemy medyczne obozu koncentracyjnego w Mścicieniu*, mps w zbiorach AIPN Sz, 5/128; *idem*, *Warunki sanitarno-higieniczne w obozach pracy przymusowej w rejonie Szczecina w latach II wojny światowej*, „Przegląd Zachodniopomorski” 1972, z. 3, s. 151–156.

⁵² P. Szulc, *op. cit.*, s. 43–45.

⁵³ B. Waluk, *Obóz koncentracyjny w Policach-Mścicieniu k. Szczecina (filia obozu koncentracyjnego Stutthof) 27 VI 1944–26 IV 1945 r.* [w:] *Z problematyki medycyny...*, s. 179–184.

⁵⁴ J. Nowicki, *op. cit.*, s. 158–162.

⁵⁵ J. L. Jurkiewicz, *Dzieje polickiej filii KL Stutthof*; praca magisterska napisana pod kierunkiem dr. hab. M. Grzędę, 1985, mps w zbiorach AMS.

– Jan Matura⁵⁶ i Henryk Mąka⁵⁷ oraz dziennikarze na łamach dzienników i tygodników, zwłaszcza regionalnych⁵⁸.

* * *

„Spisać wspomnienia jest równoznaczne z przeżyć, stąd ofiary skazane są na milczenie” – napisał Bartłomiej Krupa we wstępie do książki *Wspomnienia obozowe jako specyficzna odmiana pisarstwa historycznego*⁵⁹. Autor zamieścił w niej m.in. ciekawe rozważania na temat podejścia do owych wspomnień jako źródeł historycznego. Jego zdaniem klasycznie rozumiana krytyka źródeł⁶⁰ okazuje się wobec nich bezradna. Wspomnienia poddawane są krytyce zewnętrznej (autorstwo, czas powstania i miejsce sporządzenia) oraz wewnętrznej (sprawdzenie wiarygodności). Ta druga może objąć wszystkie etapy powstawania relacji – autopsji (wykazanie kompetencji piszącego), kompozycji (ujawnienie inspiracji czynników postronnych, jakim mógł ulec autor) i publikacji (wychwycenie zabiegów redaktorskich, ew. translatorskich czy ingerencji cenzury). Jak pisze dalej Krupa: „Cała ta procedura budzi we mnie, jako czytelniku wspomnień obozowych, sprzeciw. Ufundowany jest on na dwóch zasadniczych przesłankach. Pierwszą z nich nazwać mogę etyczną, drugą odmienną optyki.

Z etycznego powodu uważam, że zarówno sprawdzanie autorstwa źródła, jak i ukaazywanie kompetencji piszącego jest niesłuszne. W takim ujęciu punktem wyjścia dla nas jest dociekanie, czy autor rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Wydaje się, że opisywanie obozu, nakładające szczególny rodzaj odpowiedzialności za własne świadczenie i powierzanie innym wiedzy o przeżytych tam czasie, nakłada tak duży obowiązek i brzemień na piszącego, że dodatkowe wzmocnienie tego brzemienia aprioryczną podejrzliwością jest co najmniej nieodosowne. Co proponuję w zamian? Myślę, że jakimś wyjściem mógłby być zabieg, który nazwać można presumpcją prawdziwości. W takim podejściu zakładam po prostu autentyczność kompetencji⁶¹.

Przy lekturze niniejszych (i każdych innych) wspomnień obozowych warto o tym pamiętać, ale – w przypadku badaczy tematu – traktować je należy raczej jako uzupełnienie lub materiał do konfrontacji, niż podstawową bazę źródłową⁶². Nie można bowiem zapominać choćby o roli każdego z więźniów, wszak „obóz widziany z różnych miejsc

⁵⁶ J. Matura, *Historia Polic od czasów najstarszego osadnictwa do II wojny światowej*, s. 143–150.

⁵⁷ H. Mąka, „Bremerhaven”. *Statek śmierci*, Warszawa 2004, s. 49.

⁵⁸ Zob. m.in. *Na miejscu kaźni w Policach*, „Za Wolność i Lud”, 1–15 II 1964; *Szlak śmierci*, „Za Wolność i Lud”, 26 VII 1968; *Czego nie napisał Albert Speer...*, „Budowałem fabrykę śmierci”, „Kurier Szczeciński”, 12 II 1970; *Hitlerowcy spalili żywcem więźniów polickiego obozu koncentracyjnego!*, „Głos Szczeciński”, 12 III 1970; *Upamiętnić miejsce martyrologii*, „Wiadomości Polickie”, 20 I 1981; *Dziesięć tysięcy więźniów*, „Wiadomości Polickie”, 10 III 1981; *Polickie lagry*, „Głos Szczeciński”, 30 IV 1981.

⁵⁹ B. Krupa, *Wspomnienia obozowe jako specyficzna odmiana pisarstwa historycznego*, Kraków 2006, s. 9.

⁶⁰ Autor omawia ją na podstawie: Z. Wojtkowiak, *Nauki pomocnicze historii najnowszej. Źródłoznawstwo*, cz. I: *Źródła narracyjne. Pamiętnik, tekst literacki*, Poznań 2001.

⁶¹ B. Krupa, *op. cit.*, s. 71–73.

⁶² Podtytuł wspomnień Jagodzińskiego brzmi wszak: *Szkice do historii KL Stutthof – Außenlager Pölitz*.

i zajmowanych pozycji wyglądał za każdym razem inaczej”⁶³. Bardzo dobrze widać to na przykładzie dwóch osób, które wielokrotnie pojawiają na łamach wspomnień spisanych przez Jagodzińskiego.

Pierwsza to Jan Rostański⁶⁴, w oczach autora wspomnień w KL Stutthof przywódca tzw. aktywistów/elicyarzy, roztaczających wokół siebie mit więźniów najbardziej zasłużonych dla kraju, dzielących między siebie jedzenie zdobyte (dla wszystkich) od więźniarek z sąsiedniego obozu, wyobcowanych ze społeczności warszawskiej, cieszących się wielkim pobyżaniem u nadzorców. W książce Andrzeja Biernackiego zaś Rostański to człowiek powszechnie lubiany i szanowany, wszak przedstawiciel pracowników naukowych – silnych duchem, mężnie znoszących szykany i niosących wsparcie psychiczne towarzyszom niedoli⁶⁵. Bardzo dobrze wspominał go również Krzysztof Dunin-Wąsowicz⁶⁶.

Druga, to lekarz Bolesław Kaczyński⁶⁷, od jesieni 1942 r. zatrudniony w szpitalu KL Stutthof, po utworzeniu filii w Policach (w obliczu ciągłej nieobecności Heydecke) właściwie główny lekarz podobozu, przez współwięźniów postrzegany jako kierownik szpitala⁶⁸. Jagodziński wspomina go jako lekarza-kapo, nierzadko bijącego więźniów, biorącego udział w selekcji przybywających do obozu⁶⁹. W większości innych wspomnień więźniów Kaczyński jawi się jako człowiek szlachetny i uczciwy, który wbrew trudnościom ze wszystkich sił starał się im przeciwdziałać. W swoich relacjach wielokrotnie podkreślają, iż Kaczyński uratował im życie. W jednej z nich, dotyczącej jeszcze KL Stutthof, czytamy: „[...] dr Kaczyński z narażeniem swojego stanowiska opatrywał mnie wieczorami, gdy nie groziła wizyta jakiegoś esesmana. [...] Jemu zawdzięczam obec-

⁶³ A. Werner, *Zwycięzina Apokalipsa. Tadeusz Borowski i jego wizja świata obozów*, Warszawa 1981, s. 17–18; cyt. za: B. Krupa, *op. cit.*, s. 113; zob. S. Sterkowicz, *Przyczynek do zagadnienia moralności więźniów obozów hitlerowskich* [w:] *Z problematyki medycyny...*, s. 67–80.

⁶⁴ Jan Rostański – ur. 13 II 1882 r., więzień KL Stutthof nr 35941, zm. 6 VII 1966 r. Zob. A. Biernacki, *Jan Rostański 1882–1966. Próba biografii*, Lublin 2003.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 76. „W obozie pomagał przetrwać współwięźniom organizując pogadanki na temat krajów, w których był odrywając w ten sposób ich myśli od otaczającej ich rzeczywistości, organizował przesyłanie wiadomości poza obóz, dokarmianie. Wykorzystując świetną znajomość języka niemieckiego często interweniował wyjednując im ulgi u władz obozowych”. W. Mierzecka, *Jan Rostański – profesorski ród*, „Rolniczy Magazyn Elektroniczny” 2006, nr 15, s. 48.

⁶⁶ K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof. Ze wspomnień więźnia obozu koncentracyjnego*, Warszawa 1946, *passim*.

⁶⁷ Bolesław Kaczyński – ur. 20 XI 1908 r., więzień KL Stutthof nr 14701, zm. 27 I 1963 r. Zob. P. Knap, „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono”. *Rzecz o Bolesławie Kaczyńskim (1908–1963)*, mps; por. M. Lambert, *Dr Bolesław Kaczyński*, „Przegląd Lekarski” 1972, nr 1, s. 239–242.

⁶⁸ AIPN Sz, OKBZH, Obóz Zimowy w Mścicienie..., Protokół przesłuchania świadka – Eugeniusz Bojko, Szczecin, 2 IX 1966 r., k. 40–41.

⁶⁹ Selekcja więźniów nie należała do kompetencji lekarza-więźnia. W KL Stutthof i jego podobozach zawsze była zarządzana i przeprowadzana przez esesmanów (Kaczyński nie pełnił funkcji kapo, nie był też kierownikiem szpitala). Jagodziński nie jest jednak jedynym więźniem, który ma niepochlebne zdanie na temat Kaczyńskiego. W 1946 r. w odpowiedzi na list Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Stargardzie Szczecińskim były więzień KL Stutthof Krzysztof Dunin-Wąsowicz napisał: „Opinię moją o dr. Kaczyńskim kształtowałem na podstawie informacji i opowiadań kolegów, głównie śp. Leonarda Szynekiewicza i Gerarda Szynekiewicza, obecnie pracownika Urzędu Miejskiego w Słupsku. Oni to, głównie śp. Leonard, wypowiadali ujemną opinię o dr. Kaczyńskim”. Archiwum Państwowe w Szczecinie, Oddział w Stargardzie Szczecińskim, Starostwo pow. Stargard, 175, Akta tajne 1945–1946 r., k. 129–130. Por. K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof. Ze wspomnień...*, s. 48.

ne swe życie i możliwość władania nogą, o której sam mawiał: »z tą nogą tańczyć nie będziesz«⁷⁰.

Trudno wyrokować, kto przedstawia wymienione postaci w sposób bardziej zbliżony do rzeczywistości. Żaden autor pragnący zmierzyć się z biografią (lub choćby przyczynkiem doń) wspomnianych byłych więźniów, nie może jednak przemilczeć relacji Jagodzińskiego.

* * *

Józef Jagodziński w czasie II wojny światowej podczas kampanii wrześniowej brał czynny udział w obronie Warszawy. 7 października 1939 r. powrócił z punktu etapowego jeńców w Błoniu pod Warszawą. Dzień później jego dom w Piastowie wyznaczono na miejsce kontaktów przy formowaniu grup dywersyjnych, był też siedzibą odpraw sztabowych i drukarnią prasy podziemnej. Jagodziński (ps. „Bratek”) zajmował się werbunkiem i utrzymywaniem kontaktów z innymi organizacjami politycznymi i wojskowymi. Jego żona, Emilia Jagodzińska (ps. „Miteczka”), kierowała lokalem konspiracyjnym, chroniła zdekonspirowanych i żywiła zbiegłych członków wspomnianych grup, prowadziła tajną przechowalnię dokumentów, broni i urządzeń poligraficznych. Ich córka, Hanna Pijewska (ps. „Jagódka”), była łączniczką⁷¹. Małżeństwo Jagodzińskich aresztowano w marcu 1944 r. i przewieziono na Pawiak⁷². Jagodziński był przesłuchiwany w al. Szucha⁷³, a podczas składania zeznań bity do utraty przytomności⁷⁴. W maju 1944 r. przewieziono go do KL Stutthof. Od tego momentu rozpoczynają się niniejsze wspomnienia.

* * *

Tekst wspomnień publikowanych nieznacznie różni się od maszynopisu⁷⁵. Poprawiono zostały dostrzeżone błędy ortograficzne, interpunkcyjne i stylistyczne, opuszczono

⁷⁰ Relacja L. Staśkiewicz; cyt. za: M. Lambert, *Dr Bolesław Kaczyński...*, s. 240–241.

⁷¹ *W cieniu śmierci. Ewangelicy – ofiary prześladowań w czasie II wojny światowej*, red. ks. T. Wojak, Warszawa 1970, s. 238. Więcej na temat rodziny Jagodzińskich można przeczytać w *Posłowi* do niniejszej publikacji.

⁷² Pawiak – więzienie wybudowane w pierwszej połowie XIX w. w Warszawie, obiegowa nazwa pochodzi od ul. Pawiej, przy której znajdowała się brama wjazdowa. W czasie II wojny światowej służyło okupantom jako więzienie śledcze. W latach 1939–1944 przeszło przez nie ok. 100 tys. osób, z których zginęło 40 tys. 21 VIII 1944 r. więzienie zostało przez Niemców wysadzone w powietrze. Od 1965 r. w budynku wzniesionym na ocalałych fundamentach podziemnych kazamat działa Muzeum Więzienia Pawiak (od 1990 r. Oddział Muzeum Niepodległości).

⁷³ Przy al. Szucha 25 (1939–1945 Straße der Polizei; 1946–1991 al. I Armii Wojska Polskiego) w Warszawie, w gmachu dawnego Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, mieścił się Urząd Komendanta Policji Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa na Dystrykt Warszawski oraz jego areszt. Obecnie w budynku funkcjonuje filia Muzeum Więzienia Pawiak – Mauzoleum Walki i Męczeństwa.

⁷⁴ Swoje przeżycia z lat II wojny światowej Józef Jagodziński zawarł w pracy: J. Jagodziński, *Na Pawiaku i obozach koncentracyjnych Stutthof–Pölitz–Messenthin (strzępy wspomnień)*, mps w zbiorach Lili Jagodzińskiej-Hamann. Fragment dotyczący pobytu na Pawiaku został opublikowany. Zob. J. Jagodziński, *W celi (fragmenty większej całości)* [w:] *Pawiak był etapem. Wspomnienia z lat 1939–1944*, red. R. Domańska, Warszawa 1987.

⁷⁵ Maszynopis *Bunkrów na ruinach* znajduje się w zbiorach Lili Jagodzińskiej-Hamann. W 1986 r. kopia została przesłana przez autora na konkurs „Losy narodu polskiego w latach okupacji hitlerowskiej” ogłoszony przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytut Pamięci Narodowej oraz Związek Bojowników o Wolność i Demokrację. Prace te znajdują się w AIPN w Warszawie – wśród pomocy archiwalnych można tam znaleźć spis 346 tytułów prac nadesłanych na konkurs zawierający imię, nazwisko i adres zamieszkania autora, tytuł

również powtórzenia dokonane przez autora. Całość opatrzone przypisami rzeczowymi, pozwalającymi zrozumieć specyficzną, pełną neologizmów mowę obozową, przybliżającymi osoby, instytucje i wydarzenia przywoływane na łamach wspomnień. Informacje na temat byłych więźniów zamieszczone w przypisach (głównie daty urodzin i numeracja) pochodzą z archiwum Muzeum Stutthof w Sztutowie – teczek personalnych, ksiąg ewidencyjnych i list transportowych. W zdecydowanej większości przypadków nie udało się jednak ustalić dat ewentualnej śmierci.

Za pomoc w przygotowaniu niniejszej publikacji dziękuję przede wszystkim córce autora wspomnień, Lili Jagodzińskiej-Hamann, bez wsparcia której ich wydanie byłoby niemożliwe. Wdzięczny jestem recenzentom – Elżbiecie Grot i dr. hab. Mirosławowi Golonowi – za wnikliwą lekturę i niezwykle cenne uwagi. Dziękuję Agnieszce Gorczycy i Michałowi Siedziace, za pomoc w procesie zamiany maszynopisu na plik elektroniczny, Agnieszce oraz Marcie Marcinkiewicz również za sugestie przekazane po lekturze wstępnej wersji opracowania. Za pomoc w kwerendzie przeprowadzonej w archiwum Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie dziękuję Izabeli Pietrydze i Pawłowi Szulcowi, a w archiwum Muzeum Stutthof w Sztutowie – dr Danucie Drywie, Agnieszce Kłys i Wiesławowi Leszczyńskiemu. Wdzięczny jestem także Bartoszowi Morylewskiemu i Magdalenie Semczyszyn – za pomoc w tłumaczeniu niemieckich i rosyjskich fragmentów wspomnień, dr. Pawłowi Skubiszowi – za wykonanie dokumentacji fotograficznej terenu byłego obozu w Mścięcinie oraz wszystkim tym, którzy udostępniili materiały ikonograficzne wykorzystane w niniejszej publikacji (Romanowi Czejarkowi, dr. Wojciechowi Lizakowi i Jakubowi Maturze). Osobne podziękowania kieruję w stronę dr. Marcina Stefaniaka i dr. Sebastiana Ligarskiego – za to, że przekonali się do pomysłu wydania tej książki.

Paweł Knap

pracy, rodzaj opracowania (mps/rkps), ilość stron oraz uwagi (luźne kartki,teczka oprawna, zdjęcia, listy, etc.). Trzeci egzemplarz wspomnień Jagodzińskiego przechowywany jest w AIPN Sz, OKBZH (na ich podstawie przygotowana została niniejsza publikacja). Kopie maszynopisu znajdują się również w posiadaniu przynajmniej kilku miłośników historii Polic (m.in. Jana Matury).

Niechętnie wracam do wspomnień koszmarnych czasów minionej wojny. Dreszcz smutku wywołuje bowiem pamięć o tragedii i męce więźniów sprowadzonych ze Stuttgartu do przymusowych robót przy budowie i rozbudowie zakładów wytwórczych benzyny syntetycznej w Policach koło Szczecina.

Działo się to w 1944 r., w okresie kiedy hitlerowskie¹ Niemcy pod silnymi ciosami ponosiły dotkliwe straty na frontach walk, a tak zwany trzeci front alianckiego lotnictwa niszczył z powietrza niemiecki przemysł i gospodarkę. Również w Policach działania alianckiego lotnictwa dały o sobie znać, nie omijając zakładów wytwórczych benzyny syntetycznej, zwanych wówczas Hydrierwerke AG Pölitz, należących do chemicznego koncernu IG Farbenindustrie. Zakłady te stanowiły poważne ogniwo w przemyśle zbrojeniowym Niemiec. Benzynę syntetyczną wywożono cysternami kolejowymi i samochodowymi oraz wysyłało rurociągiem do pobliskiego portu.

Albert Speer², minister gospodarki III Rzeszy, należący do ścisłego sztabu Führera³, któremu przypisywano geniusz budowy tych zakładów, w swoich wspomnieniach⁴ nie podaje komu i jakim kosztem żywej pracy ludzkiej zawdzięcza budowę i rozbudowę tych zakładów. Ilu spośród sprowadzonych tu więźniów utraciło życie, ilu pozostało kalekami na całe życie? A przecież nie tylko więźniowie budowali te zakłady. Wprawdzie przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze⁵ Albert Speer został uznany winnym popełnionych zbrodni i wymierzono mu karę 20 lat więzienia, ale czy kara ta stanowi zadośćuczynienie za popełnione zbrodnie ludobójstwa? Speer zeznał,

¹ Adolf Hitler – ur. 20 IV 1889 r., przywódca NSDAP, od 1933 r. kanclerz, od 1934 r. również prezydent Niemiec (określanych w latach 1933–1945 mianem III Rzeszy), zbrodniarz odpowiedzialny za śmierć milionów ludzi, zm. 30 IV 1945 r.

² Albert Speer – ur. 19 III 1905 r., od 1931 r. członek NSDAP, od 1934 r. główny architekt Adolfa Hitlera i specjalista od oprawy scenicznej masowych demonstracji partyjnych, później m.in. szef Organizacji Todta (zob. przyp. 114) oraz minister Rzeszy do spraw uzbrojenia i amunicji (od 1942 r.), a także minister do spraw uzbrojenia i przemysłu wojennego, zm. 1 IX 1981 r.

³ Führer und Reichskanzler (niem. wódz i kanclerz Rzeszy) – tytuł używany przez Adolfa Hitlera po przejściu władzy w Niemczech w 1933 r. Wcześniej (od 1921 r.) tytułu Führera używał jako przewodniczący NSDAP.

⁴ A. Speer, *Wspomnienia*, Warszawa 1990; po raz pierwszy opublikowane zostały w 1969 r.

⁵ Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze – organ wymiaru sprawiedliwości powołany w celu osądzenia nazistowskich zbrodniarzy wojennych. W jego skład wchodził przedstawiciel Francji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich delegowani przez Sądy Najwyższe poszczególnych krajów. Proces trwał od 20 XI 1945 r. do 1 X 1946 r. Ogłoszono dwanaście wyroków śmierci, trzy kary dożywotniego więzienia, dwie po 20 lat oraz po jednej 15 i 10 lat (trzy osoby uniewinniono).

że gotów był wykorzystywać pracę więźniów, ale na własnych warunkach, które miały wynosić najwyżej 60 godzin pracy tygodniowo i przy „lepszym” wyżywieniu. A jak było naprawdę? Niech przemówią następne karty wspomnień.

Administracja zakładów Hydrierwerke AG Pölitz postanowiła, dla utrzymania warunków budowy i zapewnienia ciągłości produkcji – wybudować szereg bunkrów dla personelu zakładów, stanowiących zabezpieczenie życia podczas bombowych nalotów. Budowle te zlecono do wykonania niemieckim firmom budowlanym. Jako generalny wykonawca występowała firma Deutsche Ingenieurwerke in Danzig AG, zwana w skrócie DIWIDAG⁶.

W czerwcu 1944 r. firma DIWIDAG przesłała do Stutthofu zapotrzebowanie na więźniów z przeznaczeniem ich do robót budowlanych w Policach. W tym czasie szykowano obóz koncentracyjny w pobliżu zakładów, na terenie przyległym do obozu karne-go Hägerwelle pod Trzszczynem. Ogrodzenie terenu, budowa żywek, baraków, umywalni i latryny wykonała prawdopodobnie miejscowa firma lub organizacja budowlana. Rankiem 29 czerwca 1944 r. na zasiedlenie obozu przybył pierwszy transport więźniów ze Stutthofu. Tak powstała w Policach filia obozu koncentracyjnego Stutthof.

Dzieje tego obozu są niezwykle. W opinii znawców zagadnień pobytu i życia więźniów w niemieckich obozach koncentracyjnych, obóz policki uchodzi za jeden z najcięższych. Złożyło się na to wiele przyczyn, ale chyba jedną z głównych było oddanie bezpośredniej władzy nad więźniami w ręce kapo⁷, którzy rekrutowali się z zawodowych przestępców lub więźniów-renegatów. W rezultacie postępowali oni jeszcze bardziej brutalnie, aniżeli esesmani należący do Totenkopfverbände⁸ i Lagerverwaltung⁹.

Przystępując do spisania krótkich wspomnień sędzę, że rozwieją one wiele mylnych wypowiedzi i opinii na temat warunków pracy w zakładach i życia więźniów w polickim obozie koncentracyjnym, a ponadto przyczynią się w pewnym stopniu do odtworzenia prawdy historycznej tamtych dni.

Dzisiaj po zakładach wytwórczych benzyny syntetycznej w Policach pozostały nieliczne budowle w ruinie i kilka bunkrów. Dwa z nich już wysadzono w powietrze. Do każdego użyto 16 ton trotylu. Tak kończy się wielkie dzieło „geniuszu” i niewolniczej pracy więźniów. Na terenie pod Trzszczynem po dawnym obozie nie pozostał nawet ślad.

1 listopada 1944 r. obóz przeniesiono do Mścięcina. Tu wszystkie roboty wykonywali więźniowie. Baraki wznoszono o charakterze bardziej trwałym, przeważnie z płyt betonowych. Dwa baraki drewniane przeznaczono na rewir¹⁰. Za drutami obozu, na górcie, wznoszono baraki tynkowane dla esesmanów. W pobliżu bramy wykopano w zie-

⁶ Zapewne chodzi tutaj o firmę DYWIDAG – Dyckerhoff & Widmann AG Cossebaude-Dresden, która należała do kooperantów fabryki benzyny syntetycznej w Policach m.in. przy uzbrajaniu terenu, ale i budowie samego obozu. Zob. M. Orski, *Przedsiębiorstwa SS...*, s. 266.

⁷ Kapo – więźniów pełniących funkcję dozorców innych więźniów.

⁸ Totenkopfverbände – oddziały strażnicze SS w obozach koncentracyjnych (niem. Totenkopfverbände – oddziały trupiej głowy).

⁹ (niem.) Administracja obozu.

¹⁰ Rewir – szpital obozowy (niem. Revier – izba chorych).

mi schron wykładany drewnem. Pod koniec istnienia obozu, nieco dalej, wzniesiono dwie szubienice.

Obecnie dawne baraki betonowe wykorzystano na chlewnie dla tuczarni świń. Po zwyczajach¹¹, barakach drewnianych i szubienicach nie ma śladu. W 1968 r., staraniem Powiatowego Oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację¹² w Szczecinie, dla upamiętnienia cierpień i ofiar nazistowskiego barbarzyństwa, wzniesiono pomnik i odsłonięto pamiątkową tablicę w miejscu rozwidlenia dróg przed wjazdem do miasta Police i zakładów chemicznych.

Rada Państwa PRL w maju 1968 r. nadała Order Krzyża Grunwaldu II Klasy poległym, zamordowanym i zamęczonym więźniom obozu koncentracyjnego Stutthof i jego podobozów.

Jako jeden ze Stutthofskich więźniów (nr 35790) przybyłych pierwszym transportem, któremu udało się przeżyć, nie będąc na żadnej funkcji obozowej, przez cały okres trwania tego obozu, tj. od 29 czerwca 1944 r. do 1 maja 1945 r., przekazuję wszystko to, co osobiście mogłem zobaczyć, usłyszeć i doświadczyć.

Tytuł *Bunkry na ruinach* przyjąłem, biorąc za podstawę obecny stan zakładów, które pochłonęły tyle ofiar. Do napisania wspomnień posłużyły mi notatki spisane kilka miesięcy po odzyskaniu wolności. Za nieścisłości i opuszczenia oraz miejscami nadmierne skróty – proszę o pobłażanie.

¹¹ Zwyczajka, również bocian – wieżyczka strażnicza.

¹² Związek Bojowników o Wolność i Demokrację – organizacja powstała w 1949 r. w wyniku zarządzonego odgórnie zjednoczenia 11 organizacji kombatanckich i grupujących byłych więźniów obozów. W 1990 r. przekształcona w Związek Kombatanatów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych.

Rozdział I

W Stutthofie

W zimny, deszczowy wieczór, 24 maja 1944 r., pod liczną i silnie uzbrojoną w ciężką i ręczną broń maszynową eskortą, przybył z Pawiaka do Stutthofu transport więźniów w liczbie niespełna 900 osób. Po drodze do pociągu wiozącego więźniów doczepiono jeszcze jeden wagon z Płocka, wypełniony więźniami skutymi po dwóch ciężkimi łańcuchami.

Pierwsze wzrokowe spotkanie z tymi więźniami odbyło się podczas przesiadania na wąskotorówkę w Nowym Dworze Gdańskim. Do wypełnionych wagonetek więźniami z Pawiaka żandarmi i SD¹³ kazali tym biedakom wsiadać, dopychając ich kolbami karabinów.

Przejęcie transportu przez obozowe SS-Totenkopfverbände odbywało się przy zabudowaniach stacyjnych w Stutthofie. Długo trwało ustawianie i liczenie więźniów. Wielu słabszych ślaniało się na nogach. Najgorzej odczuli to skuci łańcuchami.

W niewielkiej odległości od budynku stacyjnego, w lesie między drzewami, na dwu słupkach wkopanych w ziemię, widniała dużych rozmiarów tablica z napisem „Sommerlager”¹⁴.

W pierwszym odczuciu nie wyglądało to groźnie. Sytuacja się zmieniła, kiedy pochód ruszył. Schodząc w dół, obok budynku SS-Lagerverwaltung, można było dostrzec umieszczoną na dachu, łopoczącą na wietrze dużych rozmiarów czarną flagę, a na niej pośrodku w odcieniu srebrnym Blitz-SS¹⁵.

Tuż za budynkiem zaczynał się teren obozu, ogrodzony gęsto kolczastym drutem zawieszonym na izolatorach przymocowanych do słupów. Oznaczało to, że ogrodzenie znajduje się pod napięciem. Tuż za ogrodzeniem przy wejściu stała zwyżka, nad bramą tablica z napisem „Arbeit macht frei”¹⁶. To był już inny świat.

Dochodząc do bramy od czoła kolumny¹⁷ padła komenda „Mützen ab!”¹⁸. Kto się nie zorientował i nie zdjął czapki, dostał mocno po głowie. Za trzecią bramą kolumna

¹³ SD, Sicherheitsdienst – (niem.) Służba Bezpieczeństwa; zob. przyp. 34.

¹⁴ (niem.) Obóz letni.

¹⁵ Chodzi o symbol SS – stylizowaną, podwójną runę ʒ, podobną do błyskawicy (niem. Blitz – błyskawica).

¹⁶ (niem.) Praca czyni wolnym.

¹⁷ Kolumna, również komando, brygada – grupa robocza kierowana do pracy.

¹⁸ (niem.) Czapki zdejść!

wkroczyła na teren starego obozu. Mijając kolejno baraki, przy których stało wielu starych więźniów, rozległ się donośny głos:

- Niemcy między wami są?
- Nie, tylko folksdojcz¹⁹ – padła odpowiedź.
- No to folksdojcz wystąp.

Wystąpiło trzech i jeden Ormianin. Obskoczyło ich kilku kapo i wymierzili im kilka mocnych ciosów, po czym folksdojcz szybko wrócili do szeregu. Poznali prawo pięści.

Starzy więźniowie nosili ubrania cywilne z namalowanymi na plecach marynarek i nogawkach u spodni czerwonymi krzyżami. Na piersi mieli przeważnie zielone winkle²⁰ z numerami²¹ cztero- i pięciocyfrowymi. Ubiór uzupełniały czarne berety noszone zawiadacko na głowach. Odtąd ten typ więźniów dla wielu stał się postrachem, gdyż byli to kapo i wszelkiej maści funkcjni²².

Niebawem zaczęto wpuszczać do baraku. Wewnątrz był ścisk nie do opisania. W pewnym momencie wszystkich z powrotem wyrzucono na zewnątrz. Po upływie kilkunastu minut ponownie kazali wchodzić pojedynczo. Przy wejściu do baraku z obu stron ustawili się kapo z deską i esesman z pejcem. Każdego, kto teraz wchodził, grzmocili po plecach i po głowie. Najwięcej ciosów otrzymali ci od końca, którzy przy wypełnionym pomieszczeniu nie mogli szybko przycisnąć się do środka. Ale był to dopiero początek. Nie wszyscy się jednak zmieścili. Do takich należała cała grupa skutych łańcuchami,

¹⁹ Folksdojcz, również Volksdeutsch – w czasie II wojny światowej osoba wpisana na tzw. Folkslistę. Niemiecka lista narodowa (Deutsche Volksliste – DVL) składała się z czterech grup: do pierwszej wpisywano osoby narodowości niemieckiej, które przed 1 IX 1939 r. wykazywały niemiecką aktywność narodową; do drugiej – zachowujące bierność w walce narodowościowej, pod warunkiem jednak, że zachowały narodowość niemiecką; do grupy trzeciej wpisywano osoby: a) pochodzenia niemieckiego, które z czasem uległy polonizacji, ale ze względu na ich postawę można było przypuszczać, że staną się pełnowartościowymi członkami niemieckiej wspólnoty narodowej, b) nie mające niemieckiego pochodzenia, ale żyjące w małżeństwie z osobami narodowości niemieckiej, c) o niewyjaśnionej przynależności narodowej, które przed 1 IX 1939 r. wprawdzie nie przyznawały się do niemczyzny i posługiwały się językiem słowiańskim, ale ze względu na związek krwi i kultury ciążyły ku niej (zdaniem władz okupacyjnych np. Kaszubi); czwarta grupa to osoby pochodzenia niemieckiego, które zostały całkowicie spolonizowane. Wpisani do I i II grupy DVL uzyskiwali niemiecką przynależność państwową ze skutkiem od 26 X 1939 r., pozostali nabywali taką przynależność do odwołania (okres 10 lat). Zob. J. Sziling, *W Rzeszy – czym była niemiecka okupacja na Pomorzu* [w:] *Polskie Państwo Podziemne na Pomorzu 1939–1945*, red. G. Górski, Toruń 1999, s. 29 i n.

²⁰ Winkiel – (niem. Winkel – kąt, trójkąt) trójkąt naszyty na ubranie obozowe, w który wpisana była litera określająca narodowość więźnia. Kategorię rozpoznawano po kolorze winkla. Czerwony nosili więźniowie polityczni (Schutzhäftling), czyli działacze opozycyjni wobec NSDAP, konspiratorzy, duchowni katolicy, dezertery, ofiary donosów i przedstawiciele „ras niższych” – Polaków, Rosjan i Żydów. Zielonym oznaczano tzw. zawodowych przestępców kryminalnych (Berufsverbrecher) – byli to niemal wyłącznie więźniowie narodowości niemieckiej, pełniący stanowiska funkcyjne. Czarny trójkąt noszony był przez tzw. więźniów społecznych (Asoziale) – żebraków, prostytutki, włóczęgów. Pozostałe kolory w KL Stutthof to: fioletowy – dla badaczy Pisma Świętego (Bibelforscher) i różowy – dla homoseksualistów (Homosexuell). Dla więźniów narodowości żydowskiej wprowadzono oznaczenie w postaci sześcioramiennej gwiazdy – połączenia dwóch trójkątów. A. Chyrek, *Numencja i sposób oznaczania więźniów w obozie Stutthof*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, nr 2, s. 205.

²¹ Numery na kawałkach białego płótna, które więźniowie naszywali na obozowym ubraniu, wydawane były od 1942 r. (wcześniej wypisane były kolorowym ołówkiem na kawałku kartonu, który każdy musiał przechowywać). Umieszczano je nad kolanem, na prawej nogawce spodni, i na piersi, po lewej stronie marynarki. *Ibidem*, s. 206.

²² W dalszej części wspomnień przewijać się będzie określenie „stare numery” – tak nazywano więźniów przybyłych do danego obozu w pierwszych transportach, głównie niemieckich kryminalistów, spośród których wywodziło się wielu kapo i więźniów funkcyjnych.

choć później łańcuchy im zdjęto. Musieli oni pozostać na dworze, moknąc przez całą noc, gdyż z niewielkimi przerwami padał deszcz.

Następnego dnia rano nad Stutthofem chyżo sunęły szare ołowiane chmury. Pułap ich był tak niski, iż zdawało się zahaczy wierzchołki drzew, ale deszcz przestał padać. Na ulicę między barakami wyniesiono kosz z chlebem pokrojonym na niewielkie kawałki posmarowane odrobiną marmolady. Każdemu wydano po kawałku takiego chleba i po kubku kawy. Jeszcze nie wszyscy pobrali kawę, a już rozpoczęło się sprawdzanie obecności według trzech list przywiezionych z Pawiaka. Nazwiska odczytywał SS-Scharführer²³. Należało głośno odpowiadać „jest!”. Kilka wyczytanych nazwisk pozostało bez odpowiedzi. Dotyczyły one osób, bądź wyreklamowanych na Pawiaku podczas formowania transportu, bądź wcześniej przesuniętych na „Gęsiówkę”²⁴, skąd następnie wydostali się do domu. Tak było ze znanym warszawskim aktorem Feliksem Chmurkowskim²⁵ i jego kolegą. Na Pawiaku zetknąłem się z nimi w celi 182 na oddziale piątym.

Po sprawdzeniu obecności należało poddać się kolejnym zabiegom. Najpierw fryzjer – strzyżenie do gołej skóry i golenie tępą brzytwą. W innym baraku rozebranie do naga. Ubranie należało związać własnym paskiem i przystąpić do dalszych zabiegów. A więc rozwarcie palców u rąk, zgięcie w pół tułowia tyłem do okna, dotykając głową do podłogi. Tu łowca kosztowności zaglądał przez powiększające szkło do odbytnicy, szperając głęboko, czy czegoś nie ukryto.

W następnym pomieszczeniu stał stół obity ceratą, a przy nim golarz z okrwawioną brzytwą. Tu należało zmoczyć owłosienie podbrzusza i położyć się plecami na stole, rozwierając szeroko nogi. Wygłanie podbrzusza było jeszcze bardziej bolesne, niż golenie brody tępą brzytwą. Po tym zabiegu krew sączyła się po nogach. Reszta poszła gładko – przysznic zimną wodą, zanurzenie w beczce z roztworem gęstej brudnej cieczy, w następnym pomieszczeniu (magazynie) pobranie obozowej bielizny, pasiaków, skarpet, drewniaków, okrągłej pasiastej mycki i na ostatek numerów odbitych w czerwonym winklu z literą „P”²⁶ na dwu białych szmatkach.

Zarówno zabiegi, jak i wydawanie odzieży, odbywały się w sposób niezwykle brutalny, ponieważ obsługę przebiegłą stanowiły „stare numery” na funkcjach. Nieopodal beczki z roztworem stało dwóch więźniów w białych fartuchach, starannie ubranych i domytych. Na głowie mieli włosy starannie pielęgnowane, ręce nie skalane brudną robotą. Przechodzącym do zanurzenia w beczce przyglądali się z zaciekawieniem. W pewnej chwili jeden z nich zbliżył się do mnie i jakby od niechcenia zapytał:

- A wy, za co?
- Za to, co wszyscy – odparłem.
- Z Warszawy?

²³ SS-Scharführer – podoficerski stopień w SS, odpowiednik starszego plutonowego.

²⁴ „Gęsiówka” – obóz pracy przy ul. Gęsiej (obecnie ul. Anielewicza) w Warszawie (Arbeitserziehungslager der Sicherheitspolizei Warschau), stanowiący część KL Warschau, który powstał w 1943 r. i istniał do wybuchu powstania warszawskiego. Zginęło w nim ok. 20 tys. więźniów.

²⁵ Feliks Chmurkowski – ur. 18 V 1896 r., aktor i reżyser teatralny (głównie scen warszawskich) i filmowy, 24 V 1944 r. został skreślony z listy transportowej do KL Stutthof, zm. 16 IV 1971 r.

²⁶ Inicjał od Pole – (niem.) Polak.

– Tak.

Patrzył na mnie jeszcze chwilę, po czym cofnął się na stare miejsce. Jak się później okazało, był to lekarz Bolesław Kaczyński, z którym wiele miałem do czynienia. Ubranych w pasiaki zebrali większą grupą i odprowadzili na blok²⁷ dziewiętnasty, znajdujący się na terenie nowego obozu.

Przy przechodzeniu bramy należało czapki zdjąć i przejść równym krokiem przed postenem²⁸ stojącym na zwyżce, który liczył przechodzących. Dla ułatwienia orientacji liczącym, kolumny formowano piątkami w rzędach. Tak już było zawsze. *Vis-à-vis* zwyczaj stały budki. Jeśli przy budce stał esesman, prowadzący kolumnę musiał każdorazowo meldować liczbę więźniów przechodzących przez bramę. Rzędy musiały być wyrównane.

Blok dziewiętnasty zapełniono więźniami z Pawiaka, tych którzy się nie zmieścili ulokowano na bloku osiemnastym. Przywiezionych w kajdanach ulokowano na blokach osiemnastym i siedemnastym. Blokowym dziewiętnastki był Niemiec Emil Bilkowsky²⁹, a jego pisarzem Polak Franciszek Marciniak³⁰. Pod rządami tych dwóch kapo blok dziewiętnasty nie miał najlepszej sławy. Jak mówiono, w zamęczaniu więźniów konkurował on z blokiem ósmym, gdzie na funkcji blokowego był kapo Waclaw Kozłowski, znany morderca ze Stutthofu.

Zresztą widać to było po więźniach, którzy – w chwili przybycia transportu z Pawiaka – opuszczali blok dziewiętnasty. Mówiono o nich, że poszli w transport do Mauthausen³¹. Zgnębieni, wymizerowani, słaniając się na nogach odchodzili z zadowoleniem, ledwie po czterotygodniowym pobycie na tym bloku.

Jak na warunki obozowe, czystość i porządek na bloku dziewiętnastym były utrzymane. Umywalnia, ustępy do siadania z przykrywami, woda bieżąca w kranach i rurkach nad korytami do mycia. W praktyce te udogodnienia miały niewielkie zastosowanie. W części mieszkalnej bloku oświetlenie elektryczne, kojka piętrowe potrójne. Do każdego kojka³² lokowano po dwóch, a więc taki zestaw mieścił sześć osób. Ja trafiłem do tej części bloku, którą nadzorował Marciniak. Tu ulokował się także profesor SGGW³³ Jan Rostafiński z ludźmi swego otoczenia. Już w pociągu – jechaliśmy w bydłych wagonach po 50 osób – profesor Rostafiński miał asystę ludzi, z którymi opróżniał paczki

²⁷ Blok – obozowy barak mieszkalny.

²⁸ Posten – esesman pełniący wartę na wieży strażniczej lub pilnujący więźniów przy pracy (niem. Posten – posada, stanowisko).

²⁹ Emil Bilkowsky – ur. 12 VII 1900 r., więzień KL Stutthof nr 12821, przebywał w nim od 27 II 1942 r. do 25 I 1945 r. Zob. K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof. Ze wspomnień...*, s. 7.

³⁰ Franciszek Marciniak – ur. 17 XI 1902 r., więzień KL Stutthof nr 100131. Zob. *ibidem*, s. 7–8.

³¹ KL Mauthausen (od 1940 r. KL Mauthausen-Gusen) – obóz koncentracyjny założony w 1938 r. Początkowo więziono w nim głównie niemieckich i austriackich socjalistów, komunistów, homoseksualistów, później także innych więźniów różnych narodowości, którzy pracowali w kamieniołomach i zakładach zbrojeniowych. Obóz wyzwoliła armia amerykańska 5 V 1945 r. Więziono w nim w sumie ponad 300 tys. osób, z czego ponad 100 tys. zginęło.

³² Kojko – drewniane łóżko, najczęściej długie na 190, szerokie na 70 i wysokie na 200 cm.

³³ Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie – najstarsza w Polsce wyższa uczelnia rolnicza, której początki sięgają 1816 r. W czasie II wojny światowej została zamknięta przez okupantów, prowadziła jednak tajne nauczanie.

zabrane z Pawiaka. A przecież gestapowcy³⁴ przy formowaniu transportu zabronili zabierania ze sobą jakichkolwiek paczek i ręce wiązali z tyłu.

Aktywiści z otoczenia profesora Rostafińskiego puścili plotkę, że najbardziej zasłużeni dla kraju są więźniowie trzeciej grupy, gdyż siedzą za najcięższe sprawy. Chyba tak nie było. Kiedy byłem na ponownym przesłuchaniu na Gestapo w al. Szucha, w maju 1944 r., z rozmów między gestapowcami doszło do moich uszu, że trzy transporty przejmie jeden KL. Po zakończeniu zeznań, przy podpisywaniu arkusza (podpisywałem bardzo wolno), przesłuchujący mnie gestapowcy o wyroku na mnie porozumiewali się mimiką i gestami. W pewnym momencie padło słowo „Auschwitz”³⁵, co oznaczało Oświęcim, a wyładowałem w Stutthofie.

Pierwszy dzień pobytu w Stutthofie przypadł na czwartek 25 maja. Było zwyczajem, że raz w tygodniu – co czwartek – wydawano na obiad zawieszistą kaszę z żyta. W tutejszych warunkach uchodziła ona za rarytas. Jak się później okazało nie było w tym nic przesady.

Po obiedzie do szuby³⁶ Marciniaka przyszedł blokowy Emil Bilkowsky. Na powitanie wszyscy powstali z miejsc. W jego szubie takie powitanie już się odbyło. Emil zaczął przemówienie, przybierając nadętą pozę. Wygłaszał je po niemiecku. Ważniejsze ustępy tłumaczył profesor Rostafiński. Bilkowsky z miejsca podkreślił, że on też jest heftlingiem³⁷, żąda porządku i dyscypliny. Opornych i tych, którzy nie będą chcieli zrozumieć jego intencji, będzie karał, a nawet złoży raport do SS-Scharführera. Uważał on jednak, że warszawiacy są elementem inteligentnym i do dalszych drastycznych zdarzeń nie dojdzie. Oczywiście podczas wygłaszania mowy dukał, plątał słowa i często się powtarzał. Jeśli do tego dodać niski wzrost i wygląd złośliwego kretyna, wrażenie zrobił jak najgorsze.

Na noc, lokując się do kojka, dołączył do mnie chłopiec lat około 16, nazwiskiem Biernat³⁸. Pochodził on ze Starego Miasta. Został schwytyany w łapance ulicznej, gdy znalazł się w tak zwanym „kotle”. Akurat miał przy sobie gazetki konspiracyjne, których nie mógł się pozbyć. W tym czasie ich kolportaż był grubym przestępstwem.

³⁴ Gestapo – skrót od Geheime Staatspolizei. Tajna Policja Państwowa III Rzeszy utworzona w 1933 r. Z czasem stała się głównym organem śledczym w sprawach politycznych, wyłączonym spod kontroli sądowej. W 1936 r. rozpoczęto proces prowadzący do połączenia Gestapo i Kripo (skrót od Kriminalpolizei – Policja Kryminalna) w Sipo (skrót od Sicherheitspolizei – Policja Bezpieczeństwa), która została podporządkowana szefowi partyjnej SD. Podczas II wojny światowej Gestapo wchodziła w skład RSHA (skrót od Reichssicherheitshauptamt – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy), a wszyscy urzędnicy Gestapo zostali wcieleni do SS. W 1946 r. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał Gestapo za organizację zbrodniczą.

³⁵ KL Auschwitz – obóz koncentracyjny utworzony w połowie 1940 r. na przedmieściach Oświęcimia, z czasem rozrósł się w kompleks obozów koncentracyjnych i zagłady obejmujących trzy obozy główne: Auschwitz I (Oświęcim), Auschwitz II – Birkenau (Brzezinka) i Auschwitz III – Monowitz (Monowice) oraz kilkadziesiąt podobozów. W 1942 r. stał się jednym z ośrodków ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej (niem. Endlösung der Judenfrage), nazistowskiego planu wymordowania Żydów zamieszkujących tereny okupowane przez III Rzeszę. Ostateczną ewakuację obozu rozpoczęto 17 I 1945 r. Więźniowie pozostali na miejscu zostali wyzwoleni przez Armię Czerwoną 27 I 1945 r. W latach 1940–1945 do KL Auschwitz trafiło ok. 1,3 mln osób, z czego niemal 1,1 mln zginęło.

³⁶ Sztaba – izba, część bloku (niem. Stube – izba).

³⁷ Heftling, również Häftling – (niem.) więzień.

³⁸ Stanisław Biernat – ur. 19 V 1927 r., więzień KL Stutthof nr 35696.

Następnego dnia przezornie wstałem o czwartej rano, na godzinę przed pobudką. O tej porze umywalnia była jeszcze pusta, więc mogłem umyć się swobodnie. Po pobudce, gdy wszyscy cisnęli się do umywalni, zamknięto dopływ wody. Tak było codziennie. W następnych dniach można było umyć się, ale tylko wieczorem, po przyjściu z pracy.

O piątej rano chleb pokrojony na kawałki leżał już ułożony na stole. Zaraz po pobudce należało szybko pobrać kawę i stanąć w kolejce po chleb. Równie szybko należało posłać kojko i powymiatać z kątów. Teraz Marciniak wyprowadzał swoją grupę przed blok, po czym dołączała grupa ze sztuby Emila. Ustawianie przed blokiem po dziesięciu. Równanie i krzyk jak w wojsku. Marciniak i Emil liczyli wielokrotnie ustawione szeregi. Gdy się upewnili, że stan się zgadza, rozpoczynali ćwiczenia z czapkami. Na komendę „Mützen ab!” i „Mützen auf!”³⁹ zdejmowano i zakładano czapki. W tym czasie Emil co chwila wyglądał przed blok, oczekując na pojawienie się Rapportführera⁴⁰. A kiedy go ujrzął, wyprostował się i z przejęciem krzyknął:

– Achtung!⁴¹ Mützen ab!

Oczywiście zdejmowanie i zakładanie czapek nie wypadło równo. Emil darł się na całe gardło ile miał sił i groził:

– Ja was nauczę!

Tak też się stało. Po zdaniu raportu Emil i Marciniak jeszcze bardziej intensywnie podawali komendę. A im dłużej trwało to ćwiczenie, tym gorzej wykonywano podawaną komendę. Wszystko to trwało długo. Tymczasem niebo zasnuło się chmurami i z porywistym wiatrem chlusnął deszcz. Mimo to ćwiczenia z czapkami nie przerwano. Dopiero kiedy deszcz przestał padać, przerwano ćwiczenia z czapkami, a Emil część więźniów skierował do sprzątania na bloku i w rejonie, pozostałym zaś kazał ćwiczyć gimnastykę i naukę marszu. Gimnastykę miał prowadzić przybyły z nami więzień nazwiskiem Głowacki⁴². Profesor Rostafiński od gimnastyki został zwolniony.

Ćwiczenia i marsze odbywały się na ulicy pomiędzy blokami siedemnastym a dwudziestym. W marszu spontanicznie śpiewano wojskowe polskie piosenki. Gdy to usłyszały więźniarki z pobliskich baraków, rozrzewniły się i poczęły przerzucać przez druty w parkanie kawałki chleba, często posmarowane margaryną. Baraki kobiece oddzielone były od ulicy tylko jednorzędowym drutem kolczastym bez napięcia. Ułatwiło to przerzuty i zbliżenie. Więźniarki przerzucały kawałki chleba w maszerującą kolumnę. Kto przechodził w pobliżu, mógł taki kawałek chleba złapać.

W przerwie między gimnastyką a marszem wyłowiono z kolumny więźnia nazwiskiem Przyklenk-Frankowski⁴³. Podawał się on za Reichsdeutscha⁴⁴ z Łodzi. Na Pawiaku był na funkcji pisarza na oddziale szóstym. Podobno na tej funkcji szykanował więźniów.

³⁹ (niem.) Czapki włożyć!

⁴⁰ Rapportführer – członek sztabu komendatury obozu, do którego obowiązków należało m.in. prowadzenie apelu i składanie raportów o stanie liczebnym więźniów. Odpowiedzialny był także za doprowadzenie więźniów do poszczególnych placówek komendatury, również do lekarza.

⁴¹ (niem.) Uwaga!

⁴² Włodzimierz Głowacki – ur. 5 IX 1910 r., więzień KL Stutthof nr 35760, zm. 28 VIII 1995 r.

⁴³ Paul Przyklenk-Frankowski – ur. 10 III 1893 r., więzień KL Stutthof nr 35927.

⁴⁴ Reichsdeutsch – obywatel Rzeszy.

Przy bloku osiemnastym chciano go zlinczować. Z opresji tej wybronili go kapo znajdujący się w pobliżu. Po tym sprawa ucichła, gdyż był zakaz dokonywania wszelkich samosądów. Przywilej mordowania należało do kapo i ich pomocników na funkcjach. A jak zamęczano ludzi w Stutthofie, opowiedział o tym Marciniak:

„Początkowo więźniowie numerów nie nosili. Od czasu, jak wprowadzono numery więźniów, do chwili przybycia ostatniego transportu z Pawiaka (25 maja), wydano około 35 tys. nie zawsze kolejnych numerów. Więźniowie sprowadzani w mniejszych grupach lub pojedynczo, otrzymywali numery po zamęczonych. Z liczby objętej numeracją około 10 proc. wysłano do innych obozów koncentracyjnych. W Stutthofie pozostało około 800 więźniów na różnych funkcjach. Ocenia się, że około 30 tys. więźniów zostało zamęczonych”.

Z informacji tej wynikało, że szanse przeżycia mają nieliczni. W rzeczywistości informacje Marciniaka – jak również innych starych numerów – nie na wiele się zdały, gdyż zaraz od pierwszych dni powstały duże różnice pomiędzy więźniami przybyłymi z Pawiaka. Sprawą niezwykle bolesną był fakt powstania podziału całego transportu na lepszych i gorszych, to jest – jak to siebie określili aktywiści – na „inteligencję” i „szumowiny”. Nieszczęściem dla narodu polskiego jest tworzenie podziału społeczeństwa na klasy, grupy i grupki. I tym razem stosunkowo niewielka grupa więźniów, nawet w obliczu czarnych dni śmierci, nie uniknęła takiego podziału. Hasło wyszło z „trzeciej grupy”.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Tych, którzy przeszli przez Kripo⁴⁵, uznano za bandytów – słowo zaczerpnięte z terminologii Gestapo. W przerwach między ćwiczeniami uwijali się w zbiorowisku więźniów „ci lepsi”, wypytując każdego na jakim tle został aresztowany. Oczywiście rzadko kto powiedział prawdę. Koło mnie, na zadane mu pytanie, odpowiadał Michał Gabrych⁴⁶ (z pierwszej listy) – „zostałem schwytyany w łapance”. To była tylko część prawdy. Jego prawdziwe nazwisko to Władysław Włodarkiewicz, były radny miasta Łodzi. W 1939 r. znalazł się po stronie rosyjskiej i tam trafił do łagru. Podczas formowania pierwszych polskich formacji wojskowych w Rosji znalazł się u gen. Andersa⁴⁷. Następnie przeszedł na Bliski Wschód, gdzie odbył półroczne przeszkolenie Cichociemnych⁴⁸. Na początku 1943 r. został zrzucony z samolotu na pola pod Raszynem koło Warszawy, z odpowiednim wyposażeniem do akcji dywersyjnej łączności. Wkrótce potem rozpoczął działalność konspiracyjną na Saskiej Kępie. Pech chciał, że został schwytyany w „kotle” przez żandarmerię polową w Parku Skaryszewskim na Pradze.

⁴⁵ Kriminalpolizei; zob. przyp. 34.

⁴⁶ Michał Gabrych (wł. Władysław Włodarkiewicz) – bliższych danych nie ustalono.

⁴⁷ Władysław Anders – ur. 11 VIII 1892 r., od 1934 r. generał brygady (od 1941 r. – dywizji, od 1945 r. – broni), uczestnik kampanii wrześniowej, później (do 1941 r.) w niewoli sowieckiej, po zwolnieniu twórca i dowódca Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, następnie dowódca Armii Polskiej na Wschodzie i 2 Korpusu Polskiego, od 2 X 1944 r. do 5 V 1945 r. pełniący obowiązki Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych oraz Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, zm. 12 V 1970 r.

⁴⁸ Cichociemni – żołnierze Polskich Sił Zbrojnych przerzucani drogą lotniczą – po przeszkoleniu w Wielkiej Brytanii – do okupowanej Polski.

W warunkach więziennych prawdziwi działacze i konspiratorzy nie ujawniali swego zaangażowania. Tak samo umieszczenie danego więźnia na pierwszej, drugiej czy trzeciej liście, nie miało praktycznie żadnego znaczenia. Takich przykładów, jak z Gabrychem, można by mnożyć.

Drugim posunięciem aktywistów było odsunięcie od noszenia kotłów z zupą więźniów uznanych za „szumowiny”. Następnie doszli do porozumienia z kobietami-więźniarkami, ażeby pajdek chleba nie przerzucać. Pod wieczór jeden spośród nich będzie odbierał całość, a profesor Rostański sprawiedliwie dzielił. Ponieważ jednak pajdek chleba było zawsze mniej, niż obecnych w sztubie, tak się jakoś układało, że pajdki otrzymywali przeważnie ci sami z otoczenia profesora.

Ta sama grupa dorwała się do krojenia chleba i dodatków: margaryny, kiszki lub kiełbasy. Zdarzało się czasem, że do chleba wydawano po łyżeczku marmolady. Żeby ułożonych na stole pajdek samemu nie brać po kolei, znaleźli się usłużni, którzy podawali je każdemu do ręki. Najpierw patrzyli, kto następny, i swoim podawali pajdki nieco większe, innym mniejsze. Aktywiści mieli więc możliwość przygotować dla siebie śniadania i kolacje znacznie większe. Widać to było po coraz mniejszych kawałkach chleba otrzymywanych w kolejce.

Po udanym śpiewie żołnierskich piosenek w marszu, wyłoniła się sprawa utworzenia zespołu śpiewaków. Z miejsca znalazło się wielu chętnych, zarówno do udziału w śpiewie, jak i do prowadzenia takiego zespołu. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Na „zapiewajło” i dyrygenta Marciniak i Emil wyznaczyli z grona aktywistów więźnia nazwiskiem Włodzimierz Głowacki (właściwie Głowacki sam się narzucił). Resztę obsady dobierał on sam⁴⁹.

Przynależność do zespołu dawała pewne przywileje. W okresie kwarantanny, wszyscy ćwiczący zwalniani byli od robót w komandach i od robót porządkowych na blokach i w obejściu. Ponadto otrzymywali dodatkowy chleb – całe bochenki – i większe porcje dodatków. Były to ilości wygospodarowane przez Marciniaka i Emila z ogólnych przydziałów na bloki – kosztem więźniów chodzących do robót. Zespół śpiewaków rozrastał się i nazywano go potocznie mianem „komediantów”.

W tym roku koniec maja i początek czerwca miał to do siebie w Stutthofie, że niemal codziennie padał deszcz. Jeśli się zdarzyło, że podczas deszczu więźniowie znajdowali się na bloku pod dachem, Emil natychmiast wypędzał wszystkich przed blok i rozpoczynał ćwiczenie z czapkami. Po takich zajęciach wracaliśmy przemoknięci do suchej nitki.

Ale były to dopiero początki. Nawet głodne racje chleba i beztreściwe zupy obiadowe w pierwszych dniach można było znieść. W miarę upływu czasu, jak wewnętrzne zasoby organizmu wyczerpywały się, głód stawał się nieznośny.

Niedziela, czwarty dzień pobytu w obozie. Po apelu⁵⁰ pozwolono wejść do baraku. Dzień był dość zimny, więc humory nieco poprawiły się, ale czy na długo? Zapowiedziano

⁴⁹ Zob. M. Owsiański, *op. cit.*, s. 141.

⁵⁰ Apel – zbiórka więźniów na placu apelowym, służąca m.in. sprawdzeniu liczby obecnych. W obozach zarządzana najczęściej dwa lub trzy razy dziennie – rano przed wyjściem do pracy i wieczorem po powrocie, ew. również podczas przerwy obiadowej.

bowiem ogólną kąpiel pod prysznicem. Od udziału w niej zostali zwolnieni profesor Rostafiński i niektórzy z jego otoczenia.

Kąpiel zaczęła się około godziny dziesiątej przed południem. Na sztubie kazano rozebrać się do naga i czekać przy swoim kojku. Zanim wpuszczono nagusów do umywalni, upłynęło sporo czasu. Z zimna szczękano zębami. Pod prysznicem nowa niespodzianka – zapowiedzianej ciepłej wody nie było. Drżąc z zimna każdy musiał stać pod prysznicem i oblewać się zimną wodą tak długo, aż ostatni został porządnie obłany. Przed wyjściem z umywalni należało dodatkowo zanurzyć nogi w zimnej wodzie. Po tej lodowatej kąpeli wielu dostało kaszlu.

Tymczasem Głowacki dobierał rymy do piosenek na cześć kapo: „Blokowy ze Schreiberem⁵¹ dali nam chleba z serem, na bloku kazali spać na boku...”. Emil, zadowolony z uznania, w przerwie obiadowej rzeczywiście pozwolił położyć się koło kojka na podłodze. W każdą niedzielę apel odbywał się po południu o godzinie drugiej. W tym czasie komanda wracały z robót. Po apelu – do wieczora – wolne. Snuliśmy się więc przy bloku.

Od poniedziałku, godziny piątej rano, dalszy ciąg tego samego. Szybko śniadanie, uprzątnięcie sztuby, apel, ćwiczenia z czapkami, marsz ze śpiewem i gimnastyką. W przerwach wałęsanie się pod blokiem i oczekiwanie na nędzną obiadową brukiew.

W tym czasie niektórym rozwiązywały się języki. Głowacki głosił, że po wojnie należy usunąć resztki zienawidzonego reżimu przedwrześniowego. Na polski tron najlepiej wprowadzić króla angielskiego, ponieważ Polacy nigdy nie potrafili rządzić się porządnie. Większość jednak milczała i zdań na ten temat nie wypowiadała głośno.

Koło mnie kręcił się niski, gruby mężczyzna w wieku nieco powyżej pięćdziesiątki. Zainteresowałem się, co on ode mnie może chcieć? Zapytałem więc wprost – co się tak za mną kręci? Odpowiedział, że jest redaktorem „Jutra P.N.”⁵², przed wojną pracował w „dwójce”⁵³, chciałby się czegoś więcej o mnie dowiedzieć. Odpowiedziałem krótko: jeśli przeżyjemy – na co jest słaba nadzieja – to niech się zgłosi do mnie, będzie na pewno okazja wszystko dokładnie wyjawić i opowiedzieć. Teraz nie pora na takie rozmowy.

Z każdym dniem pogłębiały się różnice pomiędzy więźniami przybyłymi z Pawiaka. Ogromna większość stroniła od aktywistów. Tak mijał następny tydzień. W tym czasie profesor Rostafiński przygotował dwa popularne wykłady z zakresu zoologii, które w przerwach od ćwiczeń wygłosił w formie pogładowej. Głowacki zaś szykował występy

⁵¹ Schreiber – pisarz blokowy. W ten sposób w skrócie określano również Lagerschreibera – pisarza obozowego, kierownika kancelarii obozu (niem. Lager – obóz, Schreiber – pisarz).

⁵² „Jutra P.N.” – tygodnik konspiracyjnej organizacji Polska Niepodległa, założonej w 1939 r. w Warszawie z inicjatywy ówczesnego pracownika Zarządu Miasta inż. Józefa Sulińskiego ps. „Zawisza” (1901–1944). Działacze Polskiej Niepodległej, prócz wydawania i kolportażu własnej prasy, prowadzili szkolenia wojskowe oraz uczestniczyli w akcjach sabotażowych i dywersyjnych.

⁵³ Oddział II – agenda Sztabu Generalnego, a następnie Sztabu Głównego Wojska Polskiego (od 1928 r.), odpowiedzialna za służbę wywiadowczą i kontrwywiadowczą II Rzeczypospolitej. Oddział II był głównym informatorem naczelnych władz państwowych oraz dowództwa Wojska Polskiego i sprawował kontrolę nad innymi instytucjami zajmującymi się działalnością wywiadowczą, np. Korpusem Ochrony Pogranicza czy Strażą Graniczną.

ze śpiewem i deklamacjami na aktualne tematy: *Paczka*⁵⁴, *Na cześć profesora*⁵⁵, *Pajdka*, itp.

W następną niedzielę po południu „komedianci” urządzili zapowiedziany występ. Sztuba Marciniaka wypełniła się funkcyjnymi i kapo z innych bloków. Przybył nawet polski kierownik Arbeitseinsatz⁵⁶. Dla więźniów szeregowych miejsca nie starczyło. Co ciekawsi cisnęli się przy drzwiach na korytarzu. Blokowi z innych bloków torowali sobie drogę mocnymi kułakami, bijąc w piersi lub boki. Na widok takiego krzyczano głośno: „ustąp, nie widzisz, kto idzie?”.

Patrząc na te występy jedni wzruszali ramionami i wykręcali się tyłem, inni złorzeczyli, jeszcze inni uważali, że wyczyn aktywistów powinien być potępiony. Wtedy to po raz pierwszy usłyszałem słowo „elicyarze”. Tak czy owak, grupa ta wyobcowała się ze społeczności pawiackiej i przeszła na stronę kapo i ich popleczników.

Zaraz potem profesor Rostański pytał kierownika Arbeitseinsatz, czy może mieć nadzieje na przetrwanie tego obozu. Na co tamten odpowiedział:

– Nie ma obawy, profesor na pewno przeżyje. – Zaproponował, żeby napisał podanie o przeniesienie do majątku, on je zaopiniuje i prześle do Berlina. Profesor podanie napisał. Kilka dni później przyszła odpowiedź, że może być przeniesiony do Oświęcimia, gdzie mają konie i krowy. Ze skierowania tego profesor Rostański nie skorzystał – jak mi później powiedział, po prostu bał się Oświęcimia.

⁵⁴ Treść tego utworu podaje K. Dunin-Wąsowicz: „Znów wczoraj wywołano listę paczek długą / I znów nazwiska mego przy tym nie wspomniano. / Inni dostali paczki: czwartą, trzecią, drugą... / A ja – znów mam nadzieję, tak jak wczoraj rano. / A dzisiaj... o radości! Cudowne zdarzenie! / Moje nazwisko! »Jestem«! Te ostatnie chwile / Wolno, wolno przechodzą – i nudno, i mile / Bo teraz mam już pewność: dziś będzie jedzenie. / Pobieżne oględziny – wypięzony stoję / Odnoszę zbożnie paczkę na stół oddalony / Uważnie badam każdy papier pognieciony... / Koniec! Wszystko w porządku: głodu się nie boję. / Chcesz warszawskiego »Sporta?« Tak mile się pali... / Jaka wspaniała paczka! Wszystko jest w Warszawie! / Oczy kolegów wpiły się w paczkę ciekawie. / Pomyśl: paczka od żony – to paczka od Hali... / Jak każdy kęsek z paczki wybornie smakuje... / Jakie kochane, drogie, pracowite ręce / Które trudzą się dla mnie. I ta myśl w udręce / Skąd wziąć na zakup tego? Leż to kosztuje? / I wniosek uporczywy w myśl moją się wwierca / Czy nie jest to z jej strony zbyt wielki wysiłek / Że nie jest to jedynie przesłany posiłek / Że dostałem po prostu cząsteczkę jej serca”; K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof. Ze wspomnień...*, s. 84–85.

⁵⁵ „Chłód Finlandii, żar Afryki / Cichy fiord i zachód Dziki / Góry, lasy i przesmyki / Oceany, morza, ład... / »On« jest wszystkim bardzo znany / Gościnnie podejmowany / I przez wszystkie wiedzny stany / Taki był wydany sąd / Refren: Pan profesor, pan profesor / Wszelkiej wiedzny on jest sędzią, on asesor / W uniwerku czy wszechnicy; każdy rad / Gdy profesor razem z nim taskawie siadł / I co idzie lwu na zdrowie? / Pan profesor ci opowie / I co trzeba dawać krowie / I nie wolno czego psu... / Jak z wiewiórki zrobić słonia / Jak nauczyć śpiewać konia / Jak na las przerobić błonia / Te pytania zadaj mu. / Refren: Pan profesor... / Zdziwiły się wszystkie stany / I laiki, i łachmany / Że profesor taki znany / Tu w Stutthofie z nami siadł... / Wielkim dla nas jest honorem / Że z pogodą i humorem / W życiu więźnia zwykłym torem / Twardy chleb on z nami jadł... / Refren: Pan profesor...”; *ibidem*, s. 85–86.

⁵⁶ Arbeitseinsatz – biuro przydziału pracy, które poprzez kontrolę zatrudnienia więźniów i rozdzielanie ich do poszczególnych komand miało wpływ na bezpośredni los wszystkich osadzonych. Jagodziński ma tu na myśli Leszka Zdrojewskiego (którego wymienia z nazwiska w dalszej części wspomnień) – ur. 8 IX 1922 r., więźnia KL Stutthof nr 18630, który formalnie nie był kierownikiem Arbeitseinsatz. Zob. A. Gąsiorowski, *Zdrojewski Leszek ps. „Żółw”* [w:] *Słownik Biograficzny Konspiracji Pomorskiej 1939–1945*, cz. I, red. H. Maciejewska-Marcinkowska, E. Zawacka, Toruń 2002. „Zdrojewski, który miał dostęp do kartoteki więźniarskiej, był »specjalistą« od przerabiania wpisów dotyczących zawodów, np. nauczyciela »przekwalifikował« na mistrza stolarskiego lub ślusarskiego. Praktyki takie stosowano przede wszystkim wobec członków polskiej konspiracji, którzy do obozu trafiali przeważnie po wyczerpującym śledztwie. Poprzez »zmianę zawodu« i przeniesienie do lekkiej pracy uratowano m.in. prof. SGGW Jana Rostańskiego [...]». M. Owiński, *op. cit.*, s. 139 (co istotne, autor powołuje się przy tym na relację samego Zdrojewskiego).

Tymczasem okres kwarantanny dobiegał końca. Spodziewano się teraz rzeczy gorszych. Miejscowa gazeta – „Danziger Vorposten”⁵⁷ – podała lakoniczną wiadomość, że alianci forsują Wał Atlantycki⁵⁸, utworzyli przyczółki, toczą się ciężkie walki w Normandii⁵⁹. To był istotny powód do zdenerwowania. Emil napadał z wyrzutami na Marciniaka, że za daleko posunął się w ustępstwach dla grupy profesora Rostafińskiego. Nadchodziły ponure dni.

W moim samopoczuciu też zaszły zmiany. 10 czerwca, stojąc na zbiorce, poczułem się jakoś lekko. Słońce wyjrzało zza chmurki i oświetliło mi twarz, zrobiło się weselej na duszy. A może było to następstwem snu? Tej nocy bowiem majaczył mi się dom rodzinny z jego atmosferą ciepła.

W przerwie między ćwiczeniami mój pogodny nastrój udzielił się innym. Śmiałyśmy się z byle czego. Do naszej grupy dołączył fryzjer, który golił profesora Rostafińskiego. Przechodząc obok, kiedy profesor siedział z namydloną brodą na taborecie, a on zabierał się do golenia, doszło do moich uszu zdanie głośno wypowiedziane przez profesora:

– Jak zostanę prezydentem, przyjdź do mnie na zamek, to ci się odwdzięczę. – Teraz fryzjer potwierdził, że po wyjściu z obozu ma zapewnioną pracę i stanowisko obiecanie przez profesora. I to było powodem do śmiechu.

W niedzielę 11 czerwca Marciniak oznajmił, że można pisać listy do domu. Ze względu na obozową cenzurę, podyktował treść: „Liebe Frau. Ich bin gesund, was ich auch von Euch hoffe. Schreibet bald auf deutsch. Lebensmittelpakete auch mit Brot sind in jeder Grosse auch jede Woche zugelassen. Eventuelle Geldsendung kann durch Postanweisung erledigt werden. Ich grüße Euch herzlich”⁶⁰. Każdy podpisywał pełnym imieniem i nazwiskiem. Listy pisano na formularzach z nadrukiem przepisów obozowych. Obowiązywał znaczek pocztowy za 12 fenigów – z tym było gorzej, ponieważ nie mieliśmy niemieckich pieniędzy. Jakoś jednak przeszkoda ta zbiorowo została pokonana i rodzina list otrzymała.

Około połowy czerwca z kolei list otrzymałem z domu. Siostra żony⁶¹ pisała, że Miteczka znajduje się na Pawiaku-Serbiu⁶², gdzie 10 czerwca urodziła mi córkę⁶³. Intuicja nie zawiodła, bowiem to było powodem mojego nastroju w tym dniu. W domu bez zmian.

⁵⁷ „Danziger Vorposten” – gdański organ prasowy NSDAP.

⁵⁸ Wał Atlantycki – system umocnień wzniesiony przez Niemców na okupowanych terenach Europy zachodniej, ciągnący się na długości niemal 4 tys. km.

⁵⁹ Łądowanie 3 mln żołnierzy (amerykańskich, angielskich i kanadyjskich) w Normandii stanowiło wstępną fazę operacji Overlord, przeprowadzonej przez morskie i powietrzne siły alianckie, trwającej od czerwca do sierpnia 1944 r. Celem operacji było przełamanie Wału Atlantyckiego.

⁶⁰ (niem.) Droga żono. Jestem zdrowy, czego i Wam życzę. Napiszcie wkrótce po niemiecku. Paczki żywnościowe, także z chlebem, są dozwolone co tydzień, niezależnie od wielkości. Ewentualną przesyłkę pieniężną można zrealizować za pomocą przekazu pocztowego. Pozdrawiam Was serdecznie.

⁶¹ Eugenia Denska – ur. 14 V 1911 r., zm. 1987 r.

⁶² Serbia – więzienie dla kobiet wybudowane w pierwszej połowie XIX w., sąsiadujące z Pawiakiem, podobnie wykorzystywane w czasie II wojny światowej i również wysadzone w powietrze. Obiegowa nazwa pochodzi od wojny serbskiej, czyli konfliktu turecko-rosyjskiego z lat 1877–1878 (mieścił się tam wówczas szpital wojskowy).

⁶³ Chodzi o Lilię Jagodzińską-Hamann.

17 czerwca wieczorem, na zbiórce, Marciniak wyczytał dziewiętnaście nazwisk. Wyczytanym kazał wystąpić z szeregu. Wszyscy oni przysłani byli na Pawiak przez Kripo. „Eliciarze” z grupy profesora Rostafińskiego zaliczyli ich do tak zwanych „szumowin”, a wybiórka ta była dziełem z ich inspiracji. Odesłano ich zaraz na blok ósmy, gdzie blokowym był znany morderca Wacław Kozłowski – miał on czerwony winkiel i numer 7029. Po ich odejściu Marciniak wyraził pogląd, że najdalej za dwa tygodnie przejdą przez komin w krematorium.

Jednym z wyczytanych był młody chłopiec. Spał on w kojku nade mną. Opowiedział mi, że mieszkał razem z matką w Warszawie przy ul. Chłodnej pod numerem 16. Należał do organizacji, brał udział w akcjach na niemieckie pociągi i przy wysadzaniu torów. Gdy zdobył zaufanie przełożonych, brano go na wypad, które zazwyczaj kończyły się „mokrą robotą”. Wszystkie pieniądze i zdobyczne rzeczy oddawał szefom, dostawał z tego niewiele. Któregoś dnia umówił się z kolegami i poszli na wyprawę na własną rękę. Wyprawa udała się, ale wkrótce zaczęła za nim węszyć Kripo. Sądził, iż został zadenuncjowany przez przełożonych, inaczej szpicle nie miałyby do niego dostępu. Po aresztowaniu przesłuchiwany był najpierw przez Kripo, następnie przez Gestapo – i tu, i tam, był mocno bity. W obozie chłopiec prezentował się dobrze, był inteligentny i pełen troski o matkę, która boleśnie przeżywała jego aresztowanie.

Następnego dnia redaktor „Jutra P.N.” usprawiedliwił przede mną dokonaną segregację więźniów. Nie podzielałem jego zdania.

Od poniedziałku 19 czerwca wysyłano nas do robót w komandach. Trafiłem do Hafenkmando⁶⁴, praktycznie do wyładowywania ciężkich brył kamieni z barek na ląd. Była to robota niezwykle ciężka, wyładowywanie odbywało się w sposób bardzo prymitywny. Po dwóch ułożonych balach kamienie wypychano siłą mięśni. Kapo stał na barce głośno pokrzykując. Żeby przyspieszyć tempo wyładunku, co chwilę kogoś ciął po głowie i plecach grubym kablem. Z pracy wracaliśmy z pokrwawionymi rękami i skatowani. „Eliciarze” pozostali na bloku – tych Marciniak oszczędzał.

W połowie tygodnia, zamiast wysłać nas do pracy, zatrzymano nas na bloku. Tego dnia dokonano przeglądu pod względem przydatności fizycznej. Każdy otrzymywał jedną z trzech liter – „A”, „B” lub „I”. „A” oznaczało „zdolny do ciężkiej pracy”, „B” – „mniej zdolny”, „I” – inwalida. Przeglądu dokonywał SS-Unterscharführer⁶⁵. Ogromna większość otrzymała literę „A”. Po przeglądzie wysłano nas do robót.

Tym razem trafiłem do DAW⁶⁶ jako Transportkraft⁶⁷, tj. do noszenia karabinów, które odbywało się z warsztatów rusznikarskich do wagonetek. W jedną stronę kładziono na ręce po cztery karabiny długie, z powrotem po pięć dużych lub sześć krótkich. Były

⁶⁴ Hafenkmando – grupa robocza kierowana do pracy w porcie (niem. Hafen – port).

⁶⁵ SS-Unterscharführer – podoficerski stopień w SS, odpowiednik plutonowego.

⁶⁶ DAW – Deutsche Ausrüstungswerke (niem. Niemieckie Zakłady Wyposażenia). Działalność zakładów związana była z budową obozu oraz zaspakajaniem podstawowych potrzeb więźniów i załogi na usługi rzemieślnicze. Odgrywały najważniejszą rolę spośród wszystkich oddziałów przedsiębiorstw SS utworzonych w obozie. Zob. M. Orski, *Przedsiębiorstwa SS...*, s. 188–209.

⁶⁷ (niem.) Siła transportowa.

to karabiny włoskie. Odległość wynosiła około 400 metrów. Chodziliśmy w kółko jeden za drugim. Kto karabin opuścił, był dotkliwie katowany.

Ten tydzień obfitował w niezwykle wydarzenia. Pewnego wieczoru, kładąc się do kojek, usłyszeliśmy strzały. Okazało się wnet, że z bloku siedemnastego i osiemnastego zabierają na śmierć. Byli to więźniowie przywiezieni w kajdanach. Wywoływani zorientowali się w lot o co chodzi, nie chcieli więc opuścić baraków. Nie obeszło się bez bicia i szarpaniny. Kiedy ich prowadzono, rozbiegli się między bloki – stąd strzelanina, podczas której zastrzelony został jeden więzień na bloku pierwszym. Leżał akurat w kojku i nie miał nic wspólnego z tą sprawą.

Następnego dnia rano, idąc do umywalni, napotkałem profesora Rostafińskiego. Powiedział, że takiej masakry nie spodziewał się. Będą jeszcze rzeczy gorsze – w sąsiedztwie szykują baraki dla węgierskich Żydów, którzy mają być gazowani.

W niedzielę 25 czerwca Emil zaprosił kilku blokowych i zarządził marsz ze śpiewem. Nazwano ten wybryk „Parademarsch”⁶⁸. Około godziny dziesiątej przed południem zjawił się SS-Scharführer i kilku funkcyjnych, przyzwoicie ubranych, z Arbeitseinsatz. Przed blokiem dziewiętnastym postawiono stolik, a na nim kartoteki w skrzynkach. Więźniów ustawiono w długiej kolejce na ulicy. Najpierw blok dziewiętnasty, następnie bloki: osiemnasty i siedemnasty.

Na dany znak stojący w kolejce podchodzili do stolika i każdy odpowiadał na trzy zasadnicze pytania: jaki ma zawód, co robił i co potrafi robić? Robotników, kupców, urzędników, wolne zawody przeznaczono na transport. Murarzy, ślusarzy, szewców i innych rzemieślników pozostawiono do pracy w Stutthofie. Od wyjazdu wykreślił się Ormianin, który przewidział, co to będzie za transport.

Po obiedzie zaprowadzono wybranych na transport pod blok Arbeitseinsatz, gdzie jeszcze raz imiennie wszystkich sprawdzono. Wracając na blok dowiedzieliśmy się, że z transportem jedzie Waclaw Kozłowski, osławiony morderca więźniów. Otrzymał on funkcję Lagerältester I. Z miejsca powiało silnym niepokojem. Profesor i jego grupa zorientowali się w lot, że wyjazd do Polic równa się wyrokowi śmierci. Zaczęli więc działać – na skutek nie trzeba było długo czekać. Wieczorem, gdy leżeliśmy już w kojках, w sztubie zrobiło się nagle głośno. Z Arbeitseinsatz przyszło dwóch funkcyjnych i wyczytało wiele nazwisk. Wśród nich było wielu „eliciarzy” – tych cofnięto.

Po zmianach wielu tej nocy nie spało. Stało się bowiem jasne, że z transportem jedzie najgorszy zestaw kapo, hilfskapo⁶⁹ i tak zwanych „starych numerów”. Ci, którzy w komandach chodzili już do robót, poznali trudne warunki, wiedzieli więc, jak to wygląda. Niektórzy spośród aktywistów widzieli na własne oczy, jak przy robotach ziemnych nadzorujący kapo (forarbijter⁷⁰) zamęczał ślaniającego się na nogach więźnia na śmierć. Na bloku najgorzej odczuł to człowiek skatowany przez Marciniaka. Spał na górnym kojku, w pobliżu lampy z kloszem. Kiedy wdrapywał się do spania, niechcący uderzył głową w klosz, który spadł i potłukł się na drobne kawałki. Gdy zjawił się Marciniak, kazał

⁶⁸ (niem.) Marsz paradny.

⁶⁹ Hilfskapo, również Unterkapo – pomocnik kapo.

⁷⁰ Forarbijter, również Vorarbeiter – starszy więzień w komandzie, pomocnik kapo nadzorujący pozostałych więźniów.

biedakowi wyjść z kojka, chwycił go za szyję, przygniótł do podłogi, kolanem uderzył w żołądek i powalił, po czym kopał z taką zaciętością, że odgłosy uderzeń rozlegały się po całej sztabie. Trwało to tak długo, aż zmęczony Marciniak pozostawił swoją ofiarę i odszedł. Zmaltretowany więzień nie mógł się podnieść o własnych siłach.

W poniedziałek 26 czerwca po porannym apelu, jak zwykle wysłano nas do robót w komandach. Wieczorem, po powrocie z pracy, zastaliśmy ustawionych na zbiorce przed blokiem więźniów z obu izb Marciniaka i Emila. Ten pierwszy wyczytywał nazwiska i ustawiał grupami, przydzielając na bloki. Przeznaczeni na transport mieli usunąć się na bok.

Przy tej okazji nie obyło się bez przemówień. Marciniak usprawiedliwiał się i podkreślał, że ci, którzy otrzymali twardą szkołę, to im się przyda. W obozie koncentracyjnym litości nie ma. Z kolei Emil dukając podkreślał zalety warszawiaków. Na zakończenie życzył wszystkim dalszej owocnej pracy dla dobra III Rzeszy. Krótko przemówił profesor Rostafiński. Starał się usprawiedliwić czyny Marciniaka i Emila, ich brutalne traktowanie więźniów. Podkreślał, że twarde jest prawo obozowe. Pomiął tylko, że nie dla wszystkich.

Po tej selekcji profesor, z ludźmi ze swojego otoczenia, odchodził na blok piętnasty, podobno najlepszy w całym Stutthofie. Przebywała tam sama „śmietanka” funkcyjnych. Pozostali więźniowie przydzieleni byli na inne bloki, mniej „atrakcyjne”. Przeznaczeni na transport tę noc mieli przespać na bloku dziewiętnastym.

Przykro mi było rozstać się z jakimś Dybowskiem⁷¹. Był on znany jako recenzent teatralny i felietonista. Przed wojną, co niedzielę, „Kurier Warszawski”⁷² publikował jego felietony teatralne. W latach był już dobrze zaawansowany, z wyglądu można go było ocenić na po pięćdziesiątce. W tym krótkim czasie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Niewątpliwie był to człowiek stateczny i mądry. Stronił od aktywistów. Umiał tłumaczyć sny. Kiedy zwróciłem się do niego, by mi objaśnił sen, nie odmówił. Kilka dni przed transportem śniło mi się, że jechałem na wozie zaprzężonym w dwa konie. W pewnej chwili jeden koń padł, a ja zszedłem z wozu. Dybowski wyjaśnił mi, że na pewno wyjadę ze Stutthofu. Nie pomylił się.

Wtorek 27 czerwca. Po apelu porannym ustawiono nas przed blokiem w pięć szeregów na całą długość podwórza. Pół godziny później przyszedł zastępca komendanta KL Stutthof w towarzystwie kilku SS-Scharführerów. Rozpoczął się ponownie przegląd i segregacja – miało to być przegląd ostateczny. W jego trakcie jeszcze kilkunastu odpadło, przeznaczonym na transport kazano wejść na blok dwudziesty.

Do niedawna przebywali tam młodzi chłopcy, których przed kilku dniami wysłano do obozu pod Bydgoszczą, przeznaczonego dla młodocianych. Blokowym dwudziestki był kapo Max Musolf⁷³, z pochodzenia Czech. Powitanie rozpoczął od krzyku, że zwałia

⁷¹ Dybowski – bliższych danych nie ustalono.

⁷² „Kurier Warszawski” – warszawska gazeta codzienna, ukazująca się w latach 1821–1939.

⁷³ Max Musolf – ur. 23 VI 1910 r., więzień KL Stutthof nr 8496, po utworzeniu na mocy rozkazu z 25 VIII 1944 r. Außenkommando Danziger Werft, Musolf pełnił tam (do listopada 1944 r.) funkcję pierwszego starszego obozu. M. Orski, *Filie obozu...*, s. 316.

mu się banda warszawiaków. Uciszył się zaraz, kiedy zobaczył groźną postawę wcho-
dzących. Blisko mnie trzymał się chłopiec, o którym już wspomniałem, nazwiskiem
Biernat. Mimo młodego wieku, wybrano go na transport.

Niebawem zjawił się Kozłowski. Na rękawie miał nową opaskę z napisem Lageräl-
tester I. Był z tej nominacji wyraźnie zadowolony – tak manipulował ręką, by każdy
zauważył jego nową funkcję. Teraz on kazał wszystkim wyjść przed barak. Ustawiał set-
kami, z całej grupy ustawiono ich osiem. Na czele każdej setki stał kapo i jego zastępca –
hilfskapo. Każdy kapo miał nową opaskę na rękawie z napisem „Vorarbeiter” i numerem
setki. Trafiłem do setki czwartej, jej forarbajterem był Gottlob Kübler⁷⁴, a jego zastępcą
Erich Gebs⁷⁵ (zapis fonetyczny), obaj Niemcy. Kübler nosił czerwony winkiel i numer
12837, a Gebs winkiel czarny. Do pomocy przydzielono im „Grubego Jurka” i „Małego
Jurka”⁷⁶ – obaj Polacy i stare numery.

Setka pierwsza składała się z Niemców i funkcyjnych. Setkowym jedyński został sam
Kozłowski, a jego zastępcą Erich Schamp, jako Lagerältester II. Nosił on zielony winkiel
i numer 15859. Setkowym rozdano imienne listy. Kübler przekazał listę Erichowi, żeby
sprawdził obecność według nazwisk. Ten jednak nie umiał dobrze czytać, polskie nazwi-
ska przekręcał, mojego nijak nie mógł wymówić. Gdy nie odzywałem się, podszedł do
mnie i z rozmachem wyrznął mnie ręką w twarz. Krzyknąłem donośnie: „bydle!”. Erich
wściekł się jeszcze bardziej, kłął po niemiecku, zapluł się. Widząc to Kübler zapytał go
o powód. Rozzłoszczony Erich gestykułując wskazywał na mnie. Kübler wziął listę do
ręki, podszedł do mnie i zapytał:

– Name?⁷⁷

Odpowiedziałem: – Jagodziński.

– Stimmt?⁷⁸ – Kazał mi przejść na drugą stronę. Erich wyczytywał następnych. Wra-
cając koło mnie coś tam mruzczał po niemiecku. Określano go jako półidiota, półbocze-
niec. Zresztą wskazywał na to czarny winkiel i wygląd kretyna.

Teraz poszliśmy pod magazyn, gdzie wydano nam nowe pasiaki. Setkami kolejno
wracaliśmy na blok dwudziesty, żeby przyszywać nowe numery. Wolno szła ta robota,
gdyż na cały stan było zaledwie kilka igieł.

W tym czasie podano do wiadomości, że nadeszły z domu paczki. Szczęśliwców wy-
czytano i poprowadzono na blok dziewiętnasty do Marciniaka. Jakież było ich zdumie-
nie: paczki otrzymali rozerwane, co lepsze wiktuały zaginęły. Nie lepiej wyglądała sprawa
z pieniędzmi. Ci, którym pieniądze nadesłano, do ręki ich nie otrzymali. Wydano im
w zamian kwitki, za które nic nie można było kupić. Praktycznie więc pieniądze prze-
padły. Kozłowski zapewniał, że najstarszy w obozie – czyli on – postara się o tabakę na
drogę. W nowym obozie będzie o tabace pamiętał.

⁷⁴ Gottlob Kübler – ur. 22 XII 1916 r., więzień KL Stutthof nr 12837.

⁷⁵ Erich Gebs – bliższych danych nie ustalono.

⁷⁶ „Gruby Jurek” i „Mały Jurek” – bliższych danych nie ustalono.

⁷⁷ (niem.) Nazwisko?

⁷⁸ (niem.) Zgadza się.

W baraku dwudziestym miejsc było co najwyżej na 300 osób. Po kolacji ponownie wpędzono nas do środka. W ścisłości i ciasnocie kładliśmy się spać po czterech w jednym kojku. Kiedy wyłączono światło i trochę się uciszyło, do baraku przyszedł profesor Rostafiński z księdzem (heftlingiem) z bloku osiemnastego. Najpierw ksiądz odmówił krótką modlitwę, po której pobłogosławił odjeżdżających. Następnie, wielce wzruszony, przemówił profesor Rostafiński. Żegnając wszystkich serdecznie zwrócił się do tych, z którymi przybył z Pawiaka, bo – jak powiedział – zżył się z tymi ludźmi.

– Jest moim pragnieniem – mówił dalej – ażeby wszyscy powrócili do domów.

Jego zdaniem wojna nie powinna potrwać długo. Podczas przemówienia, mimo takiej ciżby chłopstwa, w baraku panowała cisza. Słysząc było tylko ciężkie oddechy wzruszenia, niektórym popłynęły łzy. Byliśmy przecież w rękach SS-Totenkopfverbände i kapo-zwyrodnialców. Nikt nie był pewien, jak długo wytrzyma i czy w ogóle przeżyje. Na wybranych na transport czekały ciężkie warunki niewolniczej pracy i głód, który był nieodłącznym towarzyszem każdego dnia i każdej nocy.

W środę 28 czerwca pobudkę zrobiono o czwartej nad ranem. Szybko wydano chleb i kawę. O piątej zarządzone poranny apel. Tym razem trwał on krótko. Później ustawiono nas setkami, liczono i sprawdzano kilkanaście razy. Trwało to do wpół do siódmej. Wreszcie ustawiono nas twarzą do wyjścia. Pod blok dziewiętnasty przyszedł profesor Rostafiński w towarzystwie kilku więźniów („eliciarzy”) z Pawiaka i księdza.

Rozległ się dzwonek, jak do pracy w komandach. Ruszamy. Profesor wyciągnął ręce, jakby błogosławiąc odchodzących. Przy bramie stała obozowa orkiestra. Rozległy się dźwięki tego marsza. Nieliczna była to orkiestra, ale chłopcy grali jak tylko mogli najgłośniej. Kolumnę zatrzymano tuż przy bramie. Przemówił teraz polski kierownik Arbeitseinsatz, Leszek Zdrojewski. Żegnając odchodzących, powiedział między innymi:

– Jedziecie przez Gdańsk i inne miasta, śpiewajcie polskie piosenki. – Gdy to mówił, był wyraźnie wzruszony. – Po wojnie założymy związek Stutthofiaków-ideowców, tam spotkamy się w innych okolicznościach. – Kiedy orkiestra ponownie zagrała, stał wyprostowany i liczył wychodzące za bramę setki. O tę orkiestrę podobno on sam się postarał. Za bramą czekali uzbrojeni posteni, którzy sprawnie podchodzili do kolumny, ustawiając się gęsto po bokach z obu stron.

W Stutthofie na stacji załadowano nas do wagonetek wąskotorówki. Z przodu, pośrodku i z tyłu ulokowali się esesmani z eskorty. Chwilę później pociąg ruszył. Od czoła składu ktoś zaczął śpiewać – najpierw *Serce w plecaku*, następnie inne polskie piosenki wojskowe. Wkrótce śpiew ogarnął cały pociąg, by rozpląnąć się w porannych mgłach nad nizinami łąkami nadmorskiego krajobrazu.

W Nowym Dworze Gdańskim przesiadka do krytych wagonów towarowych kolei szerokotorowej. Na stacji ludzi niewiele, zapamiętałem kobietę – dyżurną ruchu. Lokowano nas w wagonach po pięćdziesięciu. Pociąg z wolna ruszył i nabierał rozpędu. Droga wiodła przez Tczew, Starogard Gdański, Chojnice. Pierwszy postój w Pile. Wydano chleb i po kawałku pasztetowej kiszki. Do popicia odrobina kawy, której i tak dla wszystkich nie starczyło.

Następny postój w Szczecinku. Stąd, z drugiego toru, odjeżdżał w kierunku wschodnim pociąg osobowy załadowany niemieckimi żołnierzami. W oknach pełno wychylających się żołnierskich głów, na peronie wiele płaczących kobiet, machających na pożegnanie rękami i chusteczkami.

W wagonie ze mną jechał „Gruby Jurek”. Położył się na wznak i opowiadał o wyczynach Kozłowskiego w Stutthofie. Nikt go nie słuchał.

Było już późno w nocy, kiedy pociąg przybył do Szczecina. Na stacji wagonów nie otwierano, więc jechaliśmy dalej. Wcisnąłem się w kąt wagonu, oparłem plecami o ścianę i zasnąłem. Obudzono mnie nad ranem. Wyjrzałem przez okienko i odczytałem nazwę stacji: „Pölitz”. Była to stacja docelowa.

Rozdział II

Pod Trzeszczynem

Wczesnym rankiem 29 czerwca 1944 r. otworzono wagony na stacji w Policach. Kozłowski zapowiedział zbiórkę przy budynku stacyjnym. Esesmani z eskorty otoczyli miejsce zbiórki ścisłym pierścieniem. Ustawianie setkami i liczenie więźniów trwały dość długo. Można było w tym czasie rozejrzeć się po okolicy. Budynek stacyjny i kilka domów znajdujących się w pobliżu było uszkodzonych od wybuchów bomb lotniczych. Zniszczenia nie ominęły pobliskiej fabryczki oraz zabudowań w dalszej okolicy.

Niebawem kolumnę poprowadzono główną ulicą Polic, zwaną wówczas Hindenburgstraße⁷⁹, pod Trzeszczyn. Po drodze widać było ślady świeżych bombardowań – z tego powodu humory u wielu więźniów poprawiły się wyraźnie.

Na niewielkim wzgórzu, w sąsiedztwie obozu karnego (Straflager Hägerwelle), przygotowany był obóz koncentracyjny. Widać tu było pośpiech i prowizorkę. Teren obozu ogrodzony był jednym rzędem drutu kolczastego (drugi rząd dobudowano później). Po wewnętrznej stronie ogrodzenia stały dwie zwyżki dla postenów. Z prawej strony znajdowała się dużych rozmiarów szopa z desek bitych na zakład, przykryta plandeką miast zadaszenia. Po stronie lewej stał barak na wartownię i kancelarię, a nieco dalej baraki na rewir, magazyny, kuchnię i pomieszczenia gospodarcze. Umywalnię urządzono na wolnym powietrzu. Były to koryta i rurki z kranami, miejscami sitka na prysznic. W pobliżu zwyżki postena wykopano latrynę oraz śmietnik. Latrynę osłonięto deskami wysokości około 1,8 metra.

Po przejściu bramy setka za setką ustawiała się w zwartych grupach. Jeszcze raz wszystkich policzono i kazano położyć się na ziemię. Zbiórkę zarządzono dopiero po południu. Wtedy to przed bramę obozu zajechało auto z hitlerowskimi dygnitarzami w mundurach SA⁸⁰ z przepaskami na rękawach. Jeden z nich miał kapelusz z zielonym piórkiem, pozostali okrągłe czapki. W towarzystwie komendanta transportu SS-Hauptsturmführera

⁷⁹ Stacja kolejowa w Policach znajduje się przy dzisiejszej ul. Stefana Batorego 1. W stronę Trzeszczyna prowadzi ul. Tanowska – dawna Falkenwalderstraße, a nie ul. Grunwaldzka – dawna Hindenburgstraße (przejazd kolejowy umiejscowiony jest w ciągu tych ulic), i właśnie ul. Tanowską szła zapewne wówczas kolumna więźniów.

⁸⁰ SA (niem. Sturmabteilungen) – oddziały szturmowe NSDAP powołane w 1920 r. do ochrony zgromadzeń partyjnych, zdelegalizowane w latach 1923–1925, później stały się najważniejszą organizacją w państwie. Po tzw. nocy długich noży (29/30 VI 1934 r. schwymano i wymordowano przeciwników Hitlera wywodzących się z partii narodowo-socjalistycznej, w tym przywódców SA) ich znaczenie zmalało na rzecz SS.

Paula Ehle⁸¹ przeszli przed frontem ustawionych więźniów. Każdemu starali się zaglądać w oczy. Zatrzymali się. Ten w zielonym kapeluszu zapytał komendanta:

– Dlaczego większość więźniów ma czerwone winkle?

– To są więźniowie polityczni, bardzo niebezpieczni.

Komendant uspokoił ich.

– Nie ma obawy – powiedział. – W Stutthofie dobrano specjalny zestaw kapo. Oni sobie z nimi dadzą radę.

Była to prawda. Jak się później okazało, wszyscy kapo, którzy przyjechali w tym transporcie, to renegaci i pospolicie mordercy. Poza osławionymi mordercami ze Stutthofu – Waławem Kozłowskim, Erichem Schampem i innymi – w sadyzmie wyróżniali się m.in. Łukasik⁸² czy Leo Ślapak⁸³. Mówiono o nich, że do stanowiska kapo doszli po trupach zamęczonych przez nich więźniów. Z ramienia SS-Verwaltung Rapportführerem był SS-Unterscharführer Andrasik⁸⁴ (Czech), wyjątkowy brutal i sadysta.

Po objeździe hitlerowskich dygnitarzy zwołano wszystkich kapo na zbiórkę. Komendant dał im wytyczne robocze i pouczył jak mają pilnować i traktować więźniów szeregowych. To, co dotarło do moich uszu, da się streścić jak najkrócej: przede wszystkim ma być utrzymana żelazna dyscyplina. Polacy z Warszawy to bandyci obciążeni napadami i zabójstwami Niemców. Należy ich traktować surowo.

Na skutki nie trzeba było długo czekać. Po zbiórce co gorliwsi kapo zwołali swoje setki i urządzili biegi po placu obozowym. Gonionych bili grubym kablem i bykowcami na oślep, kogo popadło i gdzie popadło, najczęściej po głowach. Kto nie wytrzymał i przewrócił się, był zdejmowany z placu i wrzucany do baraku. Najcelniej po głowach bił Łukasik. Po tej orgii bicia wyjaśniono, że tak wita się wszystkich zugangów⁸⁵ sprowadzanych do nowego obozu.

Wreszcie wpuszczono wszystkich do baraku-szopy. Miejsc było na osiemset chłopa. Kojka piętrowe, potrójne, ustawiane parami. Między tymi zestawami wziętutkie przejścia. Pośrodku, wzdłuż całego baraku, zaimprovizowano stoły. Do wkopanych w ziemię słupków przybito surowe deski po bokach i z wierzchu jako błaty. W kojkach zastaliśmy sienniki i podgłówki, które należało wypchać woliną. Dla uzupełnienia braków zwołano setkami zbiórkę po koce, miski i łyżki. Ślanie kojek trwało do późnych godzin. Głośne nawoływania, rozmowy i przekleństwa zakłócały spokój.

W tym transporcie przyjechali: kucharz Zygmunt Żurawski⁸⁶ z Płocka, lekarz Bolesław Kaczyński ze Lwowa, a wraz z nim część pielęgniarzy – Tadeusz Kamiński⁸⁷, jego

⁸¹ Paul Ehle – ur. 22 X 1897 r., w KL Stutthof od 1 IX 1939 r. do 30 IV 1945 r., m.in. od października 1941 r. do grudnia 1944 r. dowódca 3 kompanii wartowniczej, od 4 IV 1945 r. kierownik Wydziału III Sztabu Komendantury KL Stutthof (czyli kierownik obozu). Zob. M. Gliński, *Zaloga obozu...*, cz. I..., s. 200.

⁸² Edward Łukasik – ur. 28 V 1922 r., więzień KL Stutthof nr 14725.

⁸³ Łazarz Borysowicz Ślapak – ur. 15 VI 1923 r., więzień KL Stutthof nr 24661.

⁸⁴ Andrasik – bliższych danych nie ustalono.

⁸⁵ Zugang – w żargonie obozowym więźni o krótkim stażu obozowym (niem. zu gehen – przychodzić).

⁸⁶ Zygmunt Żurawski – ur. 11 II 1916 r., więzień KL Stutthof nr 3983.

⁸⁷ Tadeusz Kamiński – ur. 29 VI 1924 r., więzień KL Stutthof nr 35812.

cioteczny brat Bojko⁸⁸ i jako fryzjer na rewirze, do wygalania podbrzusza, Stanisław Ostrowski⁸⁹ z Płocka. Do kompletu pielęgniarzy włączono Leona Usarka⁹⁰, byłego dyrektora dla tajnych kompletów Gimnazjum im. Króla Władysława IV na warszawskiej Pradze. Temu ostatniemu powierzono ważną funkcję mierzenia temperatury u chorych.

Pisarzem obozowym był niemiecki więzień nazwiskiem Schneider⁹¹. Magazyn żywnościowy nadzorował esesman nazwiskiem Szary⁹² (folksdojcz z Łodzi). Na magazyniera Szary wyznaczył Przyklenk-Frankowskiego, podającego się za Reichsdeutscha z Łodzi – tego, którego usiłowano zlinczować w Stutthofie za szykanowanie więźniów na oddziale szóstym Pawiaka. W zastępstwie Kozłowskiego blokowym pierwszej setki został niemiecki kapo Robert, przewany „Cyganem”⁹³.

Praktycznie niemieccy więźniowie nie mieli swojego forarabajtera. Na budowie i przy innych robotach używani byli do nadzorowania więźniów innych narodowości, a ponadto traktowano ich jako uprzywilejowanych. Otrzymywali zulagi⁹⁴.

Przy robotach do pomocy forarabajterom przydzielono „stare numery”. Byli to starzy więźniowie bez określonej funkcji, ale traktowani na równi z hilfskapo. Z tej racji, kosztem pracujących więźniów szeregowych, uzurpowali sobie jeszcze większe przydziały żywności. W czwartej setce z brutalnego traktowania więźniów, tak przy pracy, jak i przy kotle, zasłynęli „Gruby Jurek” i „Mały Jurek”. Na noc ten pierwszy ulokował się w kojku na najniższym poziomie pod mną. Miał w tym swój cel.

W piątek 30 czerwca od rana rozpoczął się zwykły dzień pracy. W obozie pobudka o piątej rano. Zaraz po tym wydawanie po kawałku chleba z odrobiną kiełbasy i małą kosteczką margaryny. Kostkę margaryny dzielono na 16 części, a w okresach większego głodu na 24. Te niewielkie kawałki kiełbasy i margaryny w setkach krajano jeszcze na połowę. Zabierał je kapo, dzieląc częściowo na hilfskapo i „stare numery”. W tak bezczelny sposób okradano z głodowych racji żywnościowych ciężko pracujących więźniów szeregowych. Administracja obozu w tego rodzaju praktyki nie wtrącała się.

Po porannym apelu setkami odmarsz na zakłady. Setka czwarta po drodze śpiewała *Polonię* i *Serce w plecaku*, a kiedy marsz przez miasto wydłużał się także inne polskie piosenki wojskowe. Maszerujące do robót z kilofami i łopatami na ramionach jednostki mundurowe włoskie, jednostki Wehrmachtu i Hitlerjugend⁹⁵ z zainteresowaniem przyglądały się więźniom w pasiakach śpiewającym piosenki.

Prowadzący czwartą setkę forarabajter Kübler namówił Kommandoführera⁹⁶ ażeby pójść przez miasto. Po drodze widziano nie tylko zwarte oddziały, ale i osoby pojedyncze,

⁸⁸ Eugeniusz Bojko – ur. 21 VII 1917 r., więzień KL Stutthof nr 35698.

⁸⁹ Stanisław Ostrowski – bliższych danych nie ustalono.

⁹⁰ Leon Usarek – ur. 11 IV 1895 r., więzień KL Stutthof nr 36019.

⁹¹ Schneider – bliższych danych nie ustalono.

⁹² Szary – bliższych danych nie ustalono.

⁹³ „Cygan” Robert – bliższych danych nie ustalono.

⁹⁴ Zulagi – w żargonie obozowym dodatki żywnościowe (niem. Zulage – dodatek).

⁹⁵ Hitlerjugend – paramilitarna organizacja młodzieżowa NSDAP, powstała w 1922 r. jako przybudówka SA. Obejmowała dzieci i młodzież w wieku od 10 do 18 (chłopcy) i 21 lat (dziewczeta).

⁹⁶ Kommandoführer – nadzorca grupy roboczej kierowanej do pracy.

zdążające do bramy głównej zakładów. Wśród tej masy osób cywilnych wielu robotników na lewej piersi miało przyszytą literę „P”.

W mieście domy przeważnie jednopiętrowe. Nieliczne sklepy o tej porze były jeszcze zamknięte. Jedyne sklepy z mlekiem był otwarty, przy nim kolejka starych Niemców. Co najmniej połowa z nich przyjechała na rowerach. Te młodsze miały przywiązane do bagażnika koszyki, a w nich niemowlęta. W każdym razie na ich twarzach entuzjazmu nie było widać.

Setkę czwartą wprowadzono do zakładów od strony zachodniej. Widać tu było wiele uszkodzonych budynków fabrycznych. Na bocznicach kolejowej leżało rumowisko porozrywanych torów. Kilka wagonów towarowych zgruchotanych i wyrzuconych z szyn. Ale agregaty były czynne, produkcja szła. Na dużej przestrzeni ciągnęły się rury o różnych średnicach. Niektóre z nich o średnicy metra, wsparte na belkach betonowych wysokich na pięć metrów. W pewnych miejscach para z sykiem wydostawała się na zewnątrz.

Na obszarze zakładów było kilka ulic oznaczonych numerami. Tego dnia część z nich była jeszcze przejezdna. W niewielkiej odległości od ogrodzenia zakładów leżały blaszane beczki zawierające substancję do wytwarzania sztucznej mgły, która służyła do zadymiania terenu. Szpunty tych beczek otwierano dopiero podczas zagrożenia lotniczego. Kilkanaście minut po otwarciu, chmury gęstej mgły unosiły się ku górze zasłaniając widoczność budowli i urządzeń fabrycznych.

Przy naprawie torów i usuwaniu zniszczeń na bocznicach pracowały jednostki włoskie i dużo rosyjskich kobiet z wolnej stopy. Jak się później okazało, były to przeważnie Ukrainki, Rosjank było niewiele.

Około ósmej do czwartej setki przyszedł cywilny Niemiec, który poprowadził całą grupę na plac budowy między dwie duże sterty koksu. Z braku łopat i gąbli porozrzucany koks kazali zbierać rękami i odnosić na duże hałdy. Tak rozpoczęła się mordercza praca przy budowie bunkrów. Najpierw porządkowanie terenu, a następnie roboty ziemne przy wykopie pod fundamenty. W nadzorowaniu i utrzymaniu tempa robót Küblerowi pomagał hilfskapo Gebes i „Mały Jurek”. Każdego, kto tylko zdołał wyprostować się lub odchylić, zachęcali do pracy kopniakami i bijąc kablem po głowie w sposób praktykowany w Stutthofie.

W południe zarządzono półgodzinną przerwę na odpoczynek. Zupy obiadowej nie wydano. Po przerwie, mimo krzyków i bicia, tempo robót osłabło. Wieczorem, wracając do obozu, czwartą setkę prowadzono drogą okrężną, klucząc po ulicach zakładów. Dopiero teraz okazało się, że to, co widzieliśmy rano, było niewielkim fragmentem zniszczeń. Niektóre ulice wewnątrz zaścielały gruzy, kawały blach, żelastwa, potłuczonego szkła, waty szklanej oraz wszelkiego rodzaju rur. Środek zakładu pozostał nienaruszony.

W obozie „Kozioł” ganiał do następnej roboty, to jest porządkowania terenu, budowy ogrodzenia, ustawiania następnej zwyczajki dla postenów, rozpinania namiotów, ustawiania kojek, napychania sienników i podgłówek woliną. Wszystko to odbywało się na poszerzonym terenie przyległym do istniejącego obozu od strony południowo-wschodniej. Oczekiwano bowiem przybycia nowego transportu więźniów.

Kolację wydano dopiero w późnych godzinach wieczornych. Zanim jednak do tego doszło, wielu więźniów zostało dotkliwie pobitych. Przerwa między posiłkami wynosiła około szesnastu godzin. Przy poszerzaniu obozu tempa robót pilnował sadysta Rapportführer Andrasik. Już pierwszego dnia jego nadzór odczuło bardzo boleśnie. Wielu ocierało krew z policzków. Od tej pory niezmiennie pracowano po dwanaście godzin na zakładach i co najmniej cztery godziny w obozie – w dni robocze, niedziele i święta, bez względu na pogodę.

Następnego dnia przy apelu porannym „Kozioł” porykując głośno powiedział między innymi:

– Roboty macie wykonywać sumiennie, nie markierować, bo to i tak na nic się przyda. Kto będzie stawiał opór lub wykazywał niechęć do pracy, będzie traktowany jako sabotażysta. Na takiego jest skuteczne lekarstwo – stryk, w najlepszym razie knyple⁹⁷.

Znowu powiało grozą. Zaraz po tym setki, jedna za drugą, wychodziły do pracy. Eskortę stanowili esesmani, wśród nich Ukraińcy. Tych należało się strzec, gdyż doskonale znali język polski. Po drodze Kübler zachęcał do śpiewu. Polskie wojskowe piosenki mogły wzruszyć nawet mordercę. Śpiewając zapominało się choć na chwilę o rzeczywistości.

Na zakładach zjawił się niemiecki cywil Polier⁹⁸. On to każdego dnia ustalał dla całej grupy tak zwany front robót. Całą setkę dzielono na kilka mniejszych grup do konkretnych robót. Na początek największą grupę zatrudniono przy robotach ziemnych. Roboty te wykonywano ręcznie. Twardą ziemię spulchniano kilofami i odrzucano łopatami na boki. Do odwożenia urobku używano koleb – część grupy więźniów zatrudniono przy tym transporcie.

Po usunięciu zniszczeń i naprawieniu torów kolejowych ruszyły pociągi towarowe. Teraz niemal codziennie nadchodziły do zakładów zestawy wagonów z piaskiem, żwirem i cementem. Gromadzono także stal zbrojeniową. Do rozładunku wagonów potrzebna była pewna ilość więźniów. O przydziale do danej roboty decydowało często narzędzie. Rano, po przyjsciu na zakłady, ustawialiśmy się obok pakamery z narzędziami. Na komendę każdy łapał takie, jakie mu wpadło w rękę. Z kilofami i łopatami kierowano do robót ziemnych przy wykopach, z szuflami do rozładunku wagonów z piasku i żwiru. Tych, dla których zabrakło narzędzi, zatrudniano przy transporcie urobku ziemi oraz rozładunku wagonów z cementem. Cement nadchodził w workach papierowych po jednym centnarze⁹⁹. Worki te noszono biegiem, słabsi pod ich ciężarem mdleli.

Wieczorem, po powrocie z zakładów, dalszy ciąg zatrudnienia przy poszerzaniu terenu obozowego i szykowaniu namiotów dla zugangów. Zaraz w pierwszych dniach do stojących na zbiórce przemówił lekarz Bolesław Kaczyński (nosił on czerwony winkiel z numerem 14701). Ostrzegał przed ucieczką, dawał przykłady z Oświęcimia i macierzystego obozu Stutthof. Mówił, że za ucieczkę grozi kara śmierci. W przypadku buntu, za jednego więźnia wieszano dziesięciu. On jednak sądzi, że więźniowie z Warszawy są

⁹⁷ Knyple – w żargonie obozowym kara chłosty.

⁹⁸ Polier – (niem.) majster, brygadzysta.

⁹⁹ Centnar – ok. 50 kilogramów.

ludźmi rozsądnymi i takiego głupstwa nie popełnią. Na zakończenie życzył przetrwania i szczęśliwego powrotu do domu. Kaczyński nie skończył jeszcze przemawiać, a już Andrasik zarządził przysiadę i żabki¹⁰⁰.

Pomimo morderczego tempa pracy na zakładach i dużego wysiłku, wieczorem niechętnie wracano do obozu. Tu bowiem nie tylko „Kozioł”, ale i Andrasik, szaleli wśród więźniów. Także esesmani zaliczali Andrasika do najgorszych sław. Był on średniego wzrostu, krępy, o płaskiej twarzy z wysuniętym wąskim uzębieniem (jak u świni), warg nie domykał. Na zbiorce chodził przed stojącymi w szeregu tak długo, aż upatrzył sobie ofiarę, choćby to było w dziesiątym szeregu. Chodząc ustawicznie syczał, ślepią przewracał białkami do góry, a kiedy katował upatrzonemu więźnia – najczęściej gumą po głowie – parskał śliną i syczał w dwójnasób. Najbardziej był wściekły, jeśli nie mógł dostatecznie skatować swojej ofiary. Bano się go panicznie.

Wieczorem, kiedy przyniesiono kocioł z zupą, do jej rozdziału zjawiał się zazwyczaj hilfskapó Gebś. Pierwsy przy kotle ustawiali się „Gruby Jurek” i „Mały Jurek”. Gebś nalewał im ode dna po pełnej misce gęstej zupy. Teraz dał się on na cały głos:

– Schale, meine Schale!¹⁰¹ – a kiedy mu jego miskę podano, napełnił ją gęstą zupą i kazał odstawić. Po czym napełnił jeszcze kilka zapasowych i też kazał odstawić. Wtedy podniósł się od kotła, wyprostował, rozejrzał dookoła i zawołał:

– No, jetz die Hunde, aber in Ordnung!¹⁰². – Nalewał puszką po konserwach przytwierdzoną do kijka. Nie nabierał pełnej i za każdym razem przechylał tak do podanej mu miski, żeby na dnie jeszcze trochę zostało. Miał wprawę w okradaniu więźniów przy podziale zupy.

Tymczasem „Gruby Jurek” wchłonał już pełną miskę zupy, więc znowu przyszedł do kotła, żeby pomagać Gebśowi w ustawianiu więźniów szeregowych. Ryczał:

– Nie pchać się, psia wasza mać! I tak każdy swoje dostanie! – Wszystko to robił w pobliżu kotła, co chwilę zerkając do środka. Kiedy zupa była już dostatecznie gęsta, jeszcze raz nadstawiał swoją miskę, a Gebś nalewał mu do pełna. Puszka skrobała już po dnie, a przy kotle stało jeszcze około dziesięciu chłopa. Gebś wyprostował się ponownie i gniewnie krzyknął:

– Einige Hunde haben zweimal gekriegt!¹⁰³ – Pozostałym nalewał jeszcze mniej. Gdy skończył odstawił kocioł na bok i kazał go zanieść na kuchnię. Najbliżej stojący rzucili się na kocioł. Odnieśli go nieco dalej, przykucnęli i wymuskując palcami resztki zupy wylizywali kocioł. Tak było codziennie. W innych setkach nawet gorzej.

Po dwunastu godzinach morderczej pracy na zakładach i dodatkowo po czterech godzinach pracy w obozie, pół litra cienkiej zupy, w której można było znaleźć dwa lub trzy kawałki kartofli i parę listków kapusty z odrobiną kiełbasy, stanowiło tylko podrażnienie głodu. Po takiej kolacji jeden patrzył na drugiego z niemym przerażeniem. Kto w takich warunkach wytrzyma i jak długo? Ale był to dopiero początek głodu.

¹⁰⁰ Żabki – karne ćwiczenie polegające na skakaniu w przysiadzie z rękami założonymi na kark lub tył głowy.

¹⁰¹ (niem.) Miska, moja miska!

¹⁰² (niem.) No, teraz psy, ale po kolei.

¹⁰³ (niem.) Niektóre psy dostały dwa razy!

Zaraz w pierwszych dniach pobytu w obozie przez podkop pod drutami uciekł jeden więzień z literą „R”¹⁰⁴. Był to Ukraińiec – wszystkich więźniów z obszaru Związku Sowieckiego Niemcy oznaczali tą literą. Pomimo poszukiwań, zbiega do obozu nie przyprowadzono. Zapowiedziano, że jeśli uciekinier nie znajdzie się, powieszą dziesięciu. Po kilku godzinach stójki na apelu nikogo tego dnia nie powieszono.

Wkrótce po tej ucieczce usiłowali zbiec dwaj Ukraińcy i jeden Polak. Posteni na zwyżkach zauważyli przechodzących pod drutami i obsypali ich strzałami. Musieli w pozycji nieruchomej leżeć do rana, aż ich zdjęto. Z miejsca pobito ich dotkliwie. Tego samego dnia, podczas wieczornego apelu, odbył się na nich sąd. Wymierzono im karę chłosty, po 25 knypli. Przyniesiono koziołek¹⁰⁵, na którym każdy musiał kolejno kłaść się wypinając pośladek. Karę wymierzał Kozłowski. Bił wolno i silnie. Każde uderzenie musiało być bardzo bolesne, po kilkunastu mdleli. Polewano ich wodą. Omdlałym „Kozioł” dokładał po kilka uderzeń od siebie. Przestrzyżono im maszynką włosy przez środek głowy. Ponadto musieli przyszyć do pasiaków specjalne kółka – jako znak, że zostali wyjęci spod prawa. Następnego dnia odesłano ich do najcięższych robót.

Przydzielane więźniom roboty były ciężkie, coraz cięższe... Pod lipcowym słońcem, między zwałami koksu i lepiku – gdzie nie doleciał nawet najłżejszy wiaterek, a unoszący się w powietrzu gaz z nieszczelnych urządzeń produkcyjnych i opary z benzyny zapierały w piersiach oddech – pot lał się ciurkiem. Rozbierano się z bluzek i koszul, pracowano boso, tylko w spodniach. Wypychając z głębokich okopów ciężkie koleby z urobkiem ziemi, pot zalewał oczy. W tym czasie na zakładach zupy obiadowej jeszcze nie wydawano. Po półgodzinnej, obiadowej przerwie tracono jeszcze więcej sił. Wtedy to pisaliśmy na kolebach kredą dużymi literami „KATORGA”.

Wieczorem czwarta setka pierwsza wróciła z zakładów. Stanęliśmy na zbiorce. Kozłowski z Andrasikiem kręcili się przed szeregiem. W pewnym momencie Kozłowski krzyknął:

– Cieśle wystąp! – Szeregi stały nadal nieruchomo. Rzecz jasna cieśli nie było.

Kozłowski ryczał dalej:

– Siad, powstań, siad, powstań! – Darł się tak długo, aż zmęczeni nie mogliśmy utrzymać się na nogach. Nie namyślając się dłużej wystąpiłem, a za mną jeszcze trzynastu. Dostaliśmy siekiery i gwoździe. Pozostałym Kozłowski kazał zabrać łopaty.

Gdy byliśmy już za bramą, zapytałem:

– Kto z nas jest naprawdę cieślą? – Okazało się, że nikt.

Dostaliśmy pracę na uboczu, bez Andrasika. Zakopywaliśmy słupki i przybijaliśmy kolczasty drut. Ci z łopatami nie tylko dostali gorszą robotę, ale ucierpieli więcej od Andrasika i Kozłowskiego.

W tych ciężkich warunkach zaprzyjaźnił się ze mną Michał Gabrych. Opalił się on na czerwono, skóra zlązła mu z pleców, miał stan podgorączkowy. Wysyłałem go na rewir, nie chciał iść. Uznał, że jest to ostateczność i zbyt duże ryzyko. Jeśli gorączka opadnie, czekają go tęgę baty jako markieranta. Na rewirze z gorączką też może oberwać, więc po

¹⁰⁴ Inicjał od Russe – (niem.) Rosjanin.

¹⁰⁵ Koziołek – ławka przeznaczona do wykonywania kary chłosty.

co się pchać. Michał Gabrych brał życie pogodnie, miał dużą dozę humoru i dowcipu. W przerwie południowej na zakładach siadaliśmy w wysuszonym letnią spiekotą rynsztoku i rozmawialiśmy o doskonałościach tego świata. Pytałem go, w których obozach jest lepiej – u Ruskich czy u Niemców?

– Widzisz – mówił – różnica polega na tym, że tu więcej biją, a tam więcej gryzą wszy. I tu, i tam, nie ma co jeść. Wszelako jest jeszcze jedna różnica. Tu w robocie musisz dotrzymywać tempa, tam wyrabiasz normy. Tu stoisz długo na apelu, aż cię piętnaście razy policzą, tam też stoisz długo, aż cię uświadomią politycznie. Poza tym istotnych różnic nie ma. Martwić się nie trzeba. Pilnują nas bardzo dobrze. Na najkrótszą przerwę chodzą za nami z obnażonymi pistoletami i spędzają do kupy, żeby nam się raźnie siedziało.

7 lipca komendant obozu zabronił po drodze śpiewać. Czwarta setka, jako najbardziej rozśpiewana, odczuła to boleśnie. Zakaz ten miał głębszy sens. Nic tak bowiem nie podnosiło na duchu, jak *Serce w plecaku*, *O mój rozmarynie* i inne wojskowe piosenki. Za każdym razem, kiedy brudni i utrudzeni więźniowie idący w pasiakach śpiewali rzewne polskie piosenki, na zakładach powstawało zamieszanie. Śpiew ten poruszał wszystkich. Kto tylko mógł, spieszył obejrzeć tych niezwykłych ludzi. Wśród patrzących różnych narodowości, wielu było Niemców.

Zewnętrznie musieliśmy wyglądać tragicznie. Od dłuższego czasu nie byliśmy goleni, a z myciem też nie było najlepiej. Podobno na ośmiuset chłopów była tylko jedna brzytwa, w dodatku tępa. W pierwszej kolejności brzytwę używali kapo, hilfskapo i „stare numery”. Mnie z pomocą przyszedł jeden Ruski. Po drodze znalazł starą żyłkę, którą oprawił w patyczek i długo ostrzył na szkle. Za kromkę śniadaniowego chleba postanowił mnie ogolić. Najpierw zmoczyłem brodę wodą. On posmarował całą twarz mydłem z gliny. Bardzo bolesne było to golenie. Stan zewnętrzny po ogoleniu był nienajlepszy. W miejscach, gdzie była zdarta skóra, zniknął zarost. W pozostałych zarost został nieco przycięty, w dodatku nierówno. Gabrych, jak mnie zobaczył, chwycił się za boki:

– A, to z ciebie zrobił dzentelmena? Rodzona matka by cię nie poznała! – Musiałem wyglądać nie do śmiechu.

Sprawą moich rozmów z Gabrychem zainteresował się Kübler. Ponieważ sam niewiele rozumiał po polsku, polecił „Małemu Jurkowi”, który mu służył za pannę, żeby nas śledził. Zorientowaliśmy się w porę i rozmowy przerwaliśmy. Mimo wszystko, Kübler miał dla nas obu duży szacunek. Podczas pracy nie ciskał w nas kamieniami, nie bił po twarzy i w żołądek, jak to czynił innym.

Po powrocie z pracy na zakładach Kozłowski znowu zrobił wybiórkę w czwartej setce do robót na terenie obozu. Stanął przed szeregiem i ryknął:

– Mocniejsi wystąp! – Wystąpiło czterech. Oczywiście czterech ochotników to za mało. Ustawił więc całą setkę dwójkami i sam zaczął wybierać. Przedemną stał Tadeusz Czajkowski¹⁰⁶ z Saskiej Kępy. W tym czasie wyglądał jeszcze dość czerstwo. „Kozioł” stanął przed nim, zmierzył go od góry do dołu, po czym z rozmachem wyrzucił w twarz i wypędził z szeregu.

¹⁰⁶ Tadeusz Czajkowski – ur. 5 XI 1909 r., więzień KL Stutthof nr 35727.

Przyszła kolej na mnie.

– Dlaczego nie wystąpiłeś? – ryknął.

– Ja chodzę do robót jako cieśla. – odpowiedziałem.

– Ty, cieśla? – Grzotnął mnie pięścią w kark i wypędził z szeregu. Innych wybierał w podobny sposób. Tego dnia pracowaliśmy do późnych godzin wieczornych. Tempo pracy było wysokie.

W ciemni baraku leżałem już w kojku. Wtem usłyszałem ciche kroki. Przyszedł do mnie Tadzio Czajkowski. Szeptem zwierzył mi się ze swoich wzruszeń.

– W domu pozostali żona z synkiem. Kocham ich bardzo. – Mówiąc to głos mu się załamywał. W tej sytuacji pocieszałem go, jak umiałem.

W tym czasie do obozu nadeszły listy i paczki. Ja też otrzymałem list. Siostra żony, Genia, informowała mnie, że żona siedzi nadal na Pawiaku-Serbii. Córka urodzona w warunkach więziennych żyje. Genia w granicach swoich możliwości wysłała na Pawiak paczkę. Moja starsza córka, Hania, której udało się uniknąć losu rodziców podczas naszego aresztowania przez warszawską Gestapo, mimo bardzo młodego wieku, daje sobie jakoś radę, utrzymuje też kontakt z rodziną.

Tadzio Czajkowski otrzymał z domu list i paczkę. Jego list wzruszył mnie bardziej, niż mój własny. Jego żona w sposób zwięzły wyrażała swój ból z przymusowej rozłąki. Porywająco skreśliła mu swoją tęsknotę i powiadomiła o wielkich zmianach, które powinny rychło nadejść. Tadzio płakał.

13 lipca ze Stutthofu przybył następny transport więźniów w liczbie 500. Znaczny odsetek w tym transporcie stanowili Ruscy. Byli także Polacy, Niemcy, Litwini, a nawet jeden Turek. I z tym transportem przyjechali kapo o najgorszych sławach. Wśród nich wyróżniał się znany jako Herbert, z zielonym winklem, podający się za Niemca, choć dobrze mówił po polsku. Wkrótce przydzielono go do czwartej setki. Okazało się, że w zamęczaniu więźniów nie ustępował Kozłowskiemu. Funkcję blokowego na baraku w czwartej setce sprawował nadal Kübler.

Przyjęcie transportu więźniów odbywało się w sposób ustalony dla zugangów. Z chwilą przekroczenia bramy obozu, eskortujący esesmani odeszli do swoich baraków. Na podwórzu obozowym czekali na nich kapo zaopatrzeni w bykowce, kawały deski i gumy lub grube kable. Kolumna więźniów przez stary obóz przemaszerowała w należytym porządku. Dopiero po przekroczeniu drugiej bramy na podwórzu nowego obozu zaczęła się młócka. Gonitwy, krzyki i hałasy trwały do późnych godzin nocnych. Uciszyło się na dobre dopiero nad ranem. Następnego dnia, kiedy stare setki opuszczały obóz eskortowane do pracy na zakładach, nowo przybyłym wydawano kawę. Dołączyli do robót na zakładach dopiero w godzinach popołudniowych.

15 lipca Kübler dostał jeszcze jedną setkę zugangów. Do pomocy przydzielony został Herbert „Zielonka”¹⁰⁷. Na zakładach Kübler objął nadzór nad całością grupy. Przy pierwszym wykopie roboty ziemne nadzorował sam. Do drugiego wykopu przydzielił

¹⁰⁷ Herbert „Zielonka” – bliższych danych nie ustalono. Być może przydomek został utworzony od nazwiska Selonke, podobnie jak w przypadku Fritza Selonke z obozu macierzystego. Zob. K. Dunin-Wąsowicz, *Stutthof. Ze wspomnień...*, s. 33–34.

30 nowoprzybyłych, przeważnie Litwinów i Łotyszy. Do nadzorowania tej grupy wyznaczył hilfskapo Władysława Kasprowicza¹⁰⁸ z Chojnic. Herbert „Zielonka” dostał 50 ludzi do transportu materiałów budowlanych i budowy pakamery. Ja, w grupie dziesięciu, dostałem przydział do mieszania betonu i odlewania słupków z żużlu. Pracowaliśmy na uboczu.

Po trzech godzinach pracy Herbert zarządził zbiórkę. Było to na dwie godziny przed przerwą południową. Nikt z nas jego piskliwego „antreten”¹⁰⁹ nie usłyszał. Podniosłem się od roboty i wyprostowałem plecy. Wtem pociemniało mi w oczach. Herbert podbiegł i ciął mnie kilka razy grubym kablem po głowie. Wszystkim kazał dołączyć do grupy zatrudnionych przy transporcie. Mnie kazał dźwigać ciężkie elementy betonowe. Latał za mną wymachując kablem i krzycząc. Trwało to do przerwy obiadowej. Zorientowałem się, że u Herberta długo nie wytrzymam. Po przerwie zwróciłem się do Küblera, żeby mnie przydzielił do innej roboty. Zgodził się, pozostawiając mnie przy robotach ziemnych w wykopie. Herbert wściekał się ze złości, że mu się wywinąłem.

W wykopie pracowaliśmy we dwóch z Gabrychem. Obejrzał on teraz moją głowę i powiedział:

– Ten łotr ładnie cię urządził. Pręgi czerwone zamieniają się w fioletowe. Wyglądasz jakbyś pochodził z plemienia Sinosków. Nie martw się, oni skończą prędzej niż przypuszczasz.

– Nie, mój drogi – odpowiedziałem. – Herbert jest gdańszczaninem, po wojnie będzie udawał cierpiętnika i ideowca.

– Przypominasz sobie przemówienie Leszka Zdrojewskiego? Wiesz, tego z Arbeits-einsatz w Stutthofie. Gdy opuszczaliśmy obóz macierzysty powiedział między innymi, że po wojnie założymy związek Stutthofiaków-ideowców.

Obaj byliśmy wstrząśnięci.

Nie upłynęła godzina, a już Kübler rozdzielił nas. Mnie wyznaczył do Janka Łęgowskiego¹¹⁰ („stary numer”). Miał on za zadanie zestawienie pakamery z gotowych elementów drewnianych.

Późnym wieczorem, leżąc w kojku, poczułem dotyk ręki. Przyszedł Tadzio Czajkowski. Mocno uściśnął mi rękę serdecznie współczując pobicia. Pod podglówek wsunął mi suchara z domowej paczki. Był to już drugi suchar. Pierwszy otrzymałem podczas pracy na zakładach. Był to dar bezcenny.

Następne dni były do siebie podobne. Pewnego razu, idąc w kolumnie do robót na zakładach, dołączył do mnie Gabrych. Z niespotykanym dotąd u niego pośpiechem opowiadał mi swoją historię, poczynając od wybuchu wojny. Mówił także o osobistym życiu w rodzinie. Myśli wyrażał krótko, chciał mi przekazać jak najwięcej zdarzeń z nim związanych. Na terenie fabrycznym kończył:

– Żona i córka zostały po tamtej stronie. Prawdopodobnie są u gen. Andersa. One nic nie wiedzą, co się ze mną dzieje. Czuję, że nade mną wisi coś niedobrego. Kto z nas

¹⁰⁸ Władysław Kasprovicz – ur. 8 III 1895 r., więzień KL Stutthof nr 29466.

¹⁰⁹ (niem.) Ustawić się.

¹¹⁰ Jan Łęgowski – bliższych danych nie ustalono.

przeżyje, niech o tym pamięta. Na zakładach rozdzielono nas. Pracowaliśmy w odrębnych grupach.

Tego dnia ryk syren fabrycznych podawał sygnały, co oznaczało Voralarm¹¹¹, i zaraz potem krótkie – Alarm. Niemcy z zakładowej ochrony przeciwlotniczej rozbiegli się do beczek z gazem, zadymiając teren fabryki. Mimo że była dopiero dziesiąta przed południem, dzień słoneczny, wydobywające się z beczek syczące kłęby sztucznej mgły zasłoniły w kilka minut widoczność. Kommandoführer zwołał wszystkich do swoich setek. W kolumnach, rzędami po pięciu, kazali trzymać się za ręce. Najpierw szybkim krokiem, a za chwilę biegiem, wyprowadzili nas za bramę. Syreny wyły bez przerwy krótkimi sygnałami. Na eskortujących nas esesmanów padł blady strach. Poganiiali kolumny, byle prędzej, byle dalej odskoczyć od zakładów.

W odległości około trzech kilometrów wprowadzili nas do lasu, kazali siadać w zwartej grupie setkami. Posteni otoczyli całą gromadę gęstym kordonem. Artyleria przeciwlotnicza otworzyła ogień. Najpierw z wielu stanowisk strzelały działa ciężkie, a następnie działa szybkostrzelne położyły zaporę ogniową. Mimo potężnego huku dział, wyraźnie przebijał warkot nadlatujących maszyn. Z pierwszej grupy oderwał się jeden samolot pikując w dół, po chwili wyrównał i dymem zakreślił koło nad zakładami. W ślad za tą grupą samolotów nadleciały ciężkie bombowce i w zakreślone koło zrzuciły balast bomb. Długi, dudniący łomot i trzask towarzyszył olbrzymiej detonacji. Był to dopiero pierwszy zrzut dywanowy. Po tej fali nadlatywały kolejne samoloty. Od podmuchów pękających bomb, stojących przy drzewach postenów rzucało o pnie, inni przewracali się na ziemię. Więźniowie, choć zwarci w masie, również odczuli wstrząsy ziemi. Nagle wszystko ucichło. Syreny fabryczne odwołały Fliegeralarm¹¹². Z pobliskiego lotniska zerwało się kilka Messerschmittów¹¹³, które wzięły kurs za samolotami alianckimi. Z rozmów między Niemcami wynikało, że były to samoloty amerykańskie.

Na drodze w kierunku zakładów panował teraz duży tłok. Pracownicy cywilni zakładów i kolumny zorganizowane falami wracali do bramy głównej. Między tą ludzką cizbą przeciskały się z trudem auta z dygnitarzami SA w mundurach. Samochody strażackie spędzaly pieszych na boki. Dopiero kiedy na drodze rozluźniło się, wprowadzono poszczególne komanda więźniów. Przy bramie zatrzymano nas. Po chwili wyszedł Kommandoführer i wszystkim kazał wracać do obozu. Nad zakładami unosiły się kłęby gęstego dymu i płomienie. Z palących się zbiorników benzyny dobywały się iskry i wybuchy. Kilka bomb spadło w pobliżu bramy głównej. Widoczne były leje dużych rozmiarów, które na grząskim gruncie podchodziły wodą.

Wieczorny apel odbywał się w ciszy. Zawsze ryczący Kozłowski zamilkł. Mówiono, że trwoga wstąpiła w duszę zbrodniarza. Następnego dnia można było zobaczyć obraz zniszczenia. Dwupiętrowy budynek w pobliżu zakładowej kuchni legł w gruzach.

¹¹¹ Voralarm – alarm ostrzegawczy, oznaczający konieczność wszczęcia przygotowań do ukrycia się/obrony, poprzedzający alarm właściwy, informujący o zagrożeniu, w tym przypadku nalotami.

¹¹² (niem.) Alarm lotniczy.

¹¹³ Messerschmitt – samoloty produkowane przez niemiecką wytwórnię lotniczą założoną w 1926 r. przez Willy'ego Messerschmitta jako Messerschmitt Flugzeugbau GmbH (od 1938 r. Messerschmitt AG). Główna fabryka firmy funkcjonowała w Augsburgu.

Żelbetowy pomost na wsporczych słupach podtrzymujących rurowe przewody, niektóre o średnicy metra, na znacznej długości został zburzony. System rurociągów doznał sporych uszkodzeń. Na wewnętrznych ulicach w zakładach wałały się stosy gruzów, żelastwa i szklanej waty. Kanalizacja i wodociągi przestały działać. Centralna ulica biegnąca od bramy głównej oraz niektóre boczne zostały zalane wodą z porwanych rur.

Porządku pilnowały gęste patrole esesmanów. W miejscach przejezdnych kręciły się auta z dygnitarzami Organizacji Todta¹¹⁴, którzy notowali zniszczenia. Niemiecka załoga gromadziła się w grupki żywo rozprawiające i gestykulujące. Widać było, że potracili głowy. Obiadowej zupy nie wydano. Po pracy wracaliśmy inną drogą. Mogliśmy zobaczyć największe zniszczenia od strony obozu.

Na placu zbierek dostrzegliśmy niezwykle ruch. Komanda, które wróciły wcześniej, „Kozioł” przeganiał z miejsca na miejsce, nie wpuszczając nikogo do baraku. Kiedy ujrzał czwartą setkę wolno wchodzącą przez bramę, ryknął na cały głos:

– Antreten!

Ruska idącego w kolumnie, wolno stawiającego nogi, wyrzwał w pewnej chwili młotkiem w głowę. Ten zwałił się na ziemię i po kilku minutach zmarł. W innych rzucał młotkiem i kamieniami. Koło mojej głowy świsnął kamień i uderzył idącego obok. Z głowy pociekła mu krew.

Bicie i kopanie w osławionym KL Stutthof – Außenlager Pölitz były zjawiskiem codziennym od rana do nocy. Ale tego dnia jakiś dziki szal opanował Kozłowskiego i niektórych kapo, takich jak Łukasik, Slapak i inni. Co do tego pierwszego zdania były podzielone. Jedni uważali, że w biciu i zamęczaniu więźniów szeregowych dorównuje Kozłowskiemu, inni twierdzili, że go przerósł. Różnica polegała na tym, że Łukasik bił gumą, kułakiem i kopał w żołądek lub genitalia, a Kozłowski czym popadło, mógł to być młotek, siekiera czy deska. Ciosy zadawane ręką traktował jako zbyt łagodne i wyróżniające. Ustawiczne gonitwy bitych więźniów sprawiały wrażenie, że hycle gonią zgłodniałe psy, szukające ratunku w zbitej gromadzie, wydające zgiełkliwe krzyki od odbieranych ciosów.

Za te zasługi wszyscy kapo otrzymywali specjalne dodatki żywnościowe: konserwę, margarynę, kizkę, kiełbasę, chleb i inne specjały. Niezależnie od tych przydziałów, okradali z głodowych racji więźniów szeregowych, dokarmiając tym swoich „pipli”¹¹⁵, służących im za panny (wśród kapo rozwinięta była masowo pederastia), lub kumpli, tak zwane „stare numery”. W tym czasie utarł się pogląd, że kapo to morderca i zbrodniarz, bez względu na to, jaki nosi winkiel i jakiej jest narodowości.

Po tej orgii bicia ustawiono wszystkich do apelu. Kozłowski wymyślając nam zapowiedział przed szeregiem, że gdyby który próbował uciec, będzie dyndał. W nocy nie

¹¹⁴ Organizacja Todta (od nazwiska Fritza Todta) – paramilitarne ugrupowanie o charakterze budowlanym, powstałe na bazie państwowej spółki „System autostrad Rzeszy”, powołanej w czerwcu 1933 r. Odpowiadała za realizację zakrojonych na szeroką skalę przedsięwzięć budowlanych, także wojskowych, takich jak koszary, lotniska, mosty, drogi czy linie kolejowe. Tworzyły ją zarówno prywatne firmy budowlane, jak i przedsiębiorstwa państwowe. Początkowo zatrudniała Niemców niezdolnych do służby wojskowej oraz przedpoborowych, w czasie wojny również robotników przymusowych z krajów okupowanych.

¹¹⁵ Pipel – chłopiec wykorzystywany przez więźniów funkcyjnych do posług, również seksualnych.

wolno wychodzić z baraku na podwórze, jeśli nie będą palić się reflektory na zwyżkach. W razie nocnego alarmu należy natychmiast ubrać się i czekać przy kojkach. Na dany znak, trzymając się piątkami za ręce, należy wychodzić za bramę obozu. Kozłowski objaśniał wszystko tak donośnym rykiem, że stojący w ostatnich szeregach mogli go łatwo usłyszeć. Na zbiórce więźniów trzymano już około godziny, a apel jeszcze się nie odbywał. Stojąc tak o głodzie większość ślaniała się na nogach. Świat poszarzał w oczach, policzki zapadły się. Całe ludzkie zbiorowisko w pasiakach wyglądało przygnębiająco.

Nagle Kozłowski zniknął. Po dziesięciu minutach zjawił się ponownie, z Andrasikiem. Wszystkich kapo wezwał na odprawę. Gadali krótko, po czym każdy brał swoją setkę i łopaty spod baraku. Szli zasypywać leje po bombach. Czwarta setka pozostała na placu. Nie czekając co będzie dalej, więźniowie biegiem wpadli do baraku. Kübler zebrał sześciu ludzi i poszedł na kuchnię po kocioł z zupą. Po chwili przyniesiono jeszcze dwa kotły. Tym razem zupy starczyło po pełnym litrze z dolewką na cały stan setki.

Słowo ludzkie wiele może odtworzyć i wyjaśnić, ale tego uczucia pożądania nędznego jada z obozowej kuchni nie wypowie. Na wolności nawet najsmaczniejsze kąski nigdy by tak nie drażniły otwartych nozdrzy, jak zapach tej zupy, w której pływało parę listków kapusty i trochę kartofli.

Niektórzy więźniowie znajdowali się w stanie krańcowej depresji. W pewnej chwili rzucili się na Kozłowskiego i usiłowali go zlinczować. Nie dali mu rady. Podobno wybronił się bagnetem, który stale nosił za cholewą.

Błokowi dostali polecenie, by w setkach ubrania (klamoty) na noc układać w kostkę na blatach stołów. Miało to ułatwić dostęp do ubrań podczas alarmu, jak również nie dopuścić do zauszenia legowisk w kojkach. W tym czasie u Polaków wszy były zjawiskiem rzadkim, ale u innych narodowości stały się istną plagą. Po ostatnim nalocie bombowym instalacja wodociągowa została w znacznej części zburzona, powstały duże trudności z umyciem się. Wodę dowożono do obozu w beczkach po benzynie z napisem „Shell”¹¹⁶. Żeby zdobyć trochę wody do mycia, trzeba było w nocy cichcem podkraść się pod beczkę, nabrać w miskę wodę i starannie schować pod kojkiem. Jeśli taką kradzież zauważył któryś kapo, amatora mycia twarzy nieuchronnie czekało mocne bicie.

Okolo północy do baraku przyszedł Kozłowski z Andrasikiem na kontrolę układania brudnych kłopotów w kostkę. Co chwilę kogoś tłukli, a kiedy się uciszyło, zastanawiano się szeptem w kojkach skąd taki nagły atak furii. Wiadomo było, że wśród więźniów znajdują się kapusie i donosiciele. Niektórzy nawet nie kryli się z tym. Do takich należał Lońka¹¹⁷ z rewiru, z pochodzenia Ukrainiec, „stary numer”. Kręcił się często między więźniami, nasłuchując co kto mówi. Wieczorami grywał na gitarze lekarzowi Kaczyńskiemu. Miał też częsty kontakt ze Schreibstuba¹¹⁸. Teraz kapusie mieli pole do popisu,

¹¹⁶ Shell – koncern petrochemiczny, który powstał w 1907 r. po połączeniu Royal Dutch Petroleum Company oraz Shell Transport & Trading Company. W 1938 r. wydobycie ropy naftowej w firmach zarządzanych przez grupę wyniosło 580 tys. baryłek dziennie, co stanowiło ponad 10 proc. wydobycia światowego.

¹¹⁷ Lońka – bliższych danych nie ustalono.

¹¹⁸ Schreibstuba – kancelaria obozowa (niem. schreiben – pisać, Stube – izba).

ponieważ po ostatnim nalocie bombowym większość więźniów wyrażała głośno swoje zadowolenie.

Jeszcze tej samej nocy, około czwartej nad ranem, rozległ się ryk syren fabrycznych, krótkimi sygnałami zapowiadając Fliegeralarm. Artyleria przeciwlotnicza rozpoczęła kanonadę. W baraku rozległo się głośne „aufstehen!”¹¹⁹. Więźniowie rzucili się do stołów po swoje klamoty. W ciemnościach i tłoku nie można było ich odszukać. Jeden wyrwał drugiemu co było pod ręką – bluzki, spodnie, klumpy¹²⁰. Padały szturchańce i przekleństwa. Już stoły były puste, a jeszcze niektórzy stali w bieliźnie i boso. Podczas gdy w ciemnościach rozgrywały się sceny z wyrwaniem sobie klamotów, odłamki szrapneli przebijały plandekę zadaszenia i wpadały do baraku. W mig środek baraku opustoszał, kto mógł chował się pod kojka. Nikt nie został ranny. Nalot trwał około pół godziny. Tym razem bombardowany był Szczecin.

Od tej pory naloty alianckich bombardowców stały się zjawiskiem codziennym, a układanie w kostkę klamotów na stołach – prawdziwą udręką. Po każdym takim nocnym nalocie na porannym apelu widziało się stojących tylko w bieliźnie i boso. „Kozioł” ryczał i ciskał się, ale poszukiwania brakujących klamotów dawały tylko połowiczny skutek. Ze stojącymi w bieliźnie Kozłowski rozprawiał się krótko – bił w twarz z takim rozmachem, że za każdym razem delikwent przewracał się. Kilku kapo wysłał na przeszukanie kojek. Część znalezionych rzeczy przynieśli, ale nie starczyło tego dla wszystkich. Pozostałym kazał wydać ubrania z magazynu. Sam w taki sposób zostałem ubrany.

Dużej wagi wydarzeniem było wyciągnięcie z szeregu dziesięciu zakładników za wczorajszy rzekomy zamach na Kozłowskiego. Wszyscy byli z transportu warszawskiego, tylko że nie wszyscy brali udział w bójce. Część z nich miała „haka” za nieudaną próbę ucieczki, część z donosów kapusiów, jakoby mieli zamiar uciekać i buntowali się. Dalsze ich losy nie są dobrze znane. Krążyły o nich dwie wersje. Jedna – że w ciągu dnia zostali w lesie zgłodzeni, druga – że wywieziono ich na sąd do obozu macierzystego w Stutthofie. Ta pierwsza wersja była bardziej prawdopodobna.

Naloty alianckich samolotów spowodowały, że dla przyspieszenia robót przy budowie bunkrów wprowadzono dwie zmiany – dzienną i nocną. Zmiana dzienna pracowała od siódmej rano przez dwanaście godzin i miała iść mordercze tempo robót. Na zmianie nocnej można było więcej markierować w ciemnościach, mimo to wyczerpywała bardziej. Powracającym z nocnej zmiany pozwalano spać tylko do trzynastej. Od czternastej do wymarszu na zakłady „Kozioł” zatrudniał ich przy poszerzaniu obozu i innych pracach porządkowych. Zazwyczaj pracowali w mniejszych grupach.

Po nalocie na stolicę Pomorza Niemcy i inni pracownicy cywilni, dojeżdżający ze Szczecina i okolic, nie zjawili się tego dnia w pracy. Po prostu nie mieli czym przyjechać. Łuna pożarów unosiła się nad miastem. O zniszczeniach z przerażeniem odpowiadał Polier następnego dnia, gdy zjawił się na zakładach.

Jeszcze nie minął miesiąc morderczej pracy, a już dla wielu jej skutki okazały się katastrofalne. W końcu lipca stan ewidencyjny z obu transportów wynosił 1300 więźniów.

¹¹⁹ (niem.) Wstawać!

¹²⁰ Klumpy – w żargonie obozowym buty.

Zdolnych do pracy było nie więcej niż 900. Resztę stanowili zamęczeni, zmarli lub chory leżący na rewirze. Najwięcej strat poniósł pierwszy transport.

31 lipca przybył do obozu nowy komendant w randze kapitana Wehrmachtu¹²¹. Nastąpiła także zmiana postenów SS-Totenkopfverbände na wehrmachtowców. Dotychczasowi posteni, rekrutujący się przeważnie z Ukraińców i Łotyszy, zostali odesłani do Stutthofu. Jak się później okazało, zmiana ta była wynikiem zamachu na Hitlera. Następnego dnia stając do apelu czuło się pewne odprężenie. Przed odmarszem poszczególnych komand na zakłady nowy komendant zebrał eskortujących postenów na krótką odprawę. Doszło do moich uszu: „alle Häftlinge besser behandeln”¹²². W ciągu dnia przyszedł na kontrolę pracujących na zakładach. Widząc więźniów pobitych i okrwawionych wrywał gumy z rąk kapo i odrzucał je na bok, besztając ich właścicieli. Dla wszechwładnych kapo i ich pomocników było to wielkim zniesławieniem.

Wieczorem, po apelu, przyszedł do mnie Gabrych i przyniósł informację, że nowy komendant był żołnierzem frontowym, podczas I wojny światowej siedział w niewoli u Ruskich – jest więc nadzieja na zmianę kursu w obozie. Później mówił o swoich kłopotach i życiowych drogach. W wypowiedziach był bardzo powściągliwy i skromny, a przecież był odważny w działaniu.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Nie wiedzieć czemu byłem dziwnie podniecony. Podczas lekkiego snu opanowały mnie ciekawe widziadła. Na Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu trzepotały na wietrze wywieszane przed bramami narodowe flagi. Po ulicach Warszawy kręciło się dużo polskich żołnierzy w cywilnych ubraniach. W tłumie spotkałem moją żonę, która pełna wzruszenia powiedziała: powstanie...¹²³ A oto inny obraz. Dużych rozmiarów mapa Polski, wisząca na ścianie komendy placu¹²⁴ na wprost hotelu „Europejskiego”¹²⁵, pomięta zsunęła się na ziemię. Zaznaczony był na niej tylko jeden punkt – Warszawa. Obudziłem się odurzony, był to bowiem sen wiele znaczący.

4 sierpnia nowy komendant podczas pracy na zakładach odwiedził czwartą setkę. Była to pora obiadowa, zupa wydana (w tym czasie pracującym przy bunkrach wydawano po pół litra fabrycznej zupy). Zobaczył, że jakość tej zupy jest gorsza od obozowej. Pokręcił głową i odszedł. Wieczorem wezwał na odprawę wszystkich kapo i hilfskapo. Zabronił okradać więźniów szeregowych z przydziałów zupy obozowej. Sam apel trwał krótko. Kiedy przyniesiono kocioł z wieczorną zupą, nalewał Kübler. Najpierw wymieszał całą zawartość kotła, po czym nalewał po pełnej puszcze. Czuło się teraz lekką

¹²¹ Chodzi o Ernsta Sette; zob. przyp. 17 we wstępie.

¹²² (niem.) Wszystkich więźniów traktować lepiej.

¹²³ Rozkaz o rozpoczęciu powstania warszawskiego wydano 31 VII 1944 r., gdy jednostki Armii Czerwonej zbliżyły się do położonej na prawym brzegu Wisły dzielnicy Praga. Akcja rozpoczęła się 1 VIII 1944 r. o godz. 17.00 pod dowództwem komendanta warszawskiego okręgu Armii Krajowej płk. Antoniego Chruściela (1895–1960). Do walki przystąpiło ok. 23 tys. żołnierzy, z czasem ich liczba nawet wzrosła, ale większość z nich nie była uzbrojona. Powstanie miało trwać kilka dni – do nadejścia Armii Czerwonej – jednak Józef Stalin wstrzymał działania w rejonie Warszawy. Mimo początkowych sukcesów i zdobycia wielu strategicznych obiektów, nie udało się wyprzeć Niemców, którzy na dodatek poważnie wzmocnili swój 16-tysięczny garnizon. Powstańcy skapitulowali ostatecznie 2 X 1944 r. Zginęło 10 tys. powstańców i 150 tys. cywili.

¹²⁴ Chodzi o pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego, w latach II wojny światowej (od 1940 r.) Adolf-Hitler-Platz.

¹²⁵ Hotel „Europejski” mieści się przy ul. Krakowskie Przedmieście 13.

poprawę. Ponadto wprowadzono premie. Polegały one na tym, że pracującym na zakładach wydano bony, za które wieczorem można było otrzymać pęczek (pięć sztuk) kalarepy. Żeby z tego nic nie uronić, po oskrobaniu z ziemi kalarepę zjadano ze skórą i liśćmi – wszelako były to witaminy.

Po raz pierwszy niedzielę 6 sierpnia ogłoszono dniem wolnym od pracy. Pobudkę zarządzono o siódmej, śniadanie wydano godzinę później. Po apelu wolny czas przeznaczono na doprowadzenie do porządku klamotów. Reperowano więc zniszczone pasiaki i drewniaki, przyszywano świeże numery, golono brody.

Działo się to wszystko w czasie, kiedy do obozu dotarły pierwsze wiadomości o bitwie czołgów sowieckich na przedpolach Warszawy oraz wybuchu powstania i ciężkich walkach w lewobrzeżnej części stolicy. Informacje te wyczytano w „Pommersche Zeitung”¹²⁶. Na czele powstania stał Bór-Komorowski¹²⁷. Walki toczyły się na Woli. Stare Miasto było otoczone przez Niemców. Niemal w każdym zdaniu przewijał się zwrot „die polnische Banditen”¹²⁸. W serca umęczonych więźniów wstąpiła teraz jakaś nadzieja na przetrwanie. Sytuację omawiano w grupkach, tym razem nikt nie przeszkadzał.

Około jedenastej przed południem rozpoczęło się zadymianie zakładów. Syreny wyły, w obozie ogłoszono zbiórkę. Pod silną eskortą wyprowadzono wszystkich więźniów na pole. Niespełna pół godziny trwał szybki marsz, początkowo przez zadymiony teren. Kolumny zatrzymano w strefie małych zagajników. Kilka minut później dało się słyszeć warkot samolotów. Szły na znacznej wysokości, tym razem nie rzucały bomb na zakłady. Poszły w górę Odry. Wkrótce uciszyło się na dobre, powoli rozchodziły się mgły. Tego dnia eskortę pełnili wehrmachtowcy i esesmani z garnizonu szczecińskiego.

W drodze powrotnej słychać było kilka strzałów karabinowych. Okazało się, że usiłujący zbiec Polak z Płocka został zastrzelony przez esesmana. Z zabitego zdjęto pasiaki, nago położono pod komórką dla zmarłych. Miał roztrzaskaną głowę.

Zarządzono zbiórkę. Kozłowski oznajmił rykiem, że każdy, kto zdradzi zamiar ucieczki, będzie zastrzelony. Rapportführer Andrasik i Lagerältester II Erich Schamp zarządzili marsz dookoła placu apelowego. Należało iść koło komórki rzędem, jeden za drugim, tak, żeby każdy mógł dobrze przyjrzeć się zabitemu. Należało przed nim się pochylić. Schamp grubym kijem pomagał schylić się i dobrze przyjrzeć. Kto nie spojrział zbyt dokładnie, dostawał kijem po głowie. Do końca tego dnia już spokoju nie było. Urządzono gonitwy po placu aż do zmroku. Goniony przez rozwścieczonych Schampa i Andrasika, starałem się ukryć w baraku. Łukasik pomagał im mnie wykryć. W baraku było już dobrze ciemno i to mnie uratowało od masakry.

W poniedziałek 7 sierpnia prowadząc kolumny do robót silnie wzmocniono eskortę. Podczas przemarszu na zakłady pilnie obserwowano ruchy każdego więźnia. Przy pracy

¹²⁶ „Pommersche Zeitung” – organ prasowy NSDAP ukazujący się od 1932 r. w Szczecinie.

¹²⁷ Tadeusz Bór-Komorowski – ur. 1 VI 1895 r., uczestnik kampanii wrześnieowej, od maja 1940 r. generał brygady, od marca 1944 r. generał dywizji, w latach 1940–1941 komendant krakowskiego obszaru Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), od lipca 1941 r. zastępca komendanta głównego ZWZ – Armii Krajowej (AK), od 17 VII 1943 r. do 2 X 1944 r. komendant główny AK, od 30 IX 1944 r. Naczelny Wódz Polskich Sił Zbrojnych (do 1946 r.), po wojnie, w latach 1947–1949, premier rządu na uchodźstwie, zm. 24 VIII 1966 r.

¹²⁸ (niem.) Polscy bandyci.

podzielono nas na małe grupki. Od tej pory było tak codziennie. Kommandoführer chodził z otwartą kaburą pistoletu (był w stopniu kaprała). Eskorta często ulegała wymianie. Esesmanów dostarczał szczeciński garnizon, wśród nich wielu było młodych chłopaków.

Pracując na uboczu przy wyrobie metalowych słupków zameldowałem postenowi, że potrzebuję na stronę. Młody esesman zgodził się, ostrzegł jednak, by nie oddalać się zbyt daleko. Obserwując moje ruchy zauważył, że nie mam paska. Wyjaśniłem mu, że w obozie pasek może nosić tylko kapo lub funkcyjny, więźniowie szeregowi nie mogą używać nawet sznurka. Następnego dnia tenże esesman przyniósł mi pasek. Był nim opasany pod mundurem. Przy okazji zwierzył się, że przechodzi okres rekonwalescencji po wyjściu ze szpitala, gdzie przebywał kilka miesięcy na skutek odniesionych ran na froncie wschodnim.

W połowie miesiąca ponownie nastąpiła zmiana na stanowisku komendanta obozu. Na miejsce kapitana Wehrmachtu, przyszedł SS-Untersturmführer, przez swoje świderkowate oczy pospolicie zwany „Igiełką”¹²⁹. Był niewysokim, jasnym blondynem w binoklach. W obozie wróciły stare metody bicia i zamęczania. Kapo, hilfskapo, funkcyjni, a nawet „stare numery” chwycili za gumy, kable lub bykowce. Bito tak zapamiętałe, jak gdyby chciano odrobić zaległości. Tak samo wróciły stare praktyki okradania więźniów szeregowych z przydziałów żywności. Kapo i ich pomocnicy stali się ponownie panami życia i śmierci.

W tym czasie Polacy, zwłaszcza z warszawskiego transportu, chodzili podnieceni powstaniem. Skąpe wiadomości, jakie przenikały do obozu, starano się w różny sposób poszerzyć. Podrzucano mi niemal codziennie szczecińską „Pommersche Zeitung”. Niewiele można było w niej wyczytać o powstaniu, jedynie ogólnikowe informacje o walkach, podawane zawsze w formie zohydżającej powstańców i podkreślającej bezcelowość ich działań. Za każdym razem, po odrzuceniu wrogiej propagandy, starałem się przekazać te informacje w sposób możliwie najlepszy, podnoszący na duchu i kojący stargane nerwy. Nie uszło to uwadze kapusiów. Donieśli do Schreibstuby, że uprawiam wśród Polaków wrogą Niemcom propagandę.

Wkroczyliśmy już w trzecią dekadę sierpnia. Pewnego dnia rano, podczas zaścielania kojek, Michał powiedział, że ma niedobre przeczucia. Śniło mu się, że jadł kwaszoną kapustę z kartoflami, a taki sen nie wróży nic dobrego. Po powrocie z pracy, kiedy pobieraliśmy obozową zupę, Gabrych stał w kolejce trzeci od kotła. Do baraku przyszedł pisarz obozowy Schneider i z kartoteki wyczytał nazwisko Gabrycha. Zabrał go natychmiast, nawet nie pozwalając pobrać zupy. Idąc do kojka po rzeczy Gabrych podbiegł do mnie i uściśnął mocno moją rękę. Schneider nie pozwolił nam zamienić choćby jednego słowa. Po ich odejściu uświadomiłem sobie, że może stać się z nim coś złego.

Minęło ledwie kilka minut, a Michał stał już przy drutach ogrodzeniowych pod okiem postena pilnującego go ze zwyczajki. Miał pod pachą bochenek chleba. To wszystko, co mu dano na drogę do Stutthofu. Pozdrowiałem Gabrycha na odległość, gdyż nikomu

¹²⁹ Chodzi o Kurta Volkmana; zob. przyp. 19 we wstępie.

nie pozwolili zbliżyć się do niego. Po kolacji grupa esesmanów udająca do Stutthofu zabrała go do środka i szybkim krokiem odeszli w kierunku stacji kolejowej w Policach. Gabrych odszedł, pozostawił po sobie pustkę i serdeczny żal.

Tego samego wieczoru „Gruby Jurek” powiedział mi, że Gabrych ma sprawę ciężką. W Schreibstubie dowiedział się, że go mają powiesić lub rozstrzelać. Przyszedł na niego wyrok śmierci. Mnie ostrzegł, bym nie czytał gazet, gdyż spotka mnie to samo. O mojej sprawie wiedział już komendant obozu.

Następnego dnia około północy zjawili się przy mnie: Kozłowski, Schneider i Andrasik. Zrobili gruntowną rewizję w moim kojku i przyległych, przetrząsając nawet wolinę w podglówku i sienniku. Szczęśliwie dla mnie tego dnia nie podrzucono mi gazety. Skończyło się tylko na ciężkim pobiciu. Rano, po nocnej masakrze, trudno mi było podnieść się z kojka. Najdotkliwiej odczułem kopnięcie w genitalia. Było ono tak silne, że zostałem częściowym inwalidą. W takich warunkach o czytaniu „Pommersche Zeitung” nie mogło być mowy. Zrozumieli to także inni.

Na skutek morderczych warunków pracy, bicia i głodu, stan liczbowy setek roboczych malał z dnia na dzień. W to miejsce pęczniał rewir i wzrastała liczba zgonów. Krematorium w Szczecinie odmówiło przyjmowania tak dużej ilości ciał na spalanie, a trupy nie mogły zalegać w magazynie krematoryjnym. Odtąd ciała zmarłych zakopywano. Wyjątek stanowili Niemcy – ich ciała w dalszym ciągu wysyłano do Szczecina.

W tym czasie, jako uzupełnienie przerzedzonego stanu, zapowiedziano przybycie nowego transportu więźniów. Wciąż więc, po powrocie z pracy na zakładach, zaganiano nas do robót związanych z przygotowaniem pomieszczeń i kojek dla zugangów. Przy nich rozpętała się istna orgia bicia, „Kozioł” szalał. Słowo „kaźń” nie odda tego, co się wówczas działo w obozie. Była to wielka tragedia szeregowych więźniów zamęczanych pod ciosami oprawców. Tymczasem kapo, hilfskapo i funkcyjni, którzy żyli dość swobodnie, a nawet – jak na warunki obozowe – dostatnio, przybierali na wadze.

Naloty alianckich samolotów, które odbywały się kilka razy tygodniowo, po chwilowym entuzjazmie stały się prawdziwą udręką. Ciągłe gonitwy z zakładów do lasu i z powrotem prowadziły do większego zmęczenia.

Coraz częściej komanda wychodziły do robót na zakłady bez śniadania. Wiele powodów było przyczyną zamieszania i przetrzymywania na porannych zbiórkach. A to nalot samolotów alianckich o świcie, a to ktoś komuś coś ukradł, najczęściej drewniaki lub portki, a to znowu ktoś zamierzał uciec...

Kapusie odkryli, że w baraku drążono podkop, który prowadził do wyjścia poza druty ogrodzenia. Ziemię z wykopu wynoszono w torbach po cemente i w kieszeniach, wysypywano ją w na zakładach. Los podejrzanych o ucieczkę był tragiczny. Chociaż nikt się nie przyznał, zaraz rano dostali od swojego kapo i jego pomocników porządną porcję bicia. Działo się to między kojkami w baraku. Wieczorem, po apelu, przyniesiono koziołek i na oczach wszystkich stojących na zbiórce wymierzono im karę po dwadzieścia pięć batów. Bił Kozłowski, z rozmachem i wolno. Każde uderzenie sprawiało dotkliwy ból. Omdlewali po dziewiątym lub dziesiątym uderzeniu. Ten, który trzymał się najdlu-

zej, omdlał dopiero po trzynastym. „Kozioł” w zamian za wytrwałość dołożył mu jeszcze dwa uderzenia od siebie.

W końcu sierpnia przybył z Buchenwaldu¹³⁰ zapowiadany transport w liczbie 210 więźniów. Byli to Jugosłowianie, w większości Serbowie. Przyjęcie transportu odbywało się wieczorem. Kozłowski wezwał wszystkich kapo na odprawę. Zaraz potem zaopatrzyli się w kije i deski, gumy i grube kable do bicia nosili stale przy sobie. Nas wszystkich zapędzono do baraku, ale zapomniano o zamknięciu wierzei. Od bramy wejściowej do obozu po obu stronach ustawili się kapo i niektórzy z ich pomocników tworząc dość gęsty szpaler. Bramę otworzono i kolumna Zugangów wkroczyła między ten szpaler. Przez stary obóz przeszła spokojnie. Po wejściu na teren nowego obozu i przeliczeniu przybyłych, „Kozioł” dał znak i rykiem nakazał bieg. Teraz ruszyli ławą kapo. Bili po głowach, plecach, gdzie popadło i kogo popadło. Ponaglając do biegu pilnowali równania i krycia. Gonionym spadały z nóg klumpy, koziołkowali i przewracali się. Na skłębione ludzkie postacie kije i deski spadały ze zdwojoną siłą. I tym razem najcelniej po głowach bił Erich Schamp, zwany „Łysym”, i Łukasik. Gonitwa i młócka Zugangów trwała do późnych godzin nocnych.

Po takim przywitaniu następnego dnia przydzielono ich do przerzedzonych komand. Część z nich trafiła do czwartej setki. Na zakładach Kübler wydzielił ich w odrębną grupę do robót ziemnych. Nadzór nad nimi objął hilfskapo Władysław Kasproicz – folksdojcz z Chojnic.

W tym czasie stan ewidencyjny więźniów z trzech transportów przybyłych do Polic wynosił 1510 (800+500+210). Na apelu porannym stanęło niespełna 900 więźniów zdolnych do robót. Z poprzednich transportów wykruszyło się więc około 600 więźniów, czyli 46 proc., a były to dopiero pierwsze dwa miesiące pracy.

Głód był dotkliwy. Zazdrość budził nawet kawałek spleśniałego chleba. Dużą pomocą były paczki od rodzin. Otrzymywali je więźniowie zamieszkali na terenach między innymi Płocka czy Chojnic. Z Warszawą łączność została przerwana. Szczęśliwi paczkarze musieli dzielić się ich zawartością najpierw w Schreibstubbie, następnie co lepsze kaski zabierali kapo i ich pomocnicy, a to, co im jeszcze zostało, stało się przedmiotem pożądanego najbliższego otoczenia. Zdarzały się często kradzieże. Aby temu zapobiec, paczkarze szyli sobie torby i wieszali je na piersiach. Widząc to „Kozioł” zabronił noszenia toreb, ale nie wszystkim. Ci, którzy otrzymywali z domu tytoń i dzielili się nim z Kozłowskim, torby takie mogli nosić.

W powszechnej nędzy i upodleniu rozwinęły się u wielu dzięki instynkty. Tylko mocne charaktery mogły się temu oprzeć. Egoizm to zbyt łagodne słowo na określenie stanu, jaki człowiek może z siebie wyzwolić. Zgłodniali widząc, jak paczkarze wyciągają z torby chleb posmarowany smalcem i zajadają, stawali się agresywni, mieli wielkie oczy, ciekła im ślina. Co rozsądniejsi specjały domowe zjadali ukradkiem. Zdarzały się wypadki porwania chleba spod ręki, a nawet wyrywania z ręki. Kto był zręczniejszy, ten zjadł.

¹³⁰ KL Buchenwald – obóz koncentracyjny założony w 1937 r. Początkowo więziono w nim głównie działaczy niemieckiego ruchu oporu, później także osoby innej narodowości. Obóz wyzwoliły wojska amerykańskie 11 IV 1945 r. Przeszło przez niego ok. 250 tys. więźniów, zginęło blisko 60 tys.

Po sierpniowych dniach upalnych i suchych, we wrześniu pogoda zmieniła się. Napłynęły nisko sunące chmury nasycone deszczem. Przed południem zaczął siać drobny deszcz, przechodząc w coraz bardziej rzęsy.

Na południową przerwę wepchnięto całą czwartą setkę do narzędziowej pakamery. Ciasnota była niezwykła. Pod koniec przerwy wcisnął się najpierw Herbert „Zielonka”, a za nim „Gruby Jurek” i „Mały Jurek”. Wszyscy trzymali w rękach gumy. Po chwili rozpoczęli młóckę, bijąc każdego, kto im tylko wpadł pod rękę. Przy wąskim wyjściu z pakamery utworzył się zator, pchnięto mocniej i wyleciała cała ściana. Więźniowie znajdujący się na zewnątrz, bliżej wyjścia, wpadli w błoto i zostali przygniecieni tą ścianą. Reszta, przelatując po ścianie, wgniotła tamtych głębiej w błoto. Polier, kierujący robotami przy bunkrach, był wyraźnie wstrząśnięty, Herbert zaś wyraźnie zadowolony. Ten drugi miał opinię sadysty wyjątkowej klasy. Administracja obozu, znając jego zachowanie ze Stutthofu, ograniczyła go w samodzielności przy nadzorowaniu robót. Krążyło powiedzenie, że gdyby mu dano wolną rękę, w krótkim czasie wymordowałby wszystkich więźniów szeregowych.

Tymczasem ponownie usiłował zbiec więzień z literą „R”. Kilka godzin później przeprowadzono go mocno pobitego. Przez całą noc leżał pod komórką dla zmarłych z rękami związanymi z tyłu. Następnego dnia nie dano mu nic do jedzenia. Stał na beczce blisko drutów i zwyżki z postenem. Wymierzono mu karę dobowej stójki. Stał od rana do powrotu wszystkich komand z robót. Przechodziliśmy blisko tej beczki. Ślaniał się na nogach, portki miał zafajdane. Przy wieczornym apelu „Kozioł” wymierzył mu 25 batów, później wyznaczył dwóch więźniów, by go zanieśli pod barak. Był nieprzytomny. Po skończonym apelu obejrzałem go, jeszcze żył.

Stało się niemal regułą, że codziennie w godzinach przedpołudniowych przelatywały alianckie samoloty. Na skutek związanych z tym alarmów i zamieszania traciliśmy obiadową zupę. W początkach września, około jedenastej, ogłoszono Voralarm, zaraz potem Alarm. Tym razem alianckie samoloty zrzucały bomby na zakłady i pobliskie okolice. Część bomb spadła na zabudowania obozu. Znajdujący się przy bramie esesmański barak-wartownia został trafiony i rozbity. Jeden esesman i kilku więźniów zginęło.

Kübler przetrzymał swoje komando na zakładach opóźniając powrót. Czwarta setka weszła więc za bramę na ostatku. Kilka większych grup więźniów stało na zbiórce, inni kręcili się po placu apelowym w koszulach – wyszli z baraku, żeby się umyć. Zwołano zbiórkę. Każdy ustawiał się w rzędach, bez względu na to jak stał i w co był ubrany. Po sprawdzeniu obecności apel trwał bardzo długo. Kazano nam położyć się na ziemi. Posteni gęstym kordonem otoczyli leżących więźniów. Na zwyżkach ustawili karabiny maszynowe skierowane w ściśniętą ludzką masę. Dwóch kapo, zmieniających się kolejno, zaopatrzonych w długie kije, pilnowało porządku, by nikt nie podniósł się z ziemi, a nawet nie uniósł głowy. Jak zwykle nie obyło się bez bicia. W takiej pozycji trzymano nas przez całą noc. Rano szarzy i zziębnięci dowiedzieliśmy się, że przyczyną zatrzymania na placu apelowym wszystkich więźniów, był rozkaz komendanta obozu. Chodziło o niedopuszczenie do kradzieży broni z rozbitego esesmańskiego baraku, zwłaszcza pi-

stoleatów maszynowych i granatów ręcznych. Esesmani najbardziej bali się transportu warszawskiego, do usuwania rumowiska zatrudnili Jugosłowian i Ruskich.

Po nieprzespanej we własnym kojku nocy, pracować w dzień było bardzo ciężko. Wracając wieczorem patrzyliśmy czy barak jest nadal zamknięty. Istotnie, od zewnątrz był zabity deskami, co oznaczało, że zmiana nocna też musiała spać na placu apelowym. Apel znów trwał bardzo długo. Dopiero późnym wieczorem wydano zupę i wypuszczono więźniów do baraku.

W nocy znowu strzelanina, gwizdki i latanina koło baraku nie dały spokojnie spać. Rano wszystko się wyjaśniło. Uciekał jeden Ruski i pod drutami został zastrzelony. Jego ciało leżało przy budce dla zmarłych. Tego dnia komendant obozu zapowiedział, że za usiłowanie ucieczki będzie kara śmiercią. Rygor wzrósł jeszcze bardziej.

Warunki pobytu w obozie pogorszyły się do tego stopnia, że zadawaliśmy sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie można wytrzymać. Trwogę można było dostrzec w oczach każdego z szeregowych więźniów. Już nie tylko za ucieczkę, ale pod byle jakim pozorem, stawiano na beczce. Nie było dnia, by „Kozioł” nie wymierzał kary chłosty. Bito po kilku więźniów na raz. Niemal każdego dnia na porannym apelu stawało kilku potłuczonych z krwią zastygłą na policzkach lub potłuczony głowie. Szeregi topniały. Głód i mordercza praca pod batami kapo dziesiątkowały ludzi. Rewir pęczniał, nie mogąc pomieścić zgłaszających się chorych. Zajęto na rewir jeszcze jeden namiot na sto osób. Aby dostać się tam, też trzeba było dużej odwagi. Dla niektórych kończyło się to tragicznie.

Pod koniec pierwszej dekady września zarządzono ogólny przegląd lekarski. Po powrocie z zakładów kazali wszystkim rozbierać się i podchodzić do stolika ustawionego pod starą szopą. Chorych, wyczerpanych fizycznie, z poodbijanymi nerkami, przepukliną, chorych na płuca i inne choroby zakaźne oddzielono od reszty. Wybrano tylko 300 kripli¹³¹, chociaż niezdolnych do pracy było znacznie więcej. Do tej liczby dołączono chorych z rewiru.

13 września odzianych w koce lub bez okrycia, trzęsących się z febry i z zimna, kalekich, zebrano w jedną grupę i uformowano transport do Stutthofu. Część doprowadzono, część dowieziono do stacji w Policach, załadowano do wagonów bydłych i pod eskortą odwieziono do obozu macierzystego. Przed odjazdem zdarto z nich stare pasiaki i klumpy. Lekarz obozowy Bolesław Kaczyński powiedział, że najwyżej połowa z nich wytrzyma trudy podróży, reszta zemrze w drodze.

W drugiej połowie września, w dzień deszczowy i zimny, przybył nowy transport zdrowych więźniów ze Stutthofu, około 1500 osób. Nosili numery od 79000 do 81000. Większość transportu to Polacy pochodzący z Warszawy i okolic. Pracowali przy budowie okopów i zapór czołgowych na przedpolach miasta. Obiecano im, że pojedą na wolne roboty do III Rzeszy, a trafili do Stutthofu, krótko przed wybuchem powstania w Warszawie.

¹³¹ Kripel, również krypel – w żargonie obozowym skrajnie wycieńczony (zwłaszcza głodem) więzień. Odpowiednikiem tego określenia m.in. w KL Auschwitz był mużulman – od charakterystycznego kiwania się podczas siedzenia.

Pracując przy bunkrach patrzyliśmy na nich z góry, pełni podziwu, jak od stacji kolejowej do obozu maszerowali równym, energicznym krokiem. Pasiaki mieli czyste, klumpy nowe. Widać, że do tej pory nie chodzili w komandach do robót.

Wieczorem zetknęliśmy się z nimi. Przywieźli dużo ciekawych nowin. Jadąc do Niemiec zabrali ze sobą co wartościowsze rzeczy, biżuterię, zegarki, a nawet złote pięciorublówki. Wiele im z tego odebrano w Stutthofie, część przywieźli ze sobą do Polic. W Stutthofie przysposobiono ich do dobrej roboty. Powiedziano im, że jadą w dobre miejsce, dostaną odpowiednią robotę i wyżywienie. To, co zobaczyli na miejscu już pierwszego dnia, napawało ich strachem. Staraliśmy się ich uspokoić, przecież mieliśmy za sobą trzymiesięczne doświadczenie. Po co ich zawczasu martwić? Przy bliższym poznaniu i po rozmowie okazało się, że byli wśród nich tacy, których Gestapo wygarnęła z mieszkań, ale byli też ochotnicy uciekający przed powstaniem. Ogólnie rzecz ujmując – stanowili duży przekrój społeczny.

Z ostatnim transportem stan ewidencyjny więźniów zwiększył się do nieco ponad 3 tys. Na porannym apelu stanęło około 1900 osób zdolnych do pracy. Z poprzednich transportów zostało zatem około 400 osób, czyli 27 proc. Zugangami uzupełniono przerzedzone setki i stworzono nowe komanda. Z miejsca włączono ich do intensywnej pracy. Po dwóch tygodniach nowych można było poznać jedynie po nieco czystszych pasiakach.

Z dalszych rozmów z nimi wynikało, że o wybuchu powstania w Warszawie często mówiono na ulicy. Niemcy wydali drakońskie zarządzenia, wyciągając mężczyzn z domów. Łapanki na ulicach miały wyjątkowo duże nasilenie. W sytuacji warszawskiej najlepiej zorientowany był kelner z hotelu „Bristol”¹³². Mówił, że Armia Czerwona przez radio nawoływała warszawiaków do powstania. W emigracyjnym rządzie polskim w Londynie, a także wśród jednostek polskich stacjonujących na Bliskim Wschodzie, doszło do rozłamu. Nie były to najlepsze wieści.

W kwestii warunków pracy w Stutthofie byli zorientowani słabo. Wydarzeniem dnia było tam rozstrzelanie siedmiu więźniów z pierwszego, pawiaczkiego transportu. Wśród nich znajdował się Michał Gabrych. Dowiedzieliśmy się z przecieków, że Hitler – po zamachu na jego osobę – wydał rozkaz rozstrzelania wszystkich więźniów podejrzanych o szpiegostwo, bez względu na stan dochodzeń. Gabrych wiedział o tym.

Tymczasem naprawiono uszkodzony bombami lotniczymi wodociąg. Do koryt w umywalni puszczono wodę. Myto w niej twarze, ręce i nogi, nierzadko podbrzusze i odbytnicę. Pierwsi przystępujący do mycia mieli wodę w miarę czystą, ostatni wyjątkowo brudną, po prostu gęstą ciecz. Umywalnia miała jednak pozytywną stronę – można w niej było spotkać się z kolegami. Od zewnątrz osłonięta była deskami do wysokości około dwóch metrów, chroniła więc przed świdrującymi oczami kapo, wszelkiej maści funkcyjnych i kapusiów. Tu najczęściej mówiono o powstaniu, sytuacji na frontach, polityce. Stałym tematem były spostrzeżenia dotyczące warunków pracy na zakładach i w obozie.

¹³² Hotel „Bristol” mieści się przy ul. Krakowskie Przedmieście 42/44.

Z ostatnim transportem przyjechała duża sfera kapo i hilfskapo, zwłaszcza Niemców. Administracja obozu wykorzystała ten stan i dokonała podziału funkcji kapo. Podobnie jak w obozie macierzystym, wprowadzono funkcję blokowego. Forarbijterzy zatrzymali swoją funkcję tylko do nadzoru przy robotach. Chodziło o zaostrezenie dyscypliny pracy na bloku. Blokowym czwartej setki został Czesław Kaczmarek¹³³, Polak z poznańskiego. Chwalił się, że ma zaufanie władz obozowych, na dowód czego dano mu pod nadzór jeszcze drugi blok.

Zaczął się od wydawania wieczornej zupy i śniadaniowych porcji chleba. Okazało się, że Kaczmarek ma jeszcze więcej pomocników do kotła niż Kübler. W czwartej setce podział zupy powierzył hilfskapo z setki trzeciej. Zwali go Jankiem, nosił zielony winkiel i pochodził z Białegostoku. Miał niezwykłą wprawę w okradaniu więźniów szeregowych z porcji zupy i chleba, nie obydawało się przy tym bez bicia. Chleb dzielono teraz na czternaście, a nawet szesnaście części, zresztą nierównych. Kto dostał pół litra zupy, czuł się zadowolony, gdyż inni dostawali jeszcze mniej. W naszej setce utarł się pogląd, że jeśli kiedykolwiek będzie kto wspominał złych Polaków, zawsze nasunie mu się imię Czesława Kaczmarka.

Nadużycia przy podziale porcji doszły do uszu komendanta obozu. Kazał on przeprowadzić kontrolę. Wieczorem, po powrocie z zakładów, zaskoczyła nas pewna zmiana. Zamiast, jak dotąd, pobierać zupę w baraku, kotły ustawiono na zewnątrz. Na kontrolę przyszli Szary i Kozłowski. Zjawili się akurat, gdy pobierałem swoją porcję. Kozłowski zza pleców kazał mi pokazać zawartość miski. Nie dosłyszałem. W tym momencie ciął mnie gumą przez głowę. Zrobiło mi się gorąco i zatrząsnęłam się, ale Kozłowski zawrócił mnie do kotła i kazał dolać zupy do pełnego litra. Innym nalewano już solidne porcje.

Kończył się wrzesień. Do więźniów dotarła informacja, że administracja obozu ma duże trudności z zaopatrzeniem w chleb i inne artykuły spożywcze. Z tego powodu wzywano często forarbijterów i blokowych na odprawy. Komendant obozu stwierdził, że rozluźniła się dyscyplina pracy, a na blokach więźniowie mają zbyt dużą swobodę. Przykładem tego miała być zbyt mała śmiertelność. Dla wszystkich nie starczy chleba i kartofli. W tym czasie kończyło życie około dwudziestu osób tygodniowo, tych z pierwszych transportów. Funkcyjni mieli temu zaradzić. Wzmogła się odtąd orgia bicia i zamęczania na śmierć. Każdego dnia pod batami ginęło kilka osób. Komanda wracająca z pracy niosły na plecach lub prymitywnych nosidłach zbitych z desek więźniów dających jeszcze słabe oznaki życia i tych już martwych. Wzrastała liczba chorych. Szerzyła się krwawa dyzenteria. Wygłodniali więźniowie jedli wszystko, co im wpadło w rękę, nawet glinę i miękkie drewno.

Październik zapowiadał zmiany. Uformowano jeszcze jedno komando do robót przy budowie nowego obozu w Mścięcinnie. Dla niektórych więźniów nadeszły paczki żywnościowe, między innymi z Tucholi i Płocka. Dwaj paczkarze z Tucholi usiedli pod barakiem, odkroili po pajdzie chleba z dużych bochnów. Na wprost nich zatrzymał się

¹³³ Czesław Kaczmarek – ur. 14 VII 1911 r., więzień KL Stutthof nr 14278.

zglodniały więzień. Oczy i zapadnięte policzki wskazywały, że był w stanie krańcowego wyczerpania. Zagadał do nich:

– Dajcie mi kromkę chleba, jestem bardzo głodny.

Jeden z paczkarzy spuścił oczy w dół, drugi zaczerwienił się. Spojrzeli po sobie porozumiewawczo, odkroili jeszcze po kawale chleba i schowali do brudnych portek. Resztę zawinęli w brudne szmaty i zanieśli do magazynu na przechowanie. Odchodząc zapytali:

– Wy paczek nie dostajecie?

– Nie – padła odpowiedź. – Od czasu wybuchu powstania w Warszawie nie otrzymuję nawet listu.

Odeszli. On stał w tym samym miejscu z oczami szklistymi od łez. Podeszedłem do niego i powiedziałem:

– Nie przejmuj się, po ostatniej kontroli dadzą chyba po pełnym litrze zupy. – Niestety, zupę rozlewał Kaczmarek. Znowu wydano po pół litra, reszta poszła na fuchę, jak mawiano w obozie.

Od pierwszych dni października pogoda wyraźnie popsuła się. Zaczęły się szarugi, deszcze i chłód. Noce były ciemne i zimne. Rankiem pojawiał się siwy mróz. Znaczny odsetek więźniów miał mocno zniszczone pasiaki i klumpy. Niektórzy na apel poranny stawiali się boso. W takich warunkach na blokach rozpoczęła się masowa kradzież kłopotów. Wyciągano je śpiącym nawet spod głów. Wzmogły się choroby z przeziębienia. Rewir był co wieczór gromadnie oblegany.

W tym czasie z nocnej zmiany zbiegł jeden więzień z literą „R”. Na kilka dni słuch o nim zaginął, aż tu nagle na wieczornym apelu zbieg odnalazł się. Został schwytyany i osądzony przez szczecińską Gestapo za ucieczkę z obozu, usiłowanie zamachu na niemieckiego żołnierza i kradzież żywności. Otrzymał wyrok śmierci przez powieszenie. Związane ustawiono pod zwyżką na oczach postena. Następnego dnia zapędzono kilku więźniów do zrobienia szubienicy, jednak mimo bicia nie chcieli jej wykonać. Ostatecznie szubienicę zbudowali Kozłowski i Schamp. Trzeciego dnia ze Szczecina przyjechał umundurowany gestapowiec z wyrokiem zatwierdzonym przez Berlin. Na zbiórce przed wieczornym apelem Kozłowski obiecał specjalne dodatki i papierosy ochotnikowi, który go powiesi. Ustawione szeregi więźniów nawet nie drgnęły, wieszal więc Erich Schamp. Po kilku nieudanych próbach, w końcu udało mu się wytrącić stołek spod nóg skazańca. Na piersiach powieszono go przyczepił tabliczkę z sentencją wyroku. Wisiał tak przez trzy dni dla odstraszenia innych.

W pierwszej połowie października przywieziono ze Szczecina kilkaset par klumpów, tak zwanych holenderek¹³⁴. Na tę wiadomość, po powrocie z zakładów, niemal połowa stanu więźniów ustawiła się pod magazynem. Widząc to „Kozioł” chwycił za deskę i tłukł po głowach kogo popadło. Napór na magazyn ustał. Tylko nieliczni mieli szczęście otrzymać nowe klumpy. Znaczna liczba więźniów wciąż boso, lub prawie boso, chodziła do robót.

¹³⁴ Holenderki – buty wykonane w całości z drewna.

Zimno, głód, brak wody do mycia (wodociąg ponownie został zbombardowany), brudne i niedezynfekowane szmaty noszone jako ubrania powodowały, że pojawiające się rzadko na początku wszy stały się prawdziwą plagą. Po nocach w baraku rozlegały się odgłosy bicia i krzyki. Jeśli ktoś wyszedł na stronę i nie zabrał ze sobą koca, po powrocie już go nie miał. Kogo schwytano z drugim kocem, bito bezlitośnie. Wymysły i przekleństwa w różnych językach stały się zjawiskiem codziennym.

Do wszystkiego dołączyła występująca masowo choroba oczu – zapalenie spojówek. Dotknięci nią chodzili na zabiegi do rewiru wieczorem po pracy. Pfleger¹³⁵ imieniem Krzysiek puszczał do chorych oczu po kilka kropel płynu. Mnie również dotknęła ta choroba. Pomimo wieczornego zabiegu, rano zaklejonych ropą oczu nie można było otworzyć.

Chodząc przez kilka tygodni co wieczór po krople, zetknąłem się bliżej ze „starym numerem” z literą „R”, Szaszką¹³⁶. Z tym, który przy każdej okazji kręcił się między szeregowymi więźniami, a wieczorami przygrywał na gitarze klasycznej lekarzowi Kaczyńskiemu. Gdziekolwiek się zjawił, rozmowy cichły. Wszyscy wiedzieli, że jest kapuś. Szczególnie wystrzegali się go Rusczy, których traktowano, mimo wszystko, gorzej niż inne narodowości. Niektórzy po cichu literę „R” zmieniali w „P”. Byli nawet tacy wśród „starych numerów”, którzy zielone winkły zmieniali na czerwone. Oczywiście, tego rodzaju praktyki miały być surowo karane. Ale w obozowym bałaganie niektórym uchodziło to płazem. O wszystkim wiedziała zarówno Schreibstuba, jak i Kozłowski. Ponieważ dotyczyło to hilfskapo i „starych numerów”, sensacji z tego powodu nie robiono.

Kaczyński wykorzystywał Szaszkę do posług. Praktycznie wałęsał się on całymi dniami nic nie robiąc. Zdarzyło się, że rozmawiałem z Faryńskim¹³⁷ – przyjechał on ostatnim transportem, przed wojną zatrudniony był jako księgowy w Stowarzyszeniu Chrześcijańskiej Demokracji w Warszawie przy ul. Żurawiej 2 – oraz z Józefem Poblóckim¹³⁸, ziemianinem. Szaszka kręcił się koło nas i przysłuchiwał rozmowie. Faryński przedstawiał w czarnych barwach sytuację Niemiec, Poblócki zachowywał się z rezerwą. Ostrzegałem Faryńskiego, ale ten zaperzył się i nijak nie dał się mitygować. Wszelkiej maści szpicle mieli ułatwione zadanie, gdyż więźniowie zazwyczaj trzymali się w grupach. Wystarczyło zadenuncjować jednego, by skutki dotknęły i pozostałych. Oprócz Faryńskiego i Poblóckiego do naszej grupy należeli: Brzoskowski¹³⁹, zegarmistrz z Bydgoszczy, Tadeusz Czajkowski z Saskiej Kępy oraz Jakubowski¹⁴⁰, nauczyciel z Otwocka. Mimo trudnych warunków, trzymając się w kupie, nie czuło się osamotnienia. Według relacji Poblóckiego, został on aresztowany i wysłany do Stutthofu za to, że nie chciał podpisać folkslisty. Jego majątek przejął Niemiec, a żona pracowała tam nadal, jako robotnica. Spotykali-

¹³⁵ Pfleger – (niem.) pielęgniarz, w tym przypadku również więzień-sanitariusz, pracownik obozowego szpitala.

¹³⁶ Szaszka – bliższych danych nie ustalono.

¹³⁷ Stanisław Faryński – ur. 8 V 1901 r., więzień KL Stutthof nr 78453.

¹³⁸ Józef Poblócki – ur. 1900 r. Zob. M. Owsiniński, *op. cit.*, s. 167.

¹³⁹ Stanisław Brzoskowski – ur. 15 X 1896 r., więzień KL Stutthof nr 35702.

¹⁴⁰ Stefan Jakubowski – ur. 2 IX 1901 r., więzień KL Stutthof nr 35795.

śmy się zazwyczaj wieczorem po pracy. Z Jakubowskim kontakt miałem ułatwiony, gdyż pracowaliśmy przy jednym bunkrze.

Nie wszyscy więźniowie w tym czasie otrzymywali fabryczną zupę podczas przerwy obiadowej. Niektórym wydawano tylko to, co pozostało w kotle po wydaniu porcji dla robotników cywilnych. Polier chodził z kartkami po bunkrze i dawał je tym, którzy – jego zdaniem – lepiej pracowali. Dopiero mając taką kartkę, można było dostać pół litra fabrycznej zupy. Ja taką kartkę otrzymałem. Po chwili przybiegł do mnie Jakubowski i powiedział:

– Idź do Poliera, ty umiesz po niemiecku. Powiedz mu, żeby mnie też dał taką kartkę, wczoraj mi ją obiecał.

Oczywiście poszedłem natychmiast. Polier wyjaśnił, że wydał już wszystkie kartki, ale kolega może podejść do kotła, to dostanie zupę bez kartki. Jakubowski przyszedł z miską, stanął przy kotle na końcu kolejki. Porcje wydawał Herbert „Zielonka”. Mając już nalaną zupę, zwróciłem się do Poliera wskazując na kolegę, by o nim nie zapomniał. W tym momencie pociemniało mi w oczach. Herbert kilka razy ciął mnie od tyłu gumą po głowie. Chociaż miski nie wypuściłem z rąk, część płynu wylałem. Herbert ryknął:

– Martw się o siebie, a nie o innych!

Zdenerwowany, z bólem głowy przyszedłem na bunkier. Chwilowo nie mogłem dojść do siebie. Widząc to Jakubowski powiedział łagodnie:

– Jesteś zdenerwowany, odpocznij sobie, ja tę zupę zjem – ...i zjadł. Głodny i z potłuczoną głową pracowałem do wieczora. Tak skończyła się koleżeńska przysługa.

Jakubowski, jako nauczyciel, miał głębsze spojrzenie na życie. Jednak głód miał nad nim władzę przemożną. Nie tylko nad nim. Śmiertelność gwałtownie wzrastała. O liczbie zgonów trudno było się dowiedzieć, gdyż wszędzie fałszowano raporty – w Schreibstube, na rewirze i Brotkammer¹⁴¹. Chodziło bowiem o pobieranie porcji chleba i zupy za zmarłych.

Z Brzoskowskim moje kontakty ułożyły się nieco inaczej. Do połowy września chodziliśmy razem do ciężkich robót na bunkrach, pracowaliśmy przy betonach. Ponieważ był zegarmistrzem, Kübler wybronił go od tych robót i dawał zegarki do naprawy. Miał więc pracę lekką i dodatki. Przychodził do mnie wieczorami i długo rozmawialiśmy, dzieląc się spostrzeżeniami dnia. Poblócki pracował w innym komandzie, nie zawsze mieliśmy możliwość spotkać się. Jednak od czasu do czasu i on przychodził na rozmowy. Często opowiadał o zaradności swojej żony, która pracując teraz jako robotnica, starała się utrzymać rodzinę i wygospodarować przy tym paczki żywnościowe dla męża. Trzykrotnie podzielił się ze mną chlebem. Spokojny, trzeźwo myślący, miał jasne spojrzenie na warunki życia w obozie. Twardy, nie bał się śmierci.

Równie twardo trzymał się Czajkowski. Od dwóch miesięcy nie otrzymywał z domu paczek. Żeby zaspokoić głód, chodził wieczorami myć beczki i kotły po zupie. Czasem dostał z resztek trochę zupy lub kartofli, częściej gumą po głowie. Kucharz Żurawski bił z rozmachem gumą lub kołkiem, rzadziej ręką. Czajkowski, gdy udało mu się zdobyć

¹⁴¹ Brotkammer, również brotkamera – magazyn z chlebem (niem. Brot – chleb; Kammer – komora, izba).

kilka kartofli, położył mi w nocy dwa pod podgłówek. Był koleżeński. Żonę i syna kochał bezgranicznie. Rozmawialiśmy często na tematy domowe.

Obok Żurawskiego, porządek na kuchni utrzymywał niejaki Antek¹⁴² z Białegostoku, „stary numer” z zielonym winklem. To on najczęściej znęcał się nad zgłodniałymi więźniami cisnącymi się do mycia naczyń po zupie. Żurawski, stary kryminalista, wkładał wtedy w ludzkie zbiorowisko, gdy był pewny skuteczności swoich ciosów. Antek znał możliwości i przyzwyczajenia swojego szefa, dlatego doskonale go uzupełniał. Mógł wynosić z kuchni i dawać swojemu koledze, Stanisławowi Strzałkowskiemu¹⁴³, chleb, konserwy, margarynę i zupy, ile wlezie, z kotła dla prominentów. Strzałkowski był dobrze notowany wśród kapo i hilfskapo, za to wśród więźniów miał opinię brutala i sadysty. Potrafił znakomicie „organizować”¹⁴⁴ racje żywnościowe.

Niebawem komando do robót przy budowie nowego obozu w Mścięcinnie rozrosło się do około czterystu więźniów. Okazało się, że zakres robót był znacznie większy, niż zakładano. Niemieccy pracownicy na zakładach co drugą niedzielę mieli wolną. Czas ten administracja obozu wykorzystywała w ten sposób, że w tych dniach wysyłano dodatkową liczbę więźniów do robót w Mścięcinnie.

Ostatnie dni października pełne były tragizmu. O ile dotąd zgonów było kilka czy kilkanaście dziennie, teraz pogarszająca się z dnia na dzień pogoda sprzyjała zwiększaniu się liczby ofiar. Oczy, przywykłe do patrzenia każdego dnia na beznadziejną szarość, widziały teraz coś tak tragicznego, że można to porównać do stanu przedagonalnego. Niektórym więźniom szeregowym nerwy odmawiały posłuszeństwa. Wiedziała o tym administracja obozu z codziennych raportów i z obserwacji gołym okiem.

Choć roboty przy budowie bunkrów były daleko zaawansowane, a dwa nadawały się już do użytku, siła robocza wciąż była potrzebna. Wtedy właśnie na kontrolę przyjechał ze Stutthofu SS-Hauptsturmführer Teodor Meyer¹⁴⁵. Na wieczornym apelu przyglądał się wymizerowanym więźniom. Stojąc na uboczu rozmawiał z „Igiełką”, wymachując rękami. Po tej rozmowie komendant obiecał poprawę warunków. Ledwie Meyer odjechał, a w obozie wszystko wróciło do normy. Nastąpiły jedynie przegrupowania wśród forarabajterów.

W setce czwartej miejsce Küblera zajął Czesław Kaczmarek jako forarabajter, a jego zastępcą został Władysław Kasprowicz. Kasprowicz, do czasu nominacji na hilfskapo, nosił czerwony winkiel i literę „P”. Po „awansie”, w połowie września, literę „P” wyskrobał. Tak czy owak, czuł się on bardziej Niemcem niż Polakiem. Przy robocie nie bił, ale potrafił tak sprawować nadzór i zachęcać do pilnej roboty, że dziwnie szybko malał stan liczbowy jego grupy. Nadzorował pracę Jugosłowian – wyginęli niemal wszyscy.

¹⁴² Antek – bliższych danych nie ustalono.

¹⁴³ Stanisław Strzałkowski – ur. 1 IX 1920 r., więzień KL Stutthof nr 32267.

¹⁴⁴ „Organizować” oznacza tutaj zdobywać nielegalnie, najczęściej przez kradzież.

¹⁴⁵ Teodor Meyer – ur. 6 XI 1904 r., od 30 V 1942 r. do 4 IV 1945 r. kierownik Wydziału III Sztabu Komendantury KL Stutthof, w 1947 r. skazany na śmierć przez Sąd Okręgowy w Gdańsku w II procesie załogi KL Stutthof (8–31 I), wyrok wykonano 22 X 1948 r.

Pod nadzorem obu kapo tempo robót było jeszcze bardziej mordercze. Kiedy kończył się dzień roboczy, około siedemnastej, Kaczmarek przyrzekł Polierowi, że pięć wagonów cementu jego ludzie rozładują w 15 minut, z ułożeniem pod zadaszeniem odległym od miejsca wyładunku około 150 metrów. Kaczmarek zebrał 50 więźniów i kazał biegiem rozładowywać wagony. Worki cementu, ważące po centnarze, stanowiły duży ciężar dla chorych i osłabionych. Po kilku okrążeniach mój organizm nie wytrzymał i zemdlałem. Dostałem silnej gorączki. Czajkowski, widząc mój stan, już kilka dni wcześniej wysyłał mnie do rewiru. Wiedząc jakie warunki tam panują, opóźniałem zetknięcie się z tym miejscem. Teraz jednak nie miałem wyboru. Po pewnych tarapatkach kartkę do rewiru dostałem. Ale nie od razu stanąłem przed obliczem Pflęgra. Jeszcze jeden dzień pracowałem na zakładach przy rozładowywaniu wagonów z piaskiem i żwirem. Roboty rozładunkowe nadzorował Łęgowski, „stary numer” pełniący obowiązki hilfskapo. Pozostawił mnie przy piasku, który wyrzucałem z wagonu szuflą na stertę, cement nosili inni.

Wieczorem, po apelu, gdy szedłem na rewir, drogę zastąpił mi kapo Paul¹⁴⁶, stale zatrudniony przy nadzorze na kuchni. Spasiony i silny, przywykły do bicia więźniów szeregowych. Bił dla uciechy. Najpierw oblał mnie wodą, następnie ciął gumą po głowie. Z bólu krzyknąłem:

– Was machst du den Mensch?¹⁴⁷

Spojrzał na mnie, łapa mu opadła, drogę miałem wolną. Innych idących na rewir też polewał wodą. Na rewirze Pflęger wsadził mi termometr pod pachę, a gdy go wyjął wskazywał 39,6° C. Następnego dnia, na apelu porannym, „Kozioł” chorym z kartkami kazał wystąpić z szeregu. Po uformowaniu komand i odejściu do robót, chorych ustawił pod drzwiami rewiru. Chwilę później kazał wziąć łopaty, grabie i miotły do uprzątnięcia placu apelowego i obejścia przy barakach. Musiałem wyglądać tragicznie, skoro wydzielił mnie z grupy i pozostawił pod rewirem.

Około ósmej, półtorej godziny po odejściu komand, z rewiru wyszedł młodszy Pflęger imieniem Krzysiek. Odebrał od wszystkich kartki i poprowadził do budki spełniającej rolę umywalni. W jednym rogu stał kubełek z wodą, w drugim żelaźniak. Krzysiek nalał w garnek wody i postawił na żeleźniaku. Następnie przyszedł fryzjer, kazał wszystkim rozebrać się do naga i zamoczyć owłosienie na podbrzuszu, po czym przystąpił do usuwania zarostu. Zabieg był bardzo bolesny i długotrwały. Zsiniałem z febry i zimna, szczękałem zębami nie mogąc wymówić słowa. Codzienne kłamoty kazali zostawić, wydali świeżą koszulę i koc. Owiniętych w koce poprowadzili do namiotu zajętego w poszerzonym obozie na rewir. Kiedy w namiocie stanąłem przed pisarzem, tak gwałtownie szczękałem zębami, że z trudem podałem nazwisko i numer. Po wpisaniu na listę chorych, pisarz poprowadził mnie do kojka. Pół godziny później Usarek zmierzył mi temperaturę, miałem 40,2° C.

W godzinach popołudniowych na obchód przyszedł lekarz Kaczyński. Widząc mój stan kazał przenieść mnie na oddział wewnętrznie chorych u Pflęgra Kamińskiego. Położono mnie na brudne nosze i przeniesiono na kojko w przejściówce. Dopiero następnego

¹⁴⁶ Paul – bliższych danych nie ustalono.

¹⁴⁷ (niem.) Co robisz, człowieku?

dnia opukał mnie sam Kaczyński, stwierdził zapalenie lewego płuca i kazał przenieść na oddział gruźlików. Podczas mierzenia temperatury Usarek pilnie mnie obserwował, czy czasem nie nabijam termometru. Przy tej okazji poznaliśmy się bliżej. Po jego odejściu spojrziałem na kartę – wykres wskazywał 39,2° C.

Zaraz potem zaaplikowano mi większą ilość proszków. Gorączka spadła nieznacznie. Kaczyński znów kazał mnie przenieść, tym razem na swój oddział dla ciężko chorych. Było tu cicho i ciepło, choć barak nie był ogrzewany. Miejsc nie więcej niż na dwadzieścia osób. Ulokowano mnie na górnym kojku. Pode mną leżał Rosjanin nazwiskiem Moskowka¹⁴⁸. Na rewir przyjęto nas razem. U niego wykres gorączki wskazywał nieco powyżej 37° C, mocno rzeził. Po dwóch dniach zmarł.

Ujemną stroną tego pomieszczenia było sąsiedztwo Kozłowskiego i Schampa, którzy ulokowali się za przepierzeniem z desek. Głośniejsze rozmowy z jednej i drugiej strony były łatwo słyszalne. Kozłowski był katolikiem, na piersiach nosił duży czarny krzyż z postacią Jezusa. W chwilach trwogi modlił się żarliwie. Schamp był jego przeciwieństwem.

Gorączka powoli spadała. Po kilku mierzeniach nie przekraczała 38° C. Rozejrzałem się dokładniej po pomieszczeniu. Naprzeciwko, w dolnym kojku, leżał chory nazwiskiem Dębski¹⁴⁹. Pochodził z Płocka i był z zawodu rzeźnikiem. Z wyglądu prezentował się dość czerstwo i sprawiał wrażenie wyleczonego. Mimo to, Kaczyński nie kazał go wypisywać. Wkrótce sprawa wyjaśniła się. Dębski otrzymywał z domu obfite paczki. Co lepsze składniki, takie jak kiełbasa, baleron czy boczek, szły na stół lekarza. Słoninę, chleb własnego wypieku i smalec otrzymywali Pflegrzy. Dębski zwierzył mi się, że jego żona nadal zajmuje się rzeźnictwem, dał mi do czytania listy z domu. Pisała wyraźnie: „Jeśli moje paczki mogą ci pomóc w przetrwaniu, nie oszczędzaj – dziel się z tymi, którzy mogą ci ułatwić przeżycie tych ciężkich dni”. W przypiływie szczerości Dębski dał mi kilka sucharów i kawałek słoniny. Każdego dnia, od godzin porannych, chodził podeksytowany. Bał się, żeby go przy obchodzie nie wypisano z rewiru.

30 października po południu ogłoszono alarm przeciwlotniczy. Kilkanaście minut później bomby spadły na zakłady i w pobliżu obozu. Barak był wstrząsany niedalekimi wybuchami, mieliśmy wrażenie, że podnosi się i opada. Kozłowski i Schamp znajdowali się w tym czasie w swoim pomieszczeniu za przepierzeniem. Trwoga ogarnęła obu zbrodniarzy. Schamp wybiegł z baraku, szukał schronienia wraz z esesmanami. Kozłowski pozostał na miejscu. Drżącym głosem, przejęty dogłębnie, modlił się. Bał się o swoje życie. Po odwołaniu alarmu grał na skrzypcach smętne melodie.

31 października od wczesnych godzin rannych na rewirze panował duży ruch. Kaczyński sam sprawdzał temperaturę u chorych, niektórych miał zamiar wypisać. W napięciu czekano, co będzie dalej.

Wieczorem komanda nie przyszły do obozu. Na placu apelowym panowała cisza. Bojko wyjaśnił, że wkrótce cały obóz opustoszeje. Po zakończeniu dnia pracy komanda skierowano już do nowego obozu w Mścięcinie. Za przepierzeniem ucichło. Późnym

¹⁴⁸ Sergej Moskowka – ur. 7 IX 1903 r., więzień KL Stutthof nr 50499, zm. 28 X 1944 r.

¹⁴⁹ Józef Dębski – ur. 21 III 1912 r., więzień KL Stutthof nr 63152.

wieczorem przyszedł Kaczyński i powiedział, żeby leżeć spokojnie. Przenosiny chorych będą jutro. Była to pierwsza noc całkowitej ciszy w obozie, a zarazem noc niepewności.

Rozdział III

W Mścięcinie

W środę 1 listopada 1944 r., w godzinach przedpołudniowych, usłyszano w baraku warkot silników samochodowych. Do pomieszczenia dla chorych wszedł Kaczyński w towarzystwie esesmanów i Pflegrów. Wszystkim kazał owinąć się w koce i wychodzić z baraku do samochodu. Tam lokowano najpierw lżej, potem ciężiej chorych, a na ostatku wynoszono na noszach tych, którzy nie mogli się poruszać. Wkrótce samochód ruszył. Tak rozstaliśmy się ze starym obozem pod Trzeszczynem. Pomimo użycia dwóch samochodów i szczelnego ich zapełniania chorymi, przewożenie z rewiru trwało do późnych godzin nocnych.

Na pierwszy rzut oka nowy obóz był lepiej rozwiązany funkcjonalnie niż stary. Ogrodzenie w postaci dwóch rzędów drutu kolczastego zawieszono na izolatorach przytwierdzonych do betonowych słupków. Oznaczało to, że znajduje się ono pod napięciem. Narozniki wykorzystano na zwyżki dla postenów. Przy bramie wartownia. Wewnątrz baraki z elementów betonowych prefabrykowanych. Dwa baraki drewniane typu niemieckiego. Właśnie do jednego z nich wprowadzano chorych. Wewnątrz baraku ciasnota. Kojka potrójnie spiętrowane. Zbici w gromadę chorzy czekali na przydział miejsca, większość trzęsła się z febry i zimna. Jak zwykle w takich przypadkach nie obyło się bez bicia.

Dopiero wieczorem przyniesiono kotły z zupą. Było to jedyne pożywienie tego dnia. Zupę nalewał Stanisław Ostrowski, zatrudniony na rewirze w charakterze fryzjera do wygalańcia podbrzuszy u chorych. Miał wprawę w oszukiwaniu więźniów. Pół litra zupy to najwięcej, na co można było liczyć. Pozostałą w kotle zupę rozdawał za papierosy. Na każdy gest niezadowolenia chorego reagował natychmiast – bił gumą lub ręką, względnie kopał.

W rewirze przebywał ze mną popularny warszawski śpiewak. Przed aresztowaniem zarabiał na utrzymanie wynajmując się w kawiarniach. Zaproponował, by zwrócić Ostrowskiemu uwagę, że pozostałą zupę winien rozdawać chorym. Gdy ten to usłyszał, wyrznął mnie w twarz z takim rozmachem, że przewróciłem się i potoczyłem pod kojko. Śpiewak uciekł i wmieszał się w tłum.

2 listopada chorych podzielono na dwie grupy. Z flegmonami pozostawiono na miejscu, gdzie zaimprovizowano oddział chirurgiczny pod nadzorem Plegra Bojki, pozostałych przeniesiono na oddział wewnętrzny do Tadeusza Kamińskiego, u którego atmosfera pobytu była znacznie lepsza. W nowym obozie z miejsca rozpoczęło się masowe wypisywanie na bloki. Napływ nowych chorych był bardzo wysoki. Codziennie przed

rewirem ustawiały się długie kolejki. Występowały głównie trzy grupy chorób: grypa, powiązana często z zapaleniem płuc, biegunka i flegmona. W tym czasie co najmniej połowa całego stanu więźniów leżała w rewirze, panował ścisk i przeludnienie. W tych warunkach Kaczyński otrzymał dwa kolejne baraki, które zamieniono na Schonungsblocki¹⁵⁰. Wkrótce i one zapełniły się chorymi.

Pobyty na rewirze w dużej mierze zależał od nadzorującego Pflegra. Bojko w starym obozie zachowywał się względnie spokojnie. Teraz, kiedy otrzymał funkcję starszego Pflegra, ujawnił swój prawdziwy charakter. Chorych więźniów bił gumą po głowie pod lada pozorem. Kaczyński wiedział o tym doskonale, mimo to darzył go specjalnymi względami. Drugą znaczącą osobą był Stanisław Strzałkowski. To on codziennie przynosił od Żurawskiego z kuchni bochenki chleba, puszki konserw, marmoladę i zupeę z promiennego kotła – wszystko dla Kaczyńskiego i Pflegrów.

Na oddziale chorych u Kamińskiego przeglądy przeprowadzał sam Kaczyński w towarzystwie Bojki. Kto leżał już kilka dni, był wypisywany. Gorączkę mierzono pod pachą i w odbytnicy. Sam tego doświadczyłem. Mimo że miałem temperaturę powyżej 38° C, wypisano mnie z innymi do ozdrowieńców. Przenosiny do Schonungu odbywały się w sposób stale praktykowany. Chorych owiniętych w koce wypędzano z baraku boso i trzymano na zbiorce przed barakiem nie krócej niż godzinę. Na dworze leżał śnieg, temperatura spadła kilka stopni poniżej zera. Po takich przenosinach u chorych gwałtownie podnosiła się gorączka. Sam nie mogłem rozgrzać nóg aż do kolejnego poranka. Blokowym Schonungu, do którego trafiłem, był Kitkowski¹⁵¹, ze Lwowa. Jeszcze tego samego dnia wieczorem do Kitkowskiego przyszedł Krystyniak¹⁵², Polak z Płocka, przed wojną sierżant zawodowy w wojsku. Powiedział blokowemu, by mnie potraktował lepiej. Następnego dnia dostałem parę klumpów, podczas gdy na cały blok – czyli ponad sto osób – były tylko trzy pary. Ponadto Kitkowski wymyślił dla mnie zatrudnienie – wypisywanie raportu dotyczącego chorych rano i wieczorem oraz prowadzenie ewidencji stanu i ruchu chorych, a także ich numerów.

W nowym obozie komórkę dla zmarłych wybudowano znacznie większą niż w starym. Okazało się niebawem, że i ona była za mała. Komanda powracające z robót przynosiły każdego dnia kilku lub kilkunastu ciężko chorych lub zmarłych. Niektórych, dających jeszcze jakieś oznaki życia, zaraz po apelu wrzucano do komórki. Byli wśród nich i tacy, którzy odzyskiwali tam przytomność. Nikt ich już nie ratował. Raz uznany za zmarłego, musiał umierać naprawdę.

Ponieważ liczba zmarłych gwałtownie wzrastała, uformowano nowe komando, składające się z czternastu więźniów szeregowych i jednego nadzorcy, zwane Totenkoman-

¹⁵⁰ Schonungsblock – blok dla rekonwalescentów, w skrócie nazywany często Schonungiem (zaznaczyć należy, że Schonung to również zasada ochrony chorych i rekonwalescentów od pracy, w KL Stutthof wprowadzona w maju 1942 r.).

¹⁵¹ Józef Kitkowski – ur. 24 VI 1921 r., więzień KL Stutthof nr 55748.

¹⁵² Stanisław Krystyniak – ur. 6 IV 1891 r., więzień KL Stutthof nr 77331.

do¹⁵³. Nadzorującym był Jan Pietruszka¹⁵⁴, „stary numer” na prawach hilfskapto. Ich zadaniem było usuwanie karpiny¹⁵⁵, kopanie dołów i zasypywanie ciał zmarłych, a także układanie tych ciał w dołach i przesypanie wapnem. Miejsca, gdzie pochowano zmarłych, pokrywano darniłą. Robiono to tak starannie, że po kilku dniach chodzono po grobach bez rozeznania. Totenkommando zawsze miało ręce pełne roboty.

Najwięcej zmarłych dostarczały teraz Schonungi. Stąd bowiem zabierano codziennie do różnych robót porządkowych na terenie obozu i w kuchni. Najdotkliwiej bili kapo i hilfskapto, na kuchni Paul, Żurawski i jego pomocnicy, a szczególnie „Krwiożerczy Antek”.

6 listopada w Mścięcinnie pozwolono pisać listy. Wysłany przeze mnie list, jak się później okazało, dotarł do domu. Pisałem wówczas:

„Meine liebste Frau. Ich bin gesund und freue mich, dass Du auch mit unseren liebsten Kindern gesund bist. Dein Brief vom 19 IX 1944 habe ich erhalten, dafür bin ich Dir sehr dankbar. Meine liebste, Du hast mich gefragt, ob ich die Lebensmittelpakete erhalten habe, also bis heute habe ich nur ein Paket erhalten. Von Mutti und Zocha¹⁵⁶ keine Pakete. Das Geld brauche ich nicht. Hab' nur Sorge für die Kinder.

Tausend herzlichste und innigste Küsse für Dich, Hania und die zweite Tochter. Begrüß die Familie von mir. Dein Józek. 15 XI 1944”¹⁵⁷.

Na odwrocie: „Meine genaue Anschrift: Jagodziński Józef, Schutzhäftling¹⁵⁸ Nr 35790 – Sonderlager Pölitz bei Stettin (4a)”¹⁵⁹.

Wypisując u Józefa Kitkowskiego raporty, miałem możliwość zorientować się o stanie chorych na rewirze i Schonungu oraz o liczbie zmarłych. I tak raport z 12 listopada wykazywał: chorych – 250 osób, zmarłych na oddziale wewnętrznym (u Kamińskiego) – 18 osób, na oddziale chirurgicznym (u Bojki) – 20 osób, na Schonungu – 34 osoby, razem zmarłych tego dnia – 72 osoby. Faktyczna liczba zmarłych była nieco wyższa, lecz nie ujawniona ze względu na przydziały żywnościowe pobierane przez pracowników rewiru. W tym czasie na oddziale chirurgicznym leżał Tadeusz Czajkowski, który cierpiał na flegmonę. Zwykłą piłką odrzynano mu po kawałku nogi, aż do samej pachwiny.

Kitkowski miał chody na kuchni u Żurawskiego i u większości blokowych. Z kuchni otrzymywał prowiant, które organizował mu dżokej z Wawra, a następnie pichcił na

¹⁵³ Totenkommando – grupa robocza kierowana do wywozu ciał zmarłych więźniów i ich pochówku (niem. tot – martwy).

¹⁵⁴ Jan Pietruszka – ur. 13 X 1910 r., więzień KL Stutthof nr 20629.

¹⁵⁵ Karpina – drewno z korzeni i pniaków drzew.

¹⁵⁶ Chodzi o Zofię Starengę – córkę Janiny Wiśniewskiej, najstarszej siostry Józefa Jagodzińskiego.

¹⁵⁷ (niem.) Moja najdroższa żono. Jestem zdrow i cieszę się, że i Ty wraz z naszymi ukochanymi dziećmi jesteście zdrowi. Twój list z 19 X 1944 r. otrzymałem, za co jestem Ci bardzo wdzięczny. Moja najmilsza, pytasz czy otrzymałem paczki żywnościowe. Do dzisiaj otrzymałem tylko jedną. Od Mamusi i Zochy w ogóle. Pieniądzy nie potrzebuję. Martwię się tylko o dzieci. Tysiąc najserdeczniejszych i najgorętszych pocałunków dla Ciebie, Hani i drugiej córki. Pozdrów ode mnie rodzinę. Twój Józek.

¹⁵⁸ Schutzhäftling – zob. przyp. 20.

¹⁵⁹ (niem.) Mój dokładny adres: Jagodziński Józef, więzień polityczny nr 35790 – obóz w Policach pod Szczecinem (4a).

bloku. Wieczorami zupę z kotła dla prominentów przynosił mu Janek Pawlik¹⁶⁰. Janek pracował na kuchni z tej racji, że był rzeźnikiem. Pomagał swoim znajomym, na ogół był uczynny i koleżeński. Chociaż Faryński nawiązał ze mną kontakt zaraz po przyjeździe ze Stutthofu, jednak dopiero teraz dał się poznać bliżej. Wieczorami zamęczał mnie znajomością stosunków politycznych. Mówił, że należał do podziemia politycznego i brał udział w montowaniu bloku czteropartyjnego porozumienia w kraju. Uważał się za wysokiej klasy działacza, chociaż wiadomościami nie wybiegał poza biuletyn informacyjny wydawany przez Biuro Informacji Prasowej Pełnomocnika Rządu na Kraj¹⁶¹.

13 listopada wieczorem Żurawski przyprowadził do Kitkowskiego pobitego, mocno zabłoconego i brudnego więźnia z literą „R”. Z Schonungu zabierano go codziennie do robót porządkowych i obierania kartofli na kuchni, do kotła dla prominentów. Podobno ukradł kilka kartofli i parę kamaszy Żurawskiego. Kradzież zauważono. Przy wyjściu z kuchni dostał już mocne bicie od okradzionego, przy Schonungu był już półprzytomny. Kitkowski prowadził dochodzenie. Postawił go na ławce pod stropową belką i związał mu ręce z tyłu. Do kradzieży butów nie przyznał się, do kartofli owszem. Między pytaniami Kitkowski bił go gumą po głowie i po twarzy. Krew spływała mu z policzków i potłuczonej głowy. Teraz Kitkowski przerzucił mu linkę przez głowę, jej koniec umocował do związanych z tyłu rąk, a drugi koniec przerzucił nad belkę pod stropem zadania i wytrącił ławkę spod nóg. Delikwent zawisł na rękach splecionych z tyłu tułowia. Linka pod ciężarem ciała naprężyła się, wykręcone ręce trzeszczały w stawach. Wygięty w pałąk zwiślał głową i nogami do ziemi. Widząc to Żurawski odszedł. W drzwiach ukazał się Kozłowski. Z miejsca pochwalił Kitkowskiego, że umie prowadzić dochodzenie. Odchodząc podpowiedział: „taboret w łeb”. Po odejściu Kozłowskiego, delikwenta rozwiązano i rzucono na wolne kojko. Zmęczony Kitkowski usprawiedliwiał się, że dla Ukraińców nie ma litości – w 1939 r. wymordowali mu całą rodzinę. W jego relacji nie oszczędzali nawet małych dzieci, wyrwali je z rąk matek i przybijali gwoździami za rączki i nóżki do drzwi i ścian budynków.

– Kozłowski kazał mi go zabić – powiedział. – Nie miałem sumienia tego uczynić. On by go powiesił.

18 listopada zostałem wyrzucony z Schonungu do robót przy naprawie torów. Dokonał tego pisarz Schneider na podstawie donosu gońca ze Schreibstuby Jurka (miał on wtedy około 18 lat). A było to tak: wieczorem 17 listopada na zbiórce trzymano komanda około dwóch godzin. Większość stojących ślaniała się na nogach. Ciągłe kogoś szukano. Tenże Jurek był chyba trzy razy na Schonungu i zaglądał pod kojka. Zniecierpliwiony tym ciągłym szukaniem powiedziałem, że w Schreibstubie mają bałagan i nie potrafią liczyć. Jurek powtórzył to Schneiderowi. Pół godziny później ten zjawił się na Schonungu, aby mi się przyjrzeć. Następnego dnia dopadł mnie na rewirze, wyrzwał w twarz i wypędził boso do roboty. Kilku wypędzonych tak jak ja, stało już na zbiórce.

¹⁶⁰ Jan Pawlik – bliższych danych nie ustalono.

¹⁶¹ Chodzi o Departament Prasy i Informacji Delegatury Rządu na Kraj – utworzonego w 1940 r. tajnego naczelnego organu władzy administracyjnej. Zadaniem Delegatury było m.in. utrzymanie ciągłości instytucji państwowych i przygotowanie do przejęcia władzy w kraju po zakończeniu wojny.

W odrębnej grupie stali chorzy z kartkami do rewiru. Kozłowski, widząc mnie boso, zdarł z nóg Ruskowi stojącemu z kartką podniszczone klumpy i oddał mnie. Były za małe, ale nie było wyboru, musiałem tak chodzić do robót w porcie.

W czasie mojego kilkunastodniowego pobytu na rewirze uchodziły mojej uwadze zmiany w obozie, a przecież każdy dzień przynosił coś nowego. O zmianach dowiadywałem się pośrednio. W tym czasie przyszedł nowy transport więźniów ze Stutthofu. Za każdym razem podawano mi inną liczbę i skład narodowościowy transportu. Raz mówiono, że było ich 500, innym razem, że 600. W każdym razie liczba przybyłych zamykała się w tych granicach. Przybyli Polacy, Ruski, Litwini i inne narodowości, przy czym Ruski i Litwini to przeważnie „stare numery”.

W tym czasie przydzielono na rewir jeszcze jednego lekarza – nazywał się Jonas Lipcius¹⁶², był Litwinem. Z miejsca Kaczyński potraktował go jak starszego Pflegra. Zetknąłem się z Lipciusem leżąc jeszcze na oddziale u Kamińskiego. W ogólnej ocenie Litwin zjednał on sobie uznanie chorych. Zachowywał się rozważnie, był nader delikatny i uczynny. Mimo że Kaczyński ograniczał mu pole działania, zajmował się chorymi jak umiał najlepiej. Ograniczany między innymi w podawaniu leków, zdobywał je w „cudowny sposób” i z kieszonki po cichu przekazywał chorym. W sposób szczególny opiekował się chorymi rodakami.

Po przybyciu ostatniego transportu, stan ewidencyjny więźniów od początku uruchomienia obozu zamykała się liczbą około 3600 więźniów. Liczba więźniów chodzących na roboty oraz leżących na rewirze i Schonungach nie przekraczała 1900 osób. Z każdym transportem wzrastała liczba kapo i hilfskapo, dla których brakowało stałych funkcji. Ci nie umierali. Mówiono, że sprzyja im polickie powietrze i administracja obozu.

W drugiej połowie listopada zbiegł z robót w porcie więzień z literą „R”. Wyglądał młodo i był zaufanym Schreibstuby. Po kilku godzinach został schwyty i doprowadzony do obozu. Zamknięto go w bunkrze, wkrótce wszelki ślad po nim zaginął. Podobno miał powiązania z innym Ruskim, którego „Kozioł” powiesił jeszcze w starym obozie. Tamten padł ofiarą donosicielstwa. Pracując przy bunkrach powiedział głośno, że od wschodu zbliża się front. Jak przyjdą Rosjanie, to my im (Niemcom) za wszystko zapłacimy. Na zwróconą uwagę odpowiedział: „będziemy was wszystkich rezać”. Kozłowski, wieszając go, kazał to zdanie odkrzyknąć. Nie zrobił tego. Gdy zakładano mu pętlę na szyję, zdołał jeszcze wypowiedzieć jedno słowo: „rezać”.

Każdego dnia na porannym apelu komanda robocze formowano doraźnie. Duży odsetek więźniów wykruszała się, coraz więcej trafiało do budki dla zmarłych. Przez kilka ostatnich dni pracowałem w różnych komandach. Gorączka wróciła. Byłem opuchnięty, na noc nie mogłem położyć się do kojka, rano jeszcze trudniej było mi się ubrać. Idąc na zbiórkę uważałem tylko, żeby wilczur Nero nie rzucił się na mnie. Był on w tym kierunku ćwiczony. Widząc więźniów ślaniających się na nogach rzucał się na nich, skakał do gardeł i przegryzał je. Im bardziej człowiek krwawił, tym bardziej go rozszarpywał.

¹⁶² Jonas Lipcius – ur. 7 III 1902 r., więzień KL Stutthof nr 45060.

Chodząc w takim stanie do robót, trafiłem do komanda pracującego przy układaniu kabli na zakładach. Było to w godzinach przedpołudniowych. Wyszedłem z wykopu, żeby rozprostować sobie plecy. Nie zauważyłem, jak z tyłu zaszedł mnie Schamp i ciął mocno gumą po głowie. Ciosy były bardzo bolesne, zupełnie wytrąciły mnie z sił. Nadzorujący nas kapo, widząc mój stan, kazał mi odejść na bok i odpocząć w ruinach, byle się nie pokazywać.

Wieczorem ledwo dowlokłem się do obozu. Po apelu zgłosiłem się do Krystyniaka, ten doprowadził mnie do Lipciusa. Powiedział, że mam zapalenie lewego płuca i w takim stanie Schneider wypędził mnie z Schonungu do robót. To spowodowało dalszą gorączkę i powikłania. Lipcius polecił mi zgłosić się następnego dnia rano.

28 listopada, po porannym apelu, zgłosiłem się na rewir. Przyjmował lekarz Kaczyński. Po wyjęciu termometru spod pachy pokiwał głową i kazał położyć się do kojka. Nachylając się do Lipciusa powiedział półgłosem:

– Taka wysoka gorączka po zapaleniu płuc, to koniec.

Istotnie, przez trzy dni miałem wysoką gorączkę. Byłem nieprzytomny. Czwartego dnia gorączka spadła do 37,5° C. Poczułem głód, tylko nie było co jeść. Tym razem Kaczyński zwracał na mnie większą uwagę. Mówiono, że liczył się z opinią ludzi, których uważał, że coś znaczą. W opinii starych więźniów zmienił się – podobno na lepsze.

Kaczyński mógł rzeczywiście pomóc wielu ludziom, ale na to trzeba było mieć morale lekarza hipokratesowego¹⁶³, a tego mu brakowało. Nierzadko zdarzało się, że Kaczyński bił po twarzy i wypędzał do roboty chorego w stanie podgorączkowym. Śladem swojego szefa poszedł Bojko, który ociągających się przy wypisywaniu na bloki bił i kopał, zwłaszcza tych z Schonungu.

Kiedy oprzytomniałem, rozejrzałem się po pomieszczeniu. Leżałem na górnym kojku przy drzwiach, miałem przed oczami całe pomieszczenie chorych. Najwięcej na rewirze przebywało chorych na biegunkę. Na ciężkie przypadki wydzielono część pomieszczenia – pod ścianą naprzeciwko drzwi wejściowych. W warunkach obozowych biegunka była chorobą straszną. Chorzy dostawali raz dziennie trochę kleiku, a otrzymany chleb kroili na kawałki i opiekali na fajerce do koloru węgla – to było ich całodzienne wyżywienie. Śmiertelność była bardzo wysoka. Umierali w wielkich bólach. Znajdujących się w nieraz długotrwałej agonii przywiązywano za ręce i nogi do czterech rogów kojka twarzą do podgłówek. W silnych bólach wznosili wygięte w pałąk plecy w górę i wydzielali z siebie resztki brudnej cieczy zmieszanej z krwią, która ociekała po genitaliach i nogach. Tak kończyli życie. Patrząc na mękę tych ludzi, upodlonych w godzinę śmierci, wzrastał gniew na obozowych zwyrodnialców.

Leżąc teraz na oddziale wewnętrznym u Kamińskiego, odwiedzał mnie często Jonas Lipcius. Choć był Litwinem, biegle mówił po polsku. Zdarzyło się czasem, że mi podłożył pod podgłówek kartofla w obierce. Widać było po nim, że cieszył się, gdy tylko mógł choremu w czymś pomóc. Sam robił zastrzyki, przynosił w kieszeni pigułki. Często zatrzymywał się przy moim kojku. Rozmawialiśmy na tematy polityczne, o roli

¹⁶³ Lekarz hipokratesowy – lekarz kierujący się tzw. Przysięgą Hipokratesa, która dla profesji lekarskiej poszukuje nie tyle zasad prawnych, co zasad etycznych.

administracji w systemie totalitarnym u Niemców i Ruskich. Opowiadał także o swoich stosunkach rodzinnych i kłopotach, chociaż sam był starym kawalerem.

Kaczyński widząc zacieśniające się coraz bardziej kontakty Lipciusa z chorymi, ograniczał jego odwiedziny. Wolno mu było dawać leki, ale tylko za wiedzą głównego lekarza. Tak mijały pierwsze dni grudnia. Gorączka mnie już opuściła, jednak – o dziwo – Kaczyński wciąż mnie nie wypisywał. Na zewnątrz temperatura spadała, było kilka stopni poniżej zera. Trzeci nawrót gorączki mógł być śmiertelny. Ale nie to było najważniejsze. Sprawa wkrótce wyjaśniła się. Każdego wieczora u Kaczyńskiego zbierała się grupa zainteresowanych zorganizowaniem szopki na Boże Narodzenie. Przychodził najczęściej Żurawski i kilku pomniejszych funkcyjnych z kuchni. Poza tym Faryński, Soroka¹⁶⁴, nauczyciel z Grodna i inni. Planowano śpiewanie kolęd, deklamacje oraz pokazy satyry cyrkowej. Zachęcano mnie, żebym dołączył do tej grupy i napisał wiersz pochwalny na cześć lekarza Kaczyńskiego. Odmówiłem. Inspiratorem włączenia mnie był Soroka, który znał moje możliwości twórcze. Odpowiedziałem mu krótko:

– Sumienie mi nie pozwala. W kontaktach z Kaczyńskim mam jakąś obsesję.

Soroka nalegał i zachęcał.

– Żurawski obiecał dodatkową zupę i chleb – mówił.

– Nie skorzystam – odpowiedziałem. Przychodził jeszcze Bojko w tej sprawie, ale nie dałem się wciągnąć. Wprawdzie im większy zbrodniarz, to mu więcej kadzą – mnie nie było stać nawet na skromne kadzidło.

Pierwsi rozpoczęli ćwiczenia Soroka, Faryński, Łońka oraz Usarek. Ćwiczone kolędy z grupą Jugosłowian przebywających na Schonungu. W atmosferze obozowej nie bardzo im się to kleiło. Ćwiczone także króla Heroda, organizowano orkiestrę, dokonywano prób z deklamacją wierszy.

Grudzień przyniósł wiele wydarzeń przykrych i takich, które sprawiły pewną ulgę. Jeszcze komanda nie powróciły z robót, a na rewirze zauważono bieżącą i niezwykle ruch. Wnet okazało się, że na zakładach znaleziono cysternę ze spirytusem metylowym. Więźniów szeregowych odpędzono, natomiast z zawartości skorzystali kapo – Niemcy i częściowo Polacy. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Pięciu Niemców odwieziono do Szczecina z objawami zatrucia, byli to: Gustaw Lüge¹⁶⁵, Richard Friedrich¹⁶⁶, Alfred Höltzel¹⁶⁷, Bruno Neumann¹⁶⁸ i Erich Schamp. Zatrutych Polaków umieszczono na rewirze. Spośród wywiezionych do Szczecina, trzech zmarło. Byli to pospolici mordercy. W listopadzie jeden z nich pobił mnie, gdy wieczorem zmierzałem do rewiru.

Do wydarzeń przykrych można zaliczyć pogarszającą się pogodę, ciężką pracę, podarte kłamoty, głód oraz nieustanne poniewieranie i bicie wyczerpanych więźniów. W tych warunkach zdatnych do pracy ubywało z dnia na dzień. Do rewiru przynoszono chorych

¹⁶⁴ Antoni Soroka – ur. 24 V 1916 r., więzień KL Stutthof nr 34534.

¹⁶⁵ Gustaw Lüge – bliższych danych nie ustalono.

¹⁶⁶ Richard Friedrich – ur. I II 1901 r., więzień KL Stutthof nr 16120, zm. 18 XII 1944 r.

¹⁶⁷ Alfred Höltzel – bliższych danych nie ustalono.

¹⁶⁸ Bruno Neumann – bliższych danych nie ustalono.

dających słabe oznaki życia. Niektórzy umierali nie odzyskawszy przytomności. Silniejsi żyli jeszcze kilka godzin.

Zanim zmarłych wykreślono na rewirze, przez kilka dni pobierano za nich chleb, margarynę, kawałki kiełbasy i zupę. Prowiant Pflegrzy i posługacze zamieniali na złoto. Tak, na złoto. Niektórzy więźniowie z ostatniego transportu za bochenek chleba oddawali pięć rubli w złocie. Gorączka handlu ogarnęła różnej maści kapo i funkcyjnych kombinatorów. Duży udział w nim mieli kapo niemieccy. Wiele z nabytych w ten sposób wartościowych rzeczy znanymi im kanałami wysyłali poza obóz. Bardzo obrotny okazał się Kitkowski. Mówiono, że stał się potentatem, podobno wysyłał żonie złoto i dolary. Również Faryński kupował żywność na czarnym rynku, płacąc za chleb i zupę złotem.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Z pierwszego transportu pozostało niewiele więźniów. W wigilię chorzy Polacy dzielili się chlebem miast opłatka. Rzeczywistość nasuwała tylko jedno życzenie: przetrwać. Przyszedł do mnie Brzoskowski, przełamaliśmy się chlebem, miał łzy w oczach. Obaj byliśmy głęboko wzruszeni. Nie wiedzieliśmy, co się stało ze Stefanem Jakubowskim z Otwocka. Prawdopodobnie już nie żył. Nie wiadomo także, co z Pobłockim. Inni, bardziej życzliwi z naszą grupą, już się wykruszyli. W drugi dzień świąt Brzoskowski życie zakończył, choć dwa dni wcześniej miał jak najlepsze nadzieje na przetrwanie. Zmógł go tyfus.

Na urządzenie szopki w dzień Bożego Narodzenia komendantura obozu nie zezwoliła. Odłożono więc całe widowisko na Nowy Rok. W niewykończonym baraku, naprzeciwko rewiru, zbudowano scenę z kotarą. Na ścianach pomieszczenia porozwieszano papierowe dekoracje. Nad sceną dużymi literami napisano „Neujahr 1945”¹⁶⁹. tego dnia pracowano w obozie i poza nim tylko do południa. Po powrocie z robót komanda na apelu trzymano tym razem krótko. Po obiedzie wolne.

O zmierzchu barak, w którym miał odbyć się wieczór artystyczny, wypełnili przede wszystkim esesmani Blockführerzy¹⁷⁰, Rapportführer Andrasik, SS-Unterscharführer Szary, Lagerschreiber¹⁷¹ Schneider, Lagerältester Kozłowski i chyba wszyscy kapo. Esesmani rozsiedli się w pierwszych rzędach na krzesłach, w płaszczach i nowych czapkach z czarnymi otokami i trupimi główkami. Więźniowie szeregowi byli nieliczni, stali zbici w gromadkę pod ścianami. Dla nich krzesel nie starczyło.

Na początek przy wejściu Kozłowski kogoś poturbował za to, że ośmielił się przejść przed siedzącymi esesmanami. Kiedy krzyki ustały, Kozłowski siadł na swoim miejscu, a orkiestra (skrzypek, harmonista i trębacz) odegrała marsz. Orkiestranci siedzieli za kotarą, grali teraz lekkie kawałki nadając tło muzyczne występom.

Jako pierwszy przed kotarą wystąpił Soroka, przedstawiając „chińskie cienie”, po nim Łońka, prezentując zgarbienia i wciąganie brzucha. Faryński zagrał warszawskiego dorożkarza, wygłaszając monolog tamtejszą gwara. Między esesmanami powstał szmer, gdyż żaden z nich gwary nie rozumiał.

¹⁶⁹ (niem.) Nowy Rok 1945.

¹⁷⁰ Blockführer – esesman nadzorujący więźniów danego bloku.

¹⁷¹ Zob. przyp. 51.

Po Nowym Roku Kaczyński zrobił mi ostrą wymówkę, że unikam prac społecznych. Zapytałem nieśmiało, kogo uważa w obozie za społeczeństwo. Nie odpowiedział, odszedł. Zupełnie inaczej zapatrywał się na tę imprezę lekarz Lipcius, który tej nocy długo siedział koło mojego kojka. Rozmawiając półgłosem mogliśmy powiedzieć sobie wiele. Konszachty rodaków z Niemcami uważał za zgubne dla Litwy. Jego zdaniem polityka litewska winna być ukierunkowana na powiązanie z Polską, mogłaby to być federacja. Rozmowa z Lipciusem odwracała uwagę od przykrej rzeczywistości, ale nie uszła uwadze kapusiów. Kaczyński, poinformowany o naszych rozmowach, znowu przyszedł z wymówkami. Zarzucał mi, że przepracowanemu lekarzowi zabieram czas przeznaczony na odpoczynek.

Przy przyjmowaniu chorych na rewir przestrzegano twardo przepisów o wygłanianiu owłosienia na podbrzuszu. W tym czasie czynności te wykonywał Franek z Białegostoku. Golił tępą brzytwą, chorzy po zabiegu zazwyczaj ociekali krwią. Jednemu więźniowi tak pozrzywał skórę, że powstały się u niego rany. Chory poskarżył się Kaczyńskiemu, za co ten kazał dać mu wieczorem pięć batów. Następnego dnia Franek golił dalej, w sposób dotychczas wypraktykowany.

Po okresie względnej ciszy w grudniu, na przełomie roku alarmy lotnicze stawały się coraz częstsze. Kaczyński i prominenci z rewiru podczas alarmów dołączali do esesmanów i chowali się w bunkrze tuż za drutami obozu. Bunkier wykopany był w ziemi, wyłożony okrągłakami, z wierzchu przykryty ziemią i darniną. Chorzy pozostawali w swoich kojkach. Podczas nalotów i bombardowań baraki trzęsły się w posadach. Trzeba było mocno trzymać się, żeby nie wylecieć z kojka. Za każdym razem ogień na żelazniaku wygaszano. Im więcej spadło bomb na zakłady lub Szczecin, tym większa otucha wstępowała w serca chorych. Widać to było na wymizerowanych, lekko uśmiechniętych twarzach. Surowy rygor w obozie jakby osłabł. Od czasu do czasu przynoszono mi „Pommersche Zeitung” i nikogo to nie raziło. Komunikaty Oberkommando der Wehrmacht¹⁷² tłumaczyłem z domieszką lekkiego optymizmu. Między wierszami zawsze można było wyczytać coś pożytecznego.

W tygodniu poprzedzającym święto Trzech Króli, Usarek intensywnie ćwiczył kolędy z Jugosłowianami wybranymi z Schonungu. Równocześnie ćwiczył hymn pochwalny na cześć lekarza Kaczyńskiego z inną grupą ochotników. Ćwiczenia te odbywały się w smrodliwym baraku chorych na biegunkę i katar kiszki. Z utworzenia zespołu śpiewaków hymnu Kaczyński był wyraźnie dumny.

6 stycznia, podobnie jak w Nowy Rok, na zapowiedziane występy przyszli Blockführerzy i większość kapo. Tym razem do baraku wpuszczono więcej więźniów szeregowych. Po marszu powitalnym odśpiewano kolędy polskie i jugosłowiańskie zespołowo oraz ukraińskie solowo. Słuchając tych pisków dobywających się z ludzkich szkieletów, odnosiło się wrażenie, że to głosy z zaświatów. Szczególnie katastrofalnie wyglądali Jugosłowianie – to nawet nie szkielety, a zjawy ludzkie i straszydła. Dobywali z siebie cieni, piskliwy, niezrozumiały śpiew, który budził litość i głębokie wzruszenie. Po usłyszeniu

¹⁷² Oberkommando der Wehrmacht – Dowództwo Sił Zbrojnych.

tych pisków prominenci wynieśli się. W baraku zrobiło się luźniej, teraz miejsc siedzących starczyło dla wszystkich obecnych. Podobnie piskliwie odśpiewano hymn na cześć Kaczyńskiego, w jednym miejscu pomyłono nawet tekst. Powtórzono także „chińskie cienie”, wciąganie brzucha i „dorożkarza”, ale wszystko odbyło się bez większego echa.

Podświadomie wyczuwano, że zbliżają się zmiany o nieprzewidywanych skutkach. „Pommersche Zeitung” donosiła, że front wschodni na Wiśle zamarł, na froncie zachodnim: „Aufopfernden Widerstand leistend hat sie in den schweren Kämpfen der letzten Wochen über 50 feindliche Panzer in Nahkampf vernichtet”¹⁷³. Nic to nie wyjaśniało, w dodatku do ciężkich strat aliantów można było się przyzwyczaić.

U Kamińskiego na oddziale wewnętrznym leżało sporo ludzi inteligentnych. W beznadziejnej, wydawałoby się, sytuacji żywo politykowali i jak zwykle powstały obozy o różnych orientacjach. Jeden obóz krakał – nie wytrzymamy. Drugi – w którym pierwsze skrzypce trzymał naczelny księgowy z Banku Ziemiańskiego w Warszawie – twierdził uparcie, że dni III Rzeszy są już policzone. Byli i tacy, którzy na podstawie przekazów historycznych twierdzili, że wojna może się skończyć dopiero na jesieni. Komunikaty o zamarłym froncie na Wiśle doprowadzały wszystkich do rozpacz.

Mróz, ciężka praca pod batami kapo, głód i prymitywne warunki, kosiły nawet najbardziej odpornych i wytrwałych. Napór chorych na rewir wzrastał. Kilka dni po święcie Trzech Króli wszyscy Jugosłowianie, którzy śpiewali kolędy, zmarli. Każdego dnia po pracy przynoszono na rewir zziębnięte szkielety ludzkie.

W tym czasie wpadał do mnie na kilka słów młody chłopak, Tadeusz Hofmann¹⁷⁴. Na Pawiaku siedział ze mną w celi nr 182, pochodził z Łowicza. Jego ojciec miał pracownię protetyczną, Tadeusz przy ojcu nauczył się robić szczęki i kleić zęby. W listopadzie Kaczyński zatrudnił go na rewirze jako dentystę. Jego zabiegi polegały na rwaniu bolących zębów – o jakimkolwiek leczeniu w obozie nie było mowy. Więźniowie nazywali go „Zębotłukiem”. Aby rozwiać narastające uprzedzenia, napisałem taką oto etykietkę: „Rwie nam zęby z wielkim hukiem, zwą go wszyscy »Zębotłukiem«. Jest porządnym, a nie chamem, i nazywa się Hofmannem”. Chłopak rozkłiwiał się, bo rwać zęby w warunkach obozowych i nie być chamem, to bardzo wiele. Za to Kaczyński znów patrzył na mnie z ukosa. W okresie choroby Tadeusza Czajkowskiego, który leżał na oddziale u Bojki, Hofmann występował często jako łącznik między nami. Krótco przed świętami owinięty w koc odwiedziłem Czajkowskiego. Już wtedy silnie gorączkował, robił pod siebie. Ostatnio przyniósł mi wiadomość, że Tadzio nie żyje. Na początku wydawało mi się, że jest silny i obóz przetrzyma. Zmogła go flegmona. Pamięć o nim pozostanie w sercach tych, z którymi dzielił te ciężkie dni pobytu w obozie polickim, i w sercach najbliższej rodziny.

12 stycznia Kaczyński uznał, że jestem dostatecznie wyleczony i kazał wypisać mnie z rewiru. Ponieważ odmówiłem przejścia na Schonung, Leo Ślapak, zastępujący obecnie pisarza obozowego Schneidera, skierował mnie na blok piąty do Roberta zwanego

¹⁷³ (niem.) Z poświęceniem stawiając opór, w ostatnich tygodniach [armia niemiecka] zniszczyła w ciężkich bezpośrednich starciach ponad 50 wrogich czołgów.

¹⁷⁴ Tadeusz Hofmann – ur. 22 VII 1923 r., więzień KL Stutthof nr 35781.

„Cyganem”. Było tam zimno i brudno. Część okien nie miała szyb, puste otwory zabito deskami lub zatkano tekturą. Część kojek nie miała koców, te zachowane znajdowały się w nienajlepszym stanie. W baraku zastałem grzejącego się przy żelźniaku Küblera. Obok niego jakiś hilfskapo dokładał do ognia wilgotne drewno. Wieczorem dowiedziałem się, że obaj podpadli u komendanta obozu „Igiełki” i czekają na wyrok.

O szarówce zaczęły przychodzić komanda z robót. Zziębnięci więźniowie pragnęli ogrzać się przy żelźniaku, „Cygan” z miejsca przegnał ich do kojek. Zadzwoniono na apel. Zbiórka trwała trzy kwadransy. Stojąc w szeregu przemarłem do szpiku kości. Dało to przykre następstwa.

Na bloku piątym spotkałem forarabajtera Franciszka Wójcika¹⁷⁵. To on, ciekawy świeżych komunikatów, przynosił mi na rewir „Pommersche Zeitung”. Ode mnie dowiadywał się, co podawało Oberkommando der Wehrmacht. Następnego dnia, po apelu porannym, przydzielono mnie do komanda pracującego na zakładach przy układaniu kabli. Wójcik ze swoją grupą został skierowany do Polic, gdzie uprzątało gruzy po bombardowaniach.

Mróż, przemarsz około czterech kilometrów piechotą do miejsca pracy oraz wysokie tempo pracy spowodowały, że po skończonym apelu wieczornym ledwo mogłem dowieść się do kojka. „Cygan” przydzielił mi kojko górne, stanąłem bezradny, nie mogłem się na nie wgramolić. Opanowała mnie jakaś drętwica, zeszywniały mi nogi. Kojko dostałem bez koca. Pod cienkim pasiastym płaszczem dostałem gwałtownej febry. Tak przemęczyłem się do rana. Na następną noc zamieniłem kojko na dolne. Na niewiele to się zdało, i tu ledwo wczołgałem się na brzuchu. Febra i nieustające krzyki na bloku nie pozwalały mi zasnąć. Zazwyczaj ktoś komuś coś kradł. „Cygan” z miejsca robił dochodzenie z przekleństwami i biciem. Wszystko trwało kilka godzin. Klątwa panowała powszechnie. Rano przy pobieraniu kawy i chleba, na porannym apelu, po drodze do robót, przy robotach, po robotach, na wieczornym apelu, przy pobieraniu obozowej zupy, przed snem, podczas snu. Kto nie umiał kląć, tego traktowano gorzej.

W niewielkim stopniu odczułem ulgę śpiąc na dolnym kojku. Tej nocy zastanawiałem się, co będzie jutro, czy wytrzymam. Śpiący koło mnie nie powrócił z robót, miałem więc koc i mogłem okryć się ciepłej. Nie minęła jeszcze północ, a syreny fabryczne wyły na alarm. Kilka minut później artyleria przeciwlotnicza otworzyła gwałtowny ogień. Barak bloku piątego trząsł się bardziej niż rewir. Błyski od wystrzałów armatnich rozdzierały ciemności, wkrótce na zewnątrz zrobiło się widno. Z samolotów zrzucano „choinki”, świece na spadochronach. Za chwilę posypały się bomby. Gwizdy i trzaski spadających ładunków wytwarzały atmosferę napięcia. Wydawało się, że spadają tuż, tuż. Od podmuchów ramy okienne otwierały i zamykały się same, resztki szyb wyleciały z trzaskiem. W pewnym momencie barak zakołysał się gwałtownie. Cienkie ściany z prefabrykatów trzeszczały. Luźno stojące przedmioty koziołkowały. Nagle huk, zawałił się stropodach. Kiedy bombardowanie ucichło, gęste dymy snuły się nad ziemią i przenikały przez rozwalone okna do środka baraku wraz z nową falą mroźnego powietrza.

¹⁷⁵ Franciszek Wójcik – bliższych danych nie ustalono.

Świtało... Nagle silna eksplozja wstrząsnęła okolicą, po niej druga, trzecia. Okazało się, że były to bomby zegarowe z opóźnionym zapłonem.

Przy świetle latarki w baraku można było zobaczyć uszkodzenia. Ściana szczytowa pękła od góry do dołu. Ze ścianki działowej, oddzielającej pomieszczenie kapo od reszty, wyleciało wiele cegieł. Stropodach pękł i zwisał na stalowych prętach. Duże spustoszenia powstały także w innych barakach. Na Schonungu zawalił się stropodach i zranił kilku ozdrowieńców. Straty powstały też na kuchni.

W niedzielę 14 stycznia, po porannym apelu, który trwał bardzo długo, do robót na zewnątrz wybrano tylko dwa niewielkie komanda, które przeznaczono do usuwania niewypałów. Do każdego z nich przydzielono po jednym hilfskapo i skierowano do jednostki saperskiej, która rozbierała niewypały. Więźniowie skierowani do tej roboty otrzymali papierosy i suchy prowiant, niezależnie od przydziałów saperskich. Chętnych do pracy w tych komandach było wielu, ale wybrano tylko najsilniejszych. Pozostałym kazano się rozejść.

Do obozu dotarła wiadomość, że kilka bomb spadło w pobliżu obozu, dwie tuż za drutami. Nie eksplodowały. Wolna niedziela podziała lepiej na samopoczucie. Przy moim stanie zdrowia kilkugodzinny odpoczynek był po prostu zbawienny.

W poniedziałek do robót komanda poprowadzono dalszą drogą przez miasto, a nie przez osiedle. Im bliżej Polic, tym większe spustoszenia. Z okien wyleciały szyby, miejscami powyrywane okna z ramami, postrącane dachówki, część domów rozbitych. Mocno od nalotów ucierpiało osiedle urzędnicze pod miastem. W Policach budynek ratusza zniszczony – bomba rozwalila go w środku, trzymały się jeszcze dwie ściany zewnętrzne. Znacznie uszkodzony budynek dworcowy, część torów zerwana, szyny powyginane, niektóre sterczały odrzucone na bok.

Na zakładach pracowałem u forarbijtera Herberta „Zielonki”. Tym razem jakoś mnie się nie czepiał. Praca szła mi jednak z trudem, miałem gorączkę.

16 stycznia, podczas pracy na zakładach, dotarła do nas wiadomość, że front nad Wisłą ruszył. Walki toczyły się w okolicy Warki i Modlina. Była to wiadomość krzepiąca, chociaż odległość tych miast od Polic była bardzo duża. Tymczasem mój stan zdrowia pogarszał się z dnia na dzień. Ciężko mi było o własnych siłach wrócić do obozu. Na apelu wieczornym stawałem w tylnych szeregach, żeby ustrzec się od Nero, który czatował na kripli.

18 stycznia, po apelu wieczornym, spotkałem Janka Pietruszkę. Wycofali go z Totenkommando. Dostał w nadzór pralnię i prysznic. Długo rozmawialiśmy. Obiecał przy okazji dać mi całą koszulę i kalesony, co było nie lada wyczynem, gdyż znalezienie całej koszuli w stercie porwanych szmat było bardzo trudne. Radził mi zgłosić się na rewir. Chodzenie z temperaturą uważał za samobójstwo. Wyjaśniłem mu, że przebywanie na rewirze mi zbrzydło. Janek Pietruszka w swym prostym rozumowaniu i głębokim spojrzeniu na sytuację w obozie zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie.

Tego wieczoru znów ciężko mi było położyć się do kojka. Za przygotowanie miejsca do snu oddałem pół kolacji. Jakiś ciężar zważył mi się na piersi, nie mogłem oddychać. Do rana dotrwałem, ale co będzie dalej? Dużym wysiłkiem woli dowlokłem się

na poranny apel, po czym zdecydowałem się pójść do robót na zakłady. Do rewiru bez kartki i tak by mnie nie wpuścili, a tę można dostać dopiero wieczorem. Jakoś i ten dzień przetrwałem. Na apelu wieczornym ustawiłem się w drugim szeregu. Zaciskając zęby trwałem. Biada temu, kto się przewrócił. Kozłowski gumą i kopniakami próbował takiego podnosić. Nero łapał za gardło i przegryzał je, a kiedy więzień okrył się krwią, Kozłowski i Andrasik przywoływali psa i dawali mu kawałki mięsa lub cukru.

Na apelu przy szeregach już kilku leżało na ziemi. Kopniaki Kozłowskiego nie pomagały. Dawali słabe oznaki życia. Odniesiono ich do rewiru. Zazwyczaj takiego chorego brało czterech – dwóch za ręce i dwóch za nogi. Chory wygięty w pałąk tarł brzuchem lub plecami o ziemię. Nero tarł ofiarę aż do drzwi rewiru, gryząc przy tym do krwi. Wieczorem, dobywając resztek sił, dowlokłem się do rewiru i stanąłem przed obliczem lekarza Kaczyńskiego. Musiałem źle wyglądać, skoro polecił Bojce zbadać mój mocz, nie wypuszczając mnie z rewiru do czasu otrzymania wyniku. W moczu Bojko wykrył dużą zawartość białka. Zakwalifikowali mnie na oddział wewnętrzny do Tadeusza Kamińskiego. Jeszcze jedną noc przemęczyłem się w baraku bez szyb. Temperatura na zewnątrz wynosiła kilkanaście stopni poniżej zera.

20 stycznia, mając kartkę w ręku, zgłosiłem się do Kamińskiego. Spojrzał na mnie i kazał natychmiast położyć się do łóżka. Tym razem rozwinęło się zapalenie nerek. Wszedłem pod koc bez urzędowych zabiegów. Nie minęło pół godziny, a Ostrowski przybiegł do mnie z wymysłami – jak śmiałem wejść do kojka bez wygolienia podbrzusza? Z tym polecał na skargę do Kaczyńskiego, który zjawił się w towarzystwie Bojki. Obaj robili mi ostre wymówki. Kaczyński powiedział, że swoim wpływem użyłem Kamińskiego do łamania niemieckich przepisów SS-Verwaltung. Po ich wyjściu chorzy byli wstrząśnięci zachowaniem lekarza. Dla niego przepisy SS-Verwaltung były ważniejsze, niż zdrowie chorego.

W tym działaniu był jakiś tragizm. Ludzie, którzy w warunkach normalnych mogli być pożyteczni, stojąc na usługach katów często prześcigali się z nimi przy wykonywaniu przydzielonych im funkcji. Rola lekarza-kapo była trudna. Jednak wiele zależało od niego samego. Kaczyński tłumił u swoich podwładnych zdrowy objaw udzielania pomocy choremu. Pomagał tylko tym, którzy byli mu potrzebni. Do takich należał starszy człowiek z Łowicza, z zawodu elektryk. Za przetrzymywanie na rewirze reperował wszelkie uszkodzenia instalacji elektrycznej powstałe na rewirze, w Schreibstubbie, a także na blokach u znajomych kapo. Drugim takim majstrem był Bielajew¹⁷⁶, Rosjanin z Leningradu¹⁷⁷, z zawodu grawer-zegarmistrz. Ten też miał ręce pełne roboty.

Kaczyński otaczał się ludźmi, jak mówił, z którymi mógł ujechać. Z wyjątkiem Jonaśa Lipciusa, Kamińskiego Tadeusza, Wiarusa Romana¹⁷⁸ i Krystyniaka, reszta załogi rewiru to ludzie młodzi, wychowani na wzorach Kozłowskiego, Schampa, Herberta „Zielonki”, Łukasika, Ślapaka i innych morderców. Te prawdy trzeba przypominać, żeby nie zacierać wartości człowieka, jego kultury współżycia w trudnych warunkach obozowych.

¹⁷⁶ Bielajew – bliższych danych nie ustalono.

¹⁷⁷ Leningrad – obecnie Sankt Petersburg.

¹⁷⁸ Roman Wiarus – bliższych danych nie ustalono.

Tym razem pobyt na rewirze rozpocząłem od zupełnej głodówki. Choroba nerek w obozie koncentracyjnym to śmierć. Początkowo Ostrowski przynosił mi po odrobinie kleiku z pozostałości po chorych na biegunkę, po kilku dniach i to się skończyło. Trzeba było jeść to, co wszyscy, no i puchnąć. W tym czasie dla więźniów szeregowych gotowano na kuchni zupę z zakwaszonej brukwi na solonych ślimakach, z dodatkiem kartofli w obierzynach. Istne błoto, tyle że gotowane.

Forarbijterzy ciekawi wiadomości przynosili mi prawie codziennie „Pommersche Zeitung” i dwa czy trzy razy ulotki pisane po niemiecku, rzucane z samolotów alianckich. Stałymi dostawcami byli Franciszek Wójcik oraz Garbarczyk¹⁷⁹, zwany popularnie „Siwkiem”, dla swoich siwiejących włosów. Ten ostatni pochodził z Okęcia pod Warszawą, pracował na lotnisku i tam został aresztowany.

Pod koniec stycznia z oficjalnych komunikatów było wiadomo, że od wschodu front zbliżył się do Poznania i Piły, a i od zachodu się ożywił. Niemcy wszędzie zwycięsko odpierali natarcia i „planowo” wycofują się ze swoich pozycji. Krążyły domysły, że do Szczecina szybciej zbliży się front wschodni.

W tym czasie do obozu wrócili dwaj kapo, którzy zatruli się spirytusem metylowym. Byli to Neumann i Schamp. Odbyli kurację w szpitalu więziennym w Szczecinie. Teraz umieszczono ich na Schonungu. Lüge, Friedrich i Höltzel zmarli.

Liczba więźniów stawiających się na apelu malała z dnia na dzień. Rozeszła się pogłoska, że na uzupełnienie stanu przybędzie transport więźniów z Oświęcimia. Dni upływały, a transport nie nadchodził. Skądinąd doszły słuchy, że skierowano go do Bergen-Belsen.

W miarę zbliżania się frontu, sytuacja w obozie pogarszała się, głód wzrastał katastrofalnie. Uporczywie krążyła pogłoska, że wszystkich więźniów szeregowych wystrzelają. Zagłodzeni i wyczerpani ginęli jak muchy, pozostałych ogarnęła rezygnacja.

Nie było dnia, żeby nie ogłoszono co najmniej trzech alarmów przeciwlotniczych. Często artyleria otwierała ogień bez ogłoszenia alarmu. Zauważono duże ruchy wojsk niemieckich. Ciężka artyleria zajmowała stanowiska ogniowe w pobliżu Polic, w kierunku na Goleniów. Zdarzało się coraz częściej, że esesmani pierwsi nawiązywali rozmowy z więźniami. Hasło „Deutschland liegt an allen Fronten”¹⁸⁰ nie było im obce.

W Bombenkommando¹⁸¹ zdarzył się wypadek. Przy wyciąganiu bomb, jedna z nich wypaliła. Jeden więzień zginął, ranny został hilfskapo i dwóch więźniów szeregowych. Trafili na oddział chirurgiczny do Bojki. W wypadku rany odniósł również podoficer saperów, którego odwieziono do szpitala wojskowego w Szczecinie.

Na początku lutego dowiedzieliśmy się od Niemców, że Rosjanie zbliżają się do Pyrzyc. Każdego dnia wiadomości z frontu wschodniego stawały się coraz bardziej sensacyjne. Wokół zakładów i miasta przybywało stanowisk ogniowych artylerii przeciwlotniczej. W miejscach zalesionych piętrzyły się skrzynie i pojemniki z amunicją. Trwało to około dziesięciu dni.

¹⁷⁹ Wacław Garbarczyk – więzień KL Stutthof, ur. 6 VIII 1906 r.

¹⁸⁰ (niem.) Niemcy leżą na wszystkich frontach.

¹⁸¹ Bombenkommando – grupa robocza kierowana do wykopywania niewybuchów (niem. Bombe – bomba).

W niedzielę 11 lutego, około dziesiątej wieczorem, bez wycia syren, artyleria otworzyła gwałtowny ogień. W obozie krzykiem ogłoszono alarm, pogaszono światła. Do baraku wypełnionego chorymi wpadł Bojko – zawsze podczas nalotów biegł do ustępu, świsty spadających bomb i detonacje silnie działały mu na żołądek. Od drzwi krzyczał, by zgasić ogień na żeleźniaku. Za nim przybiegł Schamp z gumą w ręku. Stukając w każde okno darł się, by resztki węgla zalać wodą. Esesmani i ważniejsi kapo pobiegli do schronu znajdującego się za drutami obozu. Za nimi pobiegł Kaczyński. W obozie bez opiekunów zapanowała cisza.

Kilka minut później usłyszeliśmy warkot silnika samolotu. Szybował nisko nad dachami, ostrzeliwując z karabinu maszynowego zwyczajne postenów, które były puste. Posteni zdążyli zbiec na dół i ukryć się w rowie tuż przy ogrodzeniu obozu. W chwilę po nim nadleciały dalsze samoloty, zatoczyły koło nad obozem i wzbily się w niebo. Wnet wykwitły cztery „choinki” rzucające snopy czerwonych świateł. Nad zakładami światła były jasne i zielone. Zrobiło się tak widno, że na dworze można było czytać gazetę. Niebawem dał się słyszeć charakterystyczny łomot silników ciężkich bombowców, a po chwili świsty spadających bomb i detonacje o dużej sile wybuchu.

Chorzy z górnych kojek poschodzili na dół. Barak trząsł się i podskakiwał od wybuchów. Koło mnie leżał Soroka. Przed nalotem, aby nas rozweselić, śpiewał *Fajduli*. Teraz zamilkł.

Bombardowanie trwało około pół godziny, po czym wszystko ucichło. Okręciłem się w koc, wdziałem klumpy i wyszedłem przed barak. Stałem pod ścianą przeciwległego baraku. Na podwórzu obozowym było pusto. Nad zakładami unosiło się morze płomieni, któremu towarzyszyły silne wybuchy. Widok był zarazem wspaniały i przejmujący grozą. Szum rozedrganego i ciepłego powietrza docierał do obozu. W baraku chorzy zajmowali się tylko jednym tematem – tchórzostwem wszelkiej maści kapo.

Po krótkiej przerwie artyleria przeciwlotnicza ponownie otworzyła gwałtowny ogień. Nad zakładami rozbłysły światła nowych „choinek”. Nadleciały kolejne fale bombowców. W szalejące słupy płomieni zrzuciły świeży balast bomb. Widok był jeszcze wspanialszy, wstrząsą i tryskające fontanny ognia stworzyły widowisko utrwalone w pamięci na całe życie. Tak ginęła fabryka benzyny syntetycznej, a z nią III Rzesza. Około północy posteni wrócili na stanowiska. Wrócili też kapo, pielęgniarki i posługacze.

Z palących się zakładów do obozu docierały chmury gęstego dymu. Szalały pożary. Paliła się i wybuchła benzyna. Tej nocy prawie nikt nie spał. Omawiano upadek III Rzeszy, przewidywano skutki zbliżającego się frontu wschodniego. Oceniano, że Rosjanie znajdują się w odległości około 60 kilometrów. Otucha, a zarazem trwoga, wstąpiła w serca umęczonych ludzi. Spodziewano się rozstrzeliwań.

Na następnny dzień chorzy z rewiru oczekiwali wieści z zakładów. Po powrocie jako pierwszy na rewir przyszedł forarbijter Garbarczyk „Siwek”. Na pytanie jak duże są zniszczenia, odpowiedział krótko: „klapa”. Podziemne zbiorniki z benzyną wyleciały w powietrze. Około miliona litrów paliwa ogarnęły płomienie. Pali się dalej. Wieloletni wysiłek projektantów i tysiacy robotników sprowadzonych do niewolniczej pracy został zniszczony. Niemcy komentowali ten nalot, jako wsparcie dla Rosjan. Samorodni

komentatorzy na rewirze uważali, że alianci nie chcą pozostawić zakładów w stanie umożliwiającym Rosjanom produkcję. Zbiorniki z benzyną, zwłaszcza te podziemne, zniszczyły miny o wadze 36 centnarów każda. Jedną taką minę znaleziono jako niewypał. Bunkry, dzieło morderczej pracy więźniów, ocalały – za wyjątkiem jednego, w którym pękła szczytowa ściana. W jego wnętrzu znaleziono ciała Niemców, którzy szukali tam schronienia, a zginęli od podmuchu.

13 lutego rozeszła się pogłoska, że chorych wywiozą do Bergen-Belsen, a zdrowi zostaną wypisani na bloki. Istotnie, w środę 14 lutego Kaczyński i Bojko, w towarzystwie SS-Scharführera nadzorującego rewir, zrobili przegląd wszystkich chorych. Mnie zakwalifikowano na dalsze leczenie. Wieczorem wiadomość potwierdziła się – rzeczywiście szykowano transport kripli za nadających się do pracy. Zdrowi mieli przyjechać z Bergen-Belsen łącznie z transportem oświęcimskim, czasowo przetrzymanym w tamtym obozie.

W sobotę 17 lutego z rewiru wypisano resztę chorych. Z ostatnią partią opuściłem rewir i zostałem skierowany na blok drugi, do Czesława Kaczmarka. Razem ze mną przydział tam otrzymali dwaj funkcyjni: Usarek i „Gruby Jurek”. Na rewirze pozostali jeszcze Bojko, Kamiński, Ostrowski, Krystyniak i Wiarus. Nastroje na blokach były gorzej niż tragiczne. Było tak zimno, że trudność sprawiało przysycie numerów do pasiaków, które otrzymaliśmy po przyjeździe na bloki. W tym czasie krążyły w obozie fantastyczne pogłoski o rychłej ewakuacji. Zdrowi mieli iść pieszo.

18 lutego, po porannym apelu, zrezygnowano z formowania komand do robót poza obozem. Zagoniono wszystkich do porządkowania obejścia baraków i układania elementów ogrodzeniowych oraz płyt chodnikowych. Ciężkie słupy betonowe Kozłowski kazał nosić po dwóch. Schamp i cała sfera forarabajterów dołączyła do Kozłowskiego. Rozpoczęła się gonitwa. Ktokolwiek zwolnił, dostał ciężkie bicie.

Usarek, nie mogąc znaleźć dla siebie partnera, dołączył do mojej dwójki. Podstawił ramię na środku słupa na trzeciego. Widząc to Kozłowski podbiegł i ciął go kilkakrotnie gumą po głowie. Bił mocno. Pod batami Usarek zemdłał. Od tego czasu doznał jakiegoś urazu, nawiedzały go zaniki pamięci i chwilami mówił od rzeczy.

Biegająca po placu ze słupami, płytami chodnikowymi i ciężkimi kłocami ściętych drzew trwała około sześciu godzin, po czym puszczono wszystkich na bloki. Co najmniej połowa wszystkich zatrudnionych przy tym transporcie wracała okrwawiona od bicia i pościeranych ramion. Usarek prawie ramię miał otarte do krwi. Powiedział mi, że chociaż „Kozioł” wziął się na niego, on musi wszystko przetrzymać. Teraz rozumiał na czym polega robota w komandach, była to wszak jego pierwsza praca fizyczna. Do tej pory dobrze mu było siedzieć na rewirze w charakterze pisarza i Pflęgra do mierzenia gorączki czy sporządzania wykresów na karcie choroby.

Na noc Usarek ulokował się w kojku nade mną. Mogliśmy teraz swobodniej porozmawiać. Powracał do tematu sprawowanej funkcji. Usprawiedliwiał się, że ostre traktowanie chorych zależało od Kaczyńskiego, on spełniał tylko jego polecenia. Nie chciał, aby go z rewiru wyrzucono.

W poniedziałek 19 lutego, po porannym apelu, uformowano komanda i wysłano do robót w lesie, na zakładach i uprzątnięcia gruzów w Policach. Usarek trafił na zakłady,

więc chodziliśmy do pracy razem. Ogarnął go lęk, bał się, by przy pracy nie zlinczowano go za to, że wyrzucił z rewiru chorych z gorączką, zazwyczaj przedwcześnie.

Wieczorem na apelu trzymano nas krótko. Zamiast kazać rozejść się na bloki, zatrzymano wszystkich na zbiórce. Rozpoczęła się segregacja. Zdrowszych pozostawiono w szeregu, słabszym kazano wystąpić. Przeglądu dokonywali Kozłowski i Schneider. Miał to być przegląd ostateczny przed ewakuacją. Gdy przyszła kolej na mnie, Kozłowski długo się zastanawiał, wreszcie pozostawił mnie w szeregu. Słabych zapędzono na bloki od dziewiątego do dwunastego.

Pomimo segregacji, następnego dnia słabych włączono do komand roboczych. Jak się bowiem można było zorientować, chodziło o ilościowe pokrycie zapotrzebowania więźniów do robót na zakładach. Niektórzy byli już tak osłabieni, że rano ledwo dowlekli się na miejsce pracy. Wieczorem niesiono ich na noszach lub plecach.

Każdego dnia przy bramie wychodzących do robót lustrował komendant obozu „Igiełka”. Forarabajterzy prowadzący swoje kolumny pochylonych przy bramie prostowali kułakiem w plecy.

Jeszcze na starym obozie wydawało się, że jest źle i nie do wytrzymania, że gorzej być nie może. Tymczasem teraz głód, zamęczenie przy pracy i na blokach, długie stójki na apelach, zwłaszcza wieczornych, powodowały takie wyczerpanie i choroby, że gwałtownie wzrastała śmiertelność. W miarę, jak zbliżał się front, warunki życia w obozie stawały się coraz gorsze. Szczęśliwy był ten, komu udało się zdobyć kartofel, aby go utrzeć i ugotować szmelki. Głód spowodował jeszcze większy podział na sytych kapo i głodnych szeregowych więźniów.

Blokowy Kaczmarek i hilfskapo Bolek¹⁸² z Nasielska mieli chody u Żurawskiego na kuchni. Przynosili stamtąd mięso, kartofle i inne produkty, które ich „piple” pichcili na żeleźniaku. Zapach duszonego mięsa rozchodził się po całym baraku. Powracający z pracy więźniowie, wyczerpani, zziębnięci i głodni, już od progu wchłaniali ten zapach. Jednym ciekła ślina, innych przyprawiało to o słabości i zawroty głowy. Wieczorna zupa na solonych ślimakach u niektórych powodowała torsje, u wszystkich palenie wątrobowe i nieugaszone pragnienie.

Noc z 21 na 22 lutego upłynęła w oczekiwaniu większych zmian. Od strony Odry dochodziły odgłosy kanonady artyleryjskiej. Około czwartej nad ranem przeleciały nad obozem pierwsze pociski wystrzelone za rzeką. Dwa z nich spadły za kuchnię, wryły się w ziemię, lecz nie eksplodowały.

Rano idąc do pracy na zakłady, można było dostrzec u Niemców przegrupowania. Artyleria ciężka odjechała. Przybyło za to dział przeciwlotniczych. Po drugiej stronie Odry kanonada trwała niemal bez przerwy. Tutaj, w pobliżu Polic, samochodami ciężarowymi zwożono amunicję, którą wyładowywano w pobliżu dział zamaskowanych na stanowiskach ogniowych gałęziami drzew świerkowych i sosnowych. Z rzadka dochodził

¹⁸² Bolek – bliższych danych nie ustalono.

zza rzeki warkot silnika pojedynczego „kukuruźnika”¹⁸³. Artyleria niemiecka nie strzelała. „Kukuruźniki” pojawiały się w powietrzu na krótko, nie przekraczając Odry.

W mroźny dzień 23 lutego pokazało się słońce. O zachodzie, kiedy jego ognista kula chowała się za konary drzew pobliskiego lasu, Niemcy otworzyli gwałtowny ogień. Po godzinie strzelanina ucichła. Akurat wracaliśmy z pracy na zakładach, można było więc zorientować się o kierunku i nasileniu ognia.

Tego dnia podszedł do mnie Michał Dulęba¹⁸⁴, z zawodu agronom, pochodził z Płocka.

– Co o tym sądzisz? – zapytał. – Słyszałem, że transport z chorymi odjedzie na pewno. Tu już front walki.

– To jeszcze nic pewnego – odpowiedziałem. – Ci biedacy trzymani godzinami na mrozie masowo giną. Sprawa kriptli sama się rozwiąże. Dziś ledwo wywinąłem się „Kozłowi” od ładowania trupów na samochód. A było co ładować, z dwóch dni – dodałem. Niektóre trupy przeraźliwie śmierdziały. Samochód kilka razy powracał, zanim zdołał opróżnić komórkę.

– Miałeś szczęście – mówił Dulęba. – Ja też uciekłem od tej roboty. Słuchaj, kiedy skończy się ten cyrk ze szcuciem i puszczaniem Nerona na ludzkie szkielety?

– Patrz, żywi czekający na transport stoją pod gołym niebem godzinami, trzęsąc się z zimna i głodu. Nędza tych ludzi jest tak wielka, że widziane w wyobraźni czeluście i męki piekielne są rajem w porównaniu do warunków życia więźniów w obozie koncentracyjnym.

Od 24 lutego już tylko niewielkie grupy kierowano do prac porządkowych po bombardowaniach zakładów. Część więźniów włączono do Waldkommando¹⁸⁵, które nadzorował forarbijter Otto Lutz¹⁸⁶. Był Austriakiem, nosił zielony winkiel i numer 45183, brutal i sadysta, znany jako polakożerca. Pozostałych więźniów podzielono na mniejsze grupy i wysłano do sypania szaniców, budowy zapór przeciwczołgowych oraz umocnień na stanowiskach ogniowych dział. Więźniowie z Waldkommando ścinałi kilkunastoletnie sosny i świerki, obcinali gałęzie i tak obrobione okrągłaki znosiła w poblizze stanowisk artyleryjskich. Inna grupa, do której mnie włączono, została zatrudniona przy budowie i umacnianiu wykopów dla dział oraz układania blindażu nad ziemiankami dla artylerzystów.

Korzystając ze stosownej chwili, zapytałem po niemiecku kaprała-artyleryzystę jak ułożyć kloce. Wyjaśniłem, że nie znam się na tego rodzaju budowie. On wzruszył ramionami i odpowiedział, że też się nie zna.

– Jestem kuśnierzem – mówił. – Skąd ja mam się na tym znać?

– Ale my musimy coś robić. Przecież pilnują nas kapo i posteni.

Słyszac to wskazał na otyłego Niemca.

¹⁸³ „Kukuruźnik” – potoczna nazwa Po-2, sowieckiego samolotu dwupłatowego zaprojektowanego przez Nikołaja Polikarpowa, produkowanego w latach 1928–1959.

¹⁸⁴ Michał Dulęba – ur. 9 XI 1906 r., więzień KL Stutthof nr 35173.

¹⁸⁵ Waldkommando – grupa robocza kierowana do pracy w lesie (niem. Wald – las).

¹⁸⁶ Otto Lutz – ur. 5 XII 1909 r., więzień KL Stutthof nr 45183.

– Niech on wam wytłumaczy – powiedział. Odchodząc dał nam po papierosie.

Gruby odpowiedział podobnie, tyle że on był fryzjerem.

– My chcemy dobrze wam zbudować – oznajmiłem. Roześmiał się.

– Wiemy, jak traktuje się więźniów w obozach koncentracyjnych. Cofamy się spod Smoleńska. Po drodze zostawiliśmy bunkry żelbetowe i mnóstwo amunicji. Co nam pomoże takie czy inne ustawianie kłoców.

Zbliżał się kapo, rozmowę musiałem przerwać. Przed wieczorem ten fryzjer przyszedł na bunkier i dał nam po kawałku chleba. Odchodząc powiedział:

– Die Russen sind schon bei Gollnow¹⁸⁷. – Była to informacja prawdziwa.

Moja rozmowa z artylerzystami nie uszła uwadze kapo. Następnego dnia izolowano nas starannie. Mnie włączono do Transportkommando, czyli do noszenia kłoców ściętych drzew. Cały dzień pracowałem ciężko o suchym kawałku chleba zjedzonym przed porannym apelem. Głód dokuczał straszliwie. W obozie na kuchni zabrakło nawet brukwi do kotła. Po kartofle samochód wysyłano na znaczne odległości. Braki odczuli także funkcyjni. Faryński wciąż uganiał się za zupą i chlebem, oddając resztę wartościowych przedmiotów i monet. Niewiele mu to już pomogło, zaliczony został do kripli.

W końcu lutego na apelu wieczornym zmarło dwóch więźniów, w szeregu na stojąco. Jednym z nich był zaprzyjaźniony ze mną nauczyciel spod Otwocka. Ciągłe mnie przekonywał, że umrzeć na stojąco, to niemożliwe. Na zbiórce stał koło mnie, opierając się o moje ramię. Kiedy się ruszyłem, upadł na ziemię. Schyliłem się, był już zimny i sztywny. Po apelu zaniósłem go pod komórkę. Ze śmiercią byłem oswojony i niewrażliwy na jej ciosy, jednak odejście tego człowieka odczułem boleśnie.

Na początku marca po apelu porannym formowano jeszcze trzy komanda: do robót na zakładach, do lasu i na okopy. Doraźnie organizowano jeszcze małe grupy do robót porządkowych. Ilość więźniów wciąż się zmniejszała. Spośród tak zwanych „zdrowych”, wielu przekwalifikowano na transport. Stan taki trwał do 8 marca.

Od 22 lutego do ostatnich dni artyleria sowiecka zza Odry codziennie o czwartej rano rozpoczynała ostrzeliwanie Polic. Zazwyczaj był to ogień nękający i mało skuteczny, dużo niewypałów. Po kilku godzinach ostrzeliwanie cichło. Chwilami mogło się wydawać, że front nie istnieje. Na tę strzelaninę z rzadka odpowiadała artyleria niemiecka. Lotnictwo alianckie zaprzestało nalotów i bombardowań. Od czasu do czasu dało się słyszeć tylko dalekie brzęczenie „kukuruźnika” i na tym się kończyło.

8 marca do obozu przywieziono zabite od sowieckiego pocisku zwierzęta – konia i krowę. Żurawski i jego pomocnicy z kuchni rzucili się z nożami do zdercia skór i poświęcenia obu sztuk. Jak zwykle, co lepsze kawałki poszły do kotła dla esesmanów, kapo i prominentów. Dla więźniów szeregowych pozostały tylko kości. 9 marca ugotowano zupę na koninie z przeznaczeniem dla więźniów, którzy przyjechali z Bergen-Belsen i znajdowali się na stacji kolejowej. Przywieźli ze sobą dużą grupę oświęcimiaków. Tymi wagonami mieli odjechać kripke z naszego obozu. Ostatniej nocy ich pobytu, z 8 na 9 marca, maltretowano biedaków w sposób niesamowity. Zdarto z nich wszystko, co

¹⁸⁷ (niem.) Rosjanie są już pod Goleniowem.

mieli: klumpy, płaszcze, resztki ubrań i czapki. Postępowano z nimi tak, jakby przeznaczeni byli na śmierć. Długo w nocy trzymano ich pod gołym niebem, a wciąż było kilka stopni poniżej zera. W oczekiwaniu na odjazd w tej zbitej gromadzie czaiła się śmierć. Był to zaiste widok zatrważający.

9 marca, po porannym apelu, pochód kripli ruszył. Szli na stację kolejową. W Policach, już na stacji, przed załadowaniem do wagonów bydłowych, zmarły kolejne 34 osoby. Co się stało z pozostałymi przy życiu, trudno powiedzieć. Odprowadzający ich na stację Kozłowski, Kaczyński, Schneider i posteni milczeli. Bez względu na wszystko, los tych biedaków był tragiczny.

Inaczej odbywał się odbiór przybyłych więźniów. Kaczyński z Kozłowskim wybrali z liczby około 2 tys. tylko 986 osób. Ci, co odpadli, płakali. Chcieli pracować, żeby przeżyć. Sądziли, że tutaj lepiej dostaną jeść, a tymczasem... Segregacja na stacji kolejowej w Policach odbywała się przy akompaniamencie przelatujących pocisków artylerii sowieckiej, która akurat wznowiła aktywność. Co się stało z ponad 1000 więźniów odrzuconych na stacji? Ich los został otoczony tajemnicą. Mówiono, że wielu przyjechało już nieżywych. Ze Schreibstuby dowiedziano się, że pozostali na stacji nie mieli już dokąd wracać. Front aliancki był odległy od Bergen-Belsen około 50 kilometrów. Krążyła pogłoska, że ich rozstrzelano w pobliskim lesie.

Nowi zjawili się w obozie dopiero przed wieczorem. Na ich oczach eksplodowały dwa pociski sowieckie zza Odry uszkadzając baraki magazynowe. Zdarzenie to zrobiło na nich duże wrażenie. Na wieczornym apelu trzymano ich bardzo długo. Dopiero około północy pozwolono im pójść na bloki. Kolacji nie dostali. Przygotowaną dla nich zupę rozdano starym więźniom. Na drugi blok do Kaczmarka przyniesiono jeden kocioł więcej, starczyło po pół litra dodatkowo dla każdego. Ci, którzy kotły przynieśli, dostali nawet więcej.

Następnego dnia, 10 marca, po apelu porannym można było zorientować się kto przyjechał w ostatnim transporcie. Wśród zugangów znajdowali się Żydzi z Łodzi, Warszawy i Lublina. Kozłowski z uciechy zacierał ręce. Czuł, że będzie miał kogo wieszać. Żydzi w Mścięcinie to sensacja, tym większa, że w ich gronie znajdowało się dwóch rabinów. Kilka lat przebywali w obozie oświęcimskim, inni przeżyli niemal wszystkie obozy koncentracyjne w Niemczech. Mówiono im, że w nowym obozie będą mieli dobre warunki, a to co zobaczyli na własne oczy napawało ich strachem i przerażeniem.

Stan liczbowy, łącznie z ostatnim transportem i małymi grupkami przerzucanymi z obozów jenieckich, wynosił około 6 tys. więźniów. Odliczywszy nieprzyjętych z ostatniego transportu, ogólna liczba więźniów, którzy przeszli KL Stutthof – Außenlager Pölitz, wynosiła około 5 tys.

Już pierwszego dnia nowi doświadczyli ciężkiej orki i bicia. Po apelu wieczornym powiedzieli, że w żadnym obozie nie doświadczyli podobnych warunków. Kozłowski i towarzysząca mu sfera kapo dopuszczali się orgii bicia w sposób wypraktykowany w Stutthofie i Policach. W pierwszym tygodniu ich pobytu dwaj Żydzi powiesili się w nocy na szelkach. Wieczorem przed rewirem gromadziły się długie kolejki chorych. Kaczyński przyjmował tylko starych więźniów i to w nielicznych przypadkach.

Codziennie na porannym apelu działy się tragiczne wypadki. Chorzy, nie mogąc utrzymać się na nogach, przewracali się i marli. Ledwie powłóczących nogami Kozłowski bił deską i wpędzał do kolumny roboczej. Wilczur Nero czynił krwawe spustoszenie. Po powrocie z pracy jeden z więźniów nie wytrzymał i poszedł na druty. Poniósł śmierć na miejscu. Kozłowski, przy pomocy innych kapo, wyławiał z szeregu najsłabszych i bił ich deską lub gumą. Kto nie wytrzymał ciosu i przewrócił się, takiego kopał i skakał po pierśsiach łamiąc żebra. Tak samo robili kapo przy pomocy „starych numerów”. Różnica polegała na tym, że ci ostatni znęcali się nad więźniami podczas całego dnia męczącej pracy.

17 marca, we wczesnych godzinach rannych, obstawiono rewir kordonem postenów. Wkroczyli tam SS-Scharführer, Schneider i Kaczyński. Kazano wstawać z kojek i wychodzić. Przed rewirem czekał samochód. Ładowano do niego tyłu, ilu weszło. Kto nie mógł iść o własnych siłach, wynoszony był na noszach. Wywożono ich do lasu i rozstrzeliwano. Zabitych wrzucano do dołu zawczasu przygotowanego. Operacja trwała do południa. Tego dnia wywieziono i rozstrzelano 345 osób. Nosząc kloce ściętych drzew widzieliśmy, jak krążyły dwa samochody. Gdy z jednego samochodu zdejmowano chorych i rozstrzeliwano, drugi ładował więźniów z rewiru. Wywożono ich w koszulach, tak jak kto był ubrany.

Po powrocie z pracy przeszedłem wszystkie pomieszczenia rewiru. Pusto, żywej duszy. Tylko zafajdane kojka i kawałki palonego na węgiel chleba poniewierały się po baraku. Tych rozstrzeliwań nie dało się ukryć. Bardziej bojaźliwi bali się teraz iść na rewir, inni ryzykowali dalej. W końcu marca leżało tam już ponad 200 chorych. Chodziły słuchy, że więcej rozstrzeliwań nie będzie. Nikt w to nie chciał wierzyć.

Pracowałem teraz u hilfskapo Bolka z Nasielska. Bolek w pracy nie oszczędzał, ganiał, żeby bardziej podlizać się załodze obozu. Miał powód – awansował na forarabajtera. Założył sobie nową opaskę na rękaw z odpowiednim napisem. Podobno był murarzem, więc powierzono mu roboty murarskie przy barakach dla esesmanów. Wznoszono je tuż za drutami obozu w lesie. Razem ze mną do robót pomocniczych przy murowaniu chodził Michał Dulęba. Roboty były ciężkie, ale wracało się z niej kwadrans wcześniej. Można więc było jeszcze nieco odpocząć i porozmawiać, zanim komanda powróciły z zakładów i z lasu. Do rozmowy z Dulębą dołączał często Usarek. Jakże inny był to już człowiek.

W 1945 r. wiosna w Policach dała o sobie znać już w połowie marca. Dni stawały się coraz cieplejsze. Na początku kwietnia ożywiły się lasy. Od świtu prąctwo śpiewem swoim oznajmiało stare prawdy o wiosennych godach. Miało to krzepiący wpływ na samopoczucie wyczerpanych i zmaltretowanych więźniów. Komenda obozu wykorzystywała sprzyjającą pogodę i kazała zakładać klomby przed barakami. Był to dodatkowy wysiłek i dodatkowe ciosy otrzymywane od zwyrodniałych kapo. W takich warunkach wykonywano niezbędne roboty ogrodnicze, założono klomby, posiano i poflancowano kwiaty z rozsady przywiezionej ze Szczecina. Mówiono teraz, że wśród kwiatów łatwiej umierać. Jednak najszybciej wykruszali się Żydzi. Schreibstuba wydała polecenie ustne forarabajterom, żeby „rozwiązali sprawę żydowską” w sposób najbardziej skuteczny. Oznaczało to śmierć.

Z komanda wykonującego roboty umocnieniowe w okopach dla wojska w pobliżu Odry, usiłował zbiec rabin. W momencie wsiadania do łodzi został schwytany. Na wieczornym apelu Kozłowski pobił go dotkliwie, a na koniec rzucił sznurek i kazał mu powiesić się na drążku opartym o dwie wysokie sterty płyt chodnikowych. Żyd wyrwał mu się z rąk, wybiegł za bramę, wpadł na wartownię i narobił krzyku, że bezprawnie kazał mu się powiesić. „Igiełka” słysząc to zabronił Kozłowskiemu i forarabajterom dalszego znęcania się nad nim. Ucieszony rabin wyrażał się z uznaniem o niemieckiej sprawiedliwości. Tymczasem Schreibstuba wysłała pismo do Berlina z wnioskiem o zatwierdzenie wyroku śmierci. Formalności stało się zadość.

Na początku kwietnia artyleria zza Odry dawała o sobie znać coraz częściej i dłużej trwającym ostrzałem. Grzechot karabinów maszynowych wskazywał, że Rosjanie są już na brzegu rzeki. Ostrzał z broni maszynowej to wzmagął się, to przycichał na dwa, trzy dni.

W tym czasie porzuciłem komando Bolka i poszedłem do robót na zakłady. Zdarzało się, że podczas dnia przerywano pracę i kazano chować się do bunkra. Podobno miało to uchronić przed obserwacją Rosjan zza Odry oraz ostrzałem artyleryjskim. Pociski coraz częściej i gęściej spadały na teren zakładów, które stały wtedy nieczynne. Wpuszczano tam tylko bramą boczną od strony miasta. Brama główna była pod obserwacją artylerzystów rosyjskich.

W obozie szykowano następny transport chorych. Tym razem mieli być wywiezieni do Barth. W tej grupie wielu było Niemców funkcyjnych i kapo. Do licznych nieszczęść spadających na więźniów, dołączył teraz tyfus. Podobno przywlekli go sami Niemcy.

Chodząc do pracy na zakłady widać było wzmoczony ruch wojsk niemieckich. Po głównej ulicy Polic – Hindenburgstraße – a także z tyłu, za budynkami, krążyły patrole formacji Wehrmachtu i Waffen-SS¹⁸⁸. W Mścięcinie, tuż przy wiadukcie, w pierwszym budynku od strony toru kolejowego, dowództwo jednostki pancerniej Waffen-SS urządziło sobie kwatery. Budynek był uszkodzony. Zatrudniono więźniów i pospiesznie naprawiano dach oraz łątano wyrwę w ścianie zewnętrznej. Pracowała tam grupa około dwudziestu więźniów, ale chętnych było więcej. Na oczach wojska mniej bili i można było zarobić kilka papierosów.

Bywały dni, w których od rana panowała niczym niezmacona cisza. W pogodny wiosenny poranek więźniów wychodzących na roboty dobiegał śpiew ptactwa. O ile gorzej było słuchać wystrzałów, kiedy trwała wymiana ognia artyleryjskiego z obu stron Odry. Ptactwo cichło i spłoszone tłukło się między gałęziami drzew szukając schronienia. Poranne opary znad rzeki wchłaniały dymy od wypalonych pocisków, tworząc nisko nad ziemią ciemną chmurę. Jak wielkie szkody może człowiek przysporzyć przyrodzie i ile w tym tragizmu, to trudno odtworzyć, to trzeba zobaczyć.

Zagłodzeni więźniowie pracujący w leśnym komandzie zjadali z głodu zieloną korę drzew i miękkie gałązki. Inni, pracujący przy ziemnych wykopach, zjadali miękką glinę, a pracujący na zakładach – „gołąbki”. Ci ostatni czynili to ukradkiem. Pracując przy dowożeniu taczkami materiałów zauważyłem, że jeden Ruski kucnął za kozłem cegieł

¹⁸⁸ Waffen-SS – siły zbrojne SS utworzone w 1940 r. na bazie tzw. oddziałów dyspozycyjnych SS (niem. SS-Verfügungstruppe), znajdujące się poza strukturą organizacyjną Wehrmachtu.

i z rękawa coś zajądał. Zbliżyłem się do niego. Widząc mnie to coś skwapliwie schował. Następnego dnia sytuacja powtórzyła się. Powiedziałem:

– Pokaż, co jesz.

– Nic takiego – odpowiedział. Nie ustąpiłem. Wtedy mi pokazał. Było to niedojedzone ludzkie gówno zawinięte w zeschnięty liść klonowy.

– Dlaczego to jesz? To nic nie daje, a możesz się śmiertelnie rozchorować.

– To gówno esesmańskie, zjadliwe.

– A skąd ty to wiesz?

– Widziałem wczoraj, jak srał.

Po powrocie z pracy opowiedziałem to zdarzenie na bloku. Nikt się temu nie dziwił, praktykowano „gołębki” od dość dawna. Ważne, żeby gówno było esesmańskie, a więc tłuste, i zawinięte w liść kapusty. W nocy, gdy jedni utrudzeni spali, inni gotowali na fajerce zgniłe obierki wygrzebane w śmietniku. Straszliwy odór rozchodził się po całym baraku. Blokowy Kaczmarek wstawał i zrzucał wrzątek z fajerki na ziemię. Zawsze przy tym kogoś pobił. Krzyki i smród rozchodziły się po całym bloku. Co przezorniejsi zbierali jeszcze niedogotowane obierki z ziemi, zanosili do kojka i na stojąco zjadali.

Bolek, jako forarabajter, gotował sobie mięso przynoszone od Żurawskiego z kuchni. Zapach drażnił nozdrza i przyprawiał zgłodniałych więźniów o omdlenie. W praktyce realizowało się powiedzenie: „syty głodnego nie zrozumie”.

W pierwszej połowie kwietnia, po wieczornym apelu, zauważyłem za barakami rewiru, przy drutach, większą grupę więźniów. Coś tam się działo, ale co? Tęgo samego dnia około północy wszystko się wyjaśniło. Na blok drugi wpadli z hukiem i krzykiem Kozłowski, Andrasik i Schneider. Rozpoczęli rewizję kojek. W dwóch z nich znaleziono niedojedzone resztki mięsa. Tych biedaków zabrano. Okazało się, że grupa więźniów zapędziła na druty pod napięciem psa Nerona. Ściągnęli z niego skórę, podzielili mięso, ugotowali i zjedli. Byli to Ruscy. Podobną rewizję przeprowadzono także na innych blokach. Wszystkich, którzy brali udział w zabiciu i zjedzeniu psa, następnego dnia powieszono. Akcja „Nero” okazała się tragiczna w skutkach.

W Wielki Piątek 13 kwietnia pracowałem w komandzie przy robotach ziemnych na okopach. Sypano długi wał i zamykano zapory przeciwczołgowe. Roboty wykonywano kilka kilometrów od Mścięcina. Nadzorował je Łukasik. Przed wieczorem Rosjanie rozpoczęli ostrzeliwanie z katusz pozycji niemieckich. Huk, dymy i tumany kurzu utworzyły wielką chmurę i docierały do pracujących na okopach więźniów. Tym razem wydawało się, że na tym odcinku opór niemiecki pryśnie. Po dłuższym ostrzeliwaniu ruszyła od strony wschodniej przeprawa przez Odrę. Po kilkunastu minutach ciszy Niemcy odpowiedzieli gwałtownym ogniem artylerii i broni maszynowej. Trwało to około godziny, po czym wszystko ucichło. Następnego dnia z robót na okopach ulotnił się kapo Łukasik. Rano, prowadząc komando do pracy, miał na sobie garnitur. Czerwone krzyże przypiął na szpilkę. Upatrzył moment, kiedy z zakładów ewakuowano grupę cywilnych robotników, zmieszał się z nimi i przepadł. Nikt go nie szukał. W obozie mówiono, że ucieczkę miał umówioną z postenami i Kozłowskim. Bał się samosądu za zamęcza-

nie więźniów szeregowych. Jego sumienie było obciążone zbrodniczymi wyczynami. Najwięcej dał się we znaki w starym obozie, a podobno był synem polskiego oficera.

W tych przełomowych dniach dziwnie zachowywał się kapo Czesław Kaczmarek. Na zbiórce wykrzykiwał, żeby nie łudzić się wolnością. Więcej miało iść na tamten świat, niż na wolność. Jego brutalny stosunek do więźniów szeregowych nie uległ zmianie. Znakomicie pomagał mu w tym murarz Bolek.

Święta wielkanocne miały jak każdy inny dzień. Zupę ugotowano na solonych ślimakach. Mimo straszliwego głodu, z trudem przechodziła przez gardło. Jedyne, co było godne uwagi, to tego dnia krócej trzymano na robotach.

Zaraz po świętach uwagę całego obozu przykuł bardzo ciekawy wypadek. Po skończonym apelu porannym komanda były już przygotowane do wymarszu na roboty. Kozłowski przyprowadził na zbiórkę Przyklenk-Frankowskiego. Po przyjeździe do Stutthofu chciano go zlinczować, o czym już wzmiankowałem. Przez cały okres pobytu w obozie pełnił funkcję magazyniera żywnościowego w Brotkammer. Na tym stanowisku otrzymywał pochwały za oszczędną gospodarkę żywnościową. Wydawał prowiantu mniej, aniżeli przewidywały to normy urzędowe według przepisów SS-Verwaltung. Był znakomicie podpassiony, ubrany po cywilnemu, nosił binokle. Wyglądał jak typowy urzędnik. Przyklenk-Frankowski zabrał ze sobą sporą paczkę prowiantu na drugie śniadanie. Kozłowski przydzielił go do uformowanego już komando Ottona Lutza, który w dalszym ciągu nadzorował Waldkommando.

Wieczorem po pracy więźniowie z tego komanda przynieśli martwe ciało Przyklenk-Frankowskiego i położyli przed szeregiem stojących. Przyczyna śmierci była nader prosta. Lutz przydzielił go do kolumny transportowej noszącej kłocę ściętych drzew. Przy wierzchołku sosny postawił trzech Ruskich, jemu przeznaczył część przyziemną. Na komendę „podnieść”, Ruscy wierzchołek podnieśli z łatwością. Przyklenk-Frankowski chwycił za gruby koniec, zachwiał się i przykleknął. Widząc to hilfsskapo ciął go gumą po głowie, Lutz dołożył mu kilka kopniaków. Przyklenk-Frankowski odsunął nieco kłoc i wstał. Lutz wymierzył mu cios w szczękę tak silny, że Przyklenk-Frankowski się przewrócił. Wtedy ten wskoczył mu na piersi i połamał żebra. Kommandoführer wyjął pistolet i trzema strzałami dobił Przyklenk-Frankowskiego. Paczkę śniadaniową zjedli trzej krippl, okulary przekazali wieczorem Kaczyńskiemu, który podarował je Faryńskiemu. Pracujący w Waldkommando mówili, że Przyklenk-Frankowski został wyrzucony z Brotkammer za to, że robił notatki o stanie więźniów w formie pamiętnika¹⁸⁹ i to

¹⁸⁹ Pamiętniki prawdopodobnie pisał również Bolesław Kaczyński. Gdy w latach siedemdziesiątych XX w. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Szczecinie badała sprawę zbrodni popełnionych na terenie filii KL Stutthof, zwrócono się do wdowy po nim o udostępnienie pamiętników, które miał prowadzić w czasie pobytu pod Policami. Okazało się jednak, że pamiętniki te zostały zniszczone jeszcze w obozie. Jak pisała M. Kaczyńska: „[...] wiem tylko tyle z opowiadań, że takie pamiętniki mój mąż w obozie pisał i że niestety musiał je zniszczyć, bo doszły go słuchy, że w baraku obok była rewizja i mąż bojąc się spalił je – a później – jak barak jego był pominięty – to podobno b[ardzo] rozpaczał i płakał”. AIPN Sz, OKBZH, Sprawa zbrodni hitlerowskich popełnionych na robotnikach przymusowych i jeńcach wojennych w obozie karnym w Policach 1939–1973, poz. 24a, List do Marii Kaczyńskiej z 29 I 1972 r. i jej odpowiedź skierowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Szczecinie z 10 II 1972 r.

zostało wyśledzone. Lutz dostał polecenie ze Schreibstuby, by Przyklenk-Frankowskiego wykończyć.

16 kwietnia rano rozeszła się pogłoska, że transport kripli do Barth odejdzie na pewno. Po skończonym apelu wieczornym Kaczyński i Kozłowski robili jeszcze przegląd stojących na zbiórce. Obaj długo patrzyli mi w oczy. Pierwszy zadecydował Kozłowski i pozostawił mnie w szeregu, co oznaczało, że nadawałem się do drogi pieszo podczas ewakuacji obozu.

Dzień później na zbiórkę do porannego apelu wypędzono wszystkich kapo i funkcyjnych. Po odliczeniu i odsunięciu kripli, utworzono cztery setki, w tym ponad 150 kapo i funkcyjnych, reszta to więźniowie szeregowi. Na tej zbiórce zlikwidowano stare komanda i utworzono trzy nowe do robót przy umocnieniach wojskowych, głównie artylerii przeciwlotniczej.

Przy podziale trafiłem do komanda Herberta „Zielonki”, które otrzymało zadanie kopania rowów łącznikowych nad Odrą w pobliżu Szczecina, nieopodal stanowisk artyleryjskich. Pracowano o głodzie. W przerwie obiadowej zupy nie wydano. Krótco po niej zabrano pięćdziesięciu więźniów do pomocy przy wypchnięciu siedemnastotonnego projektora artyleryjskiego z umocnionego wglębnego okopu. Z przodu na grubej linii doczepiono samochód. Z tyłu i z boków pchali więźniowie i kilku artylerzystów. Herbert grzmocił więźniów po plecach gumą, ponagłając do wysiłku. Projektor w pewnym momencie ruszył. W tej ciasnocie nie mogąc uskoczyć w bok, żeby nie ulec zmiążdżeniu o ścianę wykopu, przywarłem do boku projektora i tu zostałem wepchnięty pod tylne koło, które przeszło przez moje obie nogi, a buciory artylerzystów i drewniaki więźniów – przez głowę i tułów. Po chwili wyniesiono mnie z okopu. Nogi gwałtownie czerniały i puchły. Szczęśliwie kości nie uległy zmiążdżeniu.

Pół godziny przed zakończeniem robót Herbert dał czterech Ruskich, żeby mnie zanieśli na rewir. Obóz oddalony był o około siedem kilometrów. Początkowo wzięli mnie za ręce i nogi. Trąc brzuchem o ziemię nie wytrzymałem z bólu i sposobu niesienia. Eskortujący nas esesman zarządził, żeby na zmianę po dwóch wzięło mnie pod pachy, on popychał mnie lufą od karabinu i tak krok po kroku wlokłem obolałe nogi. Nasłuchiwałem się przy tym od Ruskich wyszukanych obelg pod adresem moim i wszystkich Polaków. Komando wracające z roboty dawno mnie minęło. Esesman i Ruscy kleli na czym świat stoi. Do rewiru doszliśmy mniej więcej z półgodzinnym opóźnieniem względem reszty.

Tu dowiedziałem się, że transport kripli do Barth odszedł kilka godzin wcześniej. Dostać się do rewiru było bardzo trudno. Upłynęło może pół godziny, jak mnie tu wpakowano, dopiero zjawił się Bojko. Obejrzał mnie i zaproponował, bym dołączył do kripli wyjeżdżających z Polic. W tym transporcie było ponad dwustu chorych. Tych, których pozostawiono w obozie, czekał marsz – około 260 kilometrów. Kto nie będzie w stanie iść, zostanie zastrzelony. Zdecydowałem się na pozostanie. Inna decyzja byłaby równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Widząc moje zdecydowanie Bojko poszedł do Kaczyńskiego. Po chwili wrócił, obejrzał moje nogi i stwierdził krwawy wylew III stopnia. Oznajmił, że potrzebna mi jest przerwa w chodzeniu, co najmniej pół roku, a tu wymarsz może nastąpić lada godzina.

Nie było jednak rady, pozostałem na rewirze. Gdy leżałem już w kojku, przyszedł do mnie pochodzący z Płocka Krzysiek i powiadomił, że Kaczyński i Lipcius są chorzy, o jakiegokolwiek wizycie nie mogło być mowy.

Mimo zakazu przyjmowania na rewir, w kojkach zastałem kilkunastu chorych. Transport dopiero co odszedł, dlaczego pozostawiono akurat tych chorych? Wszyscy byli pod życzliwą opieką Kaczyńskiego. Domyślano się, że większość kripli zamiast wysłać do Barth, po prostu zastrzelono.

Noc z 17 na 18 kwietnia przeleżałem w mękach. Miałem wysoką gorączkę. Nogi piekły mnie niesamowicie. Dopiero drugiego dnia pod wieczór Krzysiek przyniósł mi kubek zabiłonej wody i dwa ręczniki, którymi owinął mi nogi. Dał też kubek, żeby sobie pod ręczniki nalewać tej wody tak, aby były one stale mokre. W czwartek 19 kwietnia ból nieco się zmniejszył. Chociaż z trudem, na własnych nogach dowlekłem się do ustępu. Zabieg z wodą przyniósł mi pewną ulgę.

Tymczasem na rewir przybywało coraz więcej chorych. Wszyscy mieli wysokie gorączki. Tyfus. Naprzeciw mnie do kojka położył się pielęgniarz z rewiru dla esesmanów. Sytuacja chorych była beznadziejna. Nikt nami się nie opiekował. Po wyczerpaniu pierwszego zapasu wody, nie mogłem doprosić się o następny. Chorzy fajdali pod siebie lub przy kojku na podłogę.

W piątek rano stało się jasne, że wszystkich chorych wystrzelają. Raz lub dwa razy na dzień zjawiał się Krzysiek, który przynosił po odrobinie jedzenia. W sobotę 21 kwietnia stan chorych wynosił już 23 osoby. Zmarłych nie wynoszono, zalegali w kojkach. Obok mnie leżał Rosjanin Bielajew. W chwilach przytomności zwierzał się, że chciałby bardzo przetrzymać okres słabości i powrócić do domu w Leningradzie, aby świadczyć wszem i wobec o tym, co widział i doświadczył w obozie.

W niedzielę 22 kwietnia przeniesiono mnie do drugiego pomieszczenia, oddzielając od chorych na tyfus. Okna z tego pomieszczenia wychodziły na plac apelowy i podwórze obozowe. Teraz wszystko odbywało się na moich oczach. Do południa Kozłowski ganiał przy przenoszeniu słupów i płyt betonowych. Innym zdarzeniem było wykonywanie wyroków. Krótco po porannym apelu zjawili się kilku esesmanów, w towarzystwie Kozłowskiego zabrali Küblera i rabina, którego „Igiełka” zabronił bić. Kozłowski wieszał obu na szubienicach wzniesionych tuż za drutami obozu, w rejonie nowo wznoszonych baraków. Po godzinie powrócił z esesmanami, tym razem po Ottona Lutza. Teraz nie było go nieco dłużej, aż wszystkich trzech pogrzebano w pobliskim lesie.

W przerwie obiadowej Kozłowski zarządził zbiórkę wszystkich znajdujących się w obozie, z wyjątkiem rewiru. Od tej pory panował nastrój nerwowości. Kozłowski ustawiał cztery setki, które nie były kompletne ze względu na ubytki chorych i zmarłych. Od południa do późnych godzin nocnych fasowano nowe klumpy, koce, chleb i margarynę. Koce rolowano do założenia przez ramię. Do stojących na zbiorce Kozłowski wygłosił dłuższe przemówienie. I tym razem nie obyło się bez bicia. Jednego mocno potłuczono więźnia przyniesiono na rewir. Inni, pokrwawieni, stali w szeregu. Na zbiorce trzymano wszystkich do późnych godzin nocnych w oczekiwaniu na wymarsz.

Na rewirze panował ruch i krzątanina. W skrzynie pakowano leki, opatrunki, sprzęt i obfity suchy prowiant oraz osobiste rzeczy Kaczyńskiego. Na leżących chorych nikt nie zwracał uwagi. Patrząc na to wszystko zastanawiałem się co dalej począć. Iść w drogę – na chorych nogach nie wytrzymam, pozostać na rewirze – zastrzelą.

Okolo jedenastej wieczorem do pomieszczenia chorych przyszedli Bojko, Szaszka i kilku hilfskapo, wszyscy z plecakami. Na pustych kojekach położyli się w ubraniach oczekując na alarm i wymarsz. Z godziny na godzinę sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Pytałem wszystkich po kolei, o czym mówiono na zbiórce. Pytania zbywali jednak milczeniem. Znużony zasnąłem. Pod kojkiem miałem związane stare pasiaki i klumpy.

W poniedziałek 23 kwietnia, wczesnym rankiem, poszedłem na przegląd sytuacji. Zajrzałem do pomieszczenia, gdzie leżeli chorzy na tyfus. Smród z nieuprzątniętych ekskrementów i rozkładających się trupów zagęścił powietrze. Wśród bardziej przytomnych chorych panowało podniecenie. Młody chłopiec nazwiskiem Kosieradzki¹⁹⁰, ostatni z rodu – ojca i braci wymordowano już wcześniej – przywdziewał czarny kostium kąpielowy przysłany w paczce z domu. Zapytałem, po co to robi. Odpowiedział, że za dwa lub trzy dni wyjdzie z rewiru, a nie chce, żeby mu ten kostium zabrano, bo otrzymał go od matki. Do niedawna Kosieradzki opiekował się Kaczyński, teraz zostawił go własnemu losowi.

Powróciłem na stare miejsce, wyjrzałem przez okno. Na podwórzu stały gotowe do wymarszu cztery niekompletne setki. Pobierano chleb i margarynę na śniadanie. Kozłowski krążył wokół kolumny licząc bez ustanku. W tym momencie do pomieszczenia dla chorych przyszedł Bojko.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytałem.

– Wymarsz nastąpi lada chwila – odpowiedział. – Kaczyński, Lipcius i kapo nadzorujący rewir pojedą samochodem. Wszyscy inni mają iść pieszo.

Niebawem pospiesznie wpadł do mnie Janek Pawlik, pożegnał się i wziął adres do rodziny, aby zawiadomić ją o moim losie. Zaraz po nim przyszedł SS-Unterscharführer nadzorujący rewir. Zapytałem go po niemiecku, czy chorych wywiozą. Odburknął pod nosem „zum Gott”¹⁹¹, trzasnął drzwiami i poszedł. Zostałem sam. W tym momencie podjąłem desperacką decyzję, wyciągnąłem spod kojka pasiaki, wdziałem je i wyszedłem. Dołączyłem do ostatniej setki, trzy pierwsze były już za bramą. Współtowarzysze niedoli witali mnie jak powracającego z tamtego świata. Tak jakoś złożyło się, że wokół mnie wszystkim poweselały twarze. Ucieszyli się z mojego powrotu. Wszedłem w sam środek kolumny, ustąpiono mi miejsca. Stałem obok Usarka. Najpierw zdziwił się na mój widok, następnie dał mi jedną trzecią bochenka chleba, ponieważ wyszedłem za późno i nie mogłem fasować.

Obejrzałem się na bloki. Na podwórzu pozostała grupa trzydziestu więźniów do robót porządkowych przy likwidacji obozu. Szukałem wzrokiem Janka Pawlika, ale on już był za bramą, w jednej z pierwszych setek. W ostatniej chwili przyszedł Kozłow-

¹⁹⁰ Lucjan Kosieradzki – ur. 12 III 1923 r., więzień KL Stutthof nr 35819.

¹⁹¹ (niem.) Do Boga.

ski. Spojrzał po kolumnie, spotkaliśmy się wzrokiem, ale było już za późno na dalsze sprawdzanie. Padła komenda do wymarszu. Kolumna z wolna ruszyła.

Przy bramie stał „Igiełka”, przyglądał się postawie maszerujących. Chociaż był to dopiero początek marszu, na twarzach więźniów szeregowych widoczne było zmęczenie i przygnębienie. Wielu z nich powłóczyło nogami. W obozie przy bramie stał także pisarz Schneider. Mówiono, że został, by zniszczyć akta obozowe, zatrzeć ślady popełnionych zbrodni. Miał później dołączyć do ewakuowanych, co nie nastąpiło.

W grupie maszerował Henryk Ryll¹⁹². Jego syna Andrzeja¹⁹³ zamęczono na oczach ojca krótko przed ewakuacją obozu. Młody Ryll podobno był zamieszany w robienie notatek o stanie więźniów razem z Przyklenk-Frankowskim, z którym pracował w Brotkammer. Starszego syna Rylla zamordowali Niemcy w karcu na Pawiaku.

Obóz opuszczano przy wtórze wystrzałów zza Odry. Rosjanie ostrzeliwali Police i ruiny zakładów. Niektóre pociski eksplodowały przy drodze z Mścięcina do Polic. Ranek zapowiadał się pogodnie i mimo wszystko zachęcał do drogi.

Za drutami obozu, na górcze, stały cztery niewykończone baraki szykowane dla esesmanów. Dwie szubienice wzniesione dla Küblera i rabina sterczały nieuprzątnięte. Bunkier, który służył esesmanom i prominentom podczas alianckich nalotów, pozostał na pamiątkę tamtych dni.

Choć trudy podróży stwarzały wizję ciężkich doznań, obóz w Mścięcinie więźniowie opuszczali z uczuciem ulgi.

¹⁹² Henryk Ryll – ur. 10 VI 1899 r., więzień KL Stutthof nr 35945.

¹⁹³ Andrzej Ryll – ur. 12 XII 1924 r., więzień KL Stutthof nr 35944.

Rozdział IV

Droga donikąd

Opuszczając obóz w Mścięcinie, skierowano kolumnę najpierw na miasto Police, a następnie – za wiaduktem drogowym – skręcono w lewo przez osiedle do Tanowa. Ulice w Policach były puste. Z rozwalonego częściowo domu wyrzało lęklive dwoje ludzi. Wyglądali oni na obcokrajowców. Widząc groźną postawę eskorty szybko cofnęli się i ukryli wewnątrz budynku. Wyglądało na to, że miasto było ewakuowane.

Z Tanowa skręcono na zachód w kierunku Ueckermünde. Podczas marszu, podobnie jak w obozie, wśród więźniów występowały rażące kontrasty. Idący w czwartej setce kapo Kaczmarek i jego „pipel” nieśli wypchane plecaki. Rażno stawiając kroki i pogwizdując, patrzyli zuchwale na więźniów powłóczących nogami. Przechodząc w pobliżu starego obozu znalazłem kij, który stał się mi bardzo pomocny przy stawianiu chorych nóg. Kaczmarek, widząc mój przykry stan, zachęcał mobilizująco do stawiania nóg prosto:

– Do góry głowy, śmiało przebierać nogami. – Więźniowie szeregowi, słysząc taką zachętę, patrzyli nań z zawiścią.

Pierwszą krótką przerwę zarządzono po kilku kilometrach marszu, drugą po dalszych dziesięciu. Odpoczynek odbywał się pod lasem. Teraz wszyscy byli bardzo zmęczeni. Ze mną było bardzo źle. Poprosiłem esesmana, żeby mi pozwolił odejść na stronę. Zgodził się. Kucnąłem przy drzewie. Podnosząc się objąłem drzewo oburącz, tak powoli powróciłem do postawy stojącej. Patrząc na moją mękę esesman powiedział:

– Auf solchen Füßen willst du noch weiter gehen?¹⁹⁴ – Milczałem. Podpowiedział mu drugi z eskorty:

– Schieß ihn tot, das wird besser¹⁹⁵. – Pilnujący mnie pokiwał głową i pozostawił w spokoju. Powróciłem na stare miejsce w kolumnie.

Trzeci etap marszu pierwszego dnia odbywał się już ze spuszczoneymi głowami. Zamilkli wszyscy, nawet kapo i „pipel”. Skupiłem siłę woli, żeby dojść do postoju na noc. Każde moje stąpienie było bolesne. Przed miejscowością Hintersee maszerującą kolumnę dogonił samochód wiozący lekarzy Kaczyńskiego i Lipciusa oraz kapo Niemca z rewiru.

O dobrej szarówce weszliśmy na teren osiedla. Minęliśmy tartak. Dalej idąc po drodze brukowanej polnym kamieniem, doszliśmy do większego placu przed kościołem. Tu stała już polowa kuchnia, z której esesmanom wydano zupę i kawę. Resztę zupy

¹⁹⁴ (niem.) Na takich nogach chcesz iść dalej?

¹⁹⁵ (niem.) Zastrzel go, tak będzie lepiej.

rozdzielono między kapo i funkcyjnych. Więźniowie szeregowi, pobici mocno przez Kozłowskiego, wracali z pustymi miskami. Niektórym udało się zdobyć trochę kawy. Na tym postoju dotarła do kolumny wiadomość, że pozostali na rewirze chorzy w liczbie 25 zostali zastrzeleni i spaleni.

Już było dobrze ciemno, kiedy ryczący Kozłowski zarządził zbiórkę. Tą samą drogą wrócono do tartaku. Wszystkich więźniów wprowadzono do dużej szopy i zarządzono „spać!”. Dla więźniów szeregowych wyznaczono przestrzeń dość ograniczoną tak, że podczas snu w zbitej gromadzie nie można było wyprostować nóg.

Wtorek 24 kwietnia. Skoro świt w szopie rozległo się głośne „aufstehen!”. Z dużym wysiłkiem podnoszono się po źle przespanej nocy. W głowie szum, nogi opuchnięte, czy wytrzymam? Nie tylko ja, ale większość więźniów stawiało takie pytanie, chociaż mieli nogi zdrowe. Przed szopą zbiórka piątkami w kolumnie marszowej.

Przed wschodem słońca szare mgły spowiły swoim welonem ziemię. Poranny chłód trzeźwił i ożywił. Przy formowaniu kolumny marszowej „Kozioł” szalał, wymachując grubym kijem na prawo i lewo. Każdy jego cios był bolesny. Pochód ruszał bez krztyny chleba i kubka kawy. Mijano wczorajsze miejsce postoju. Na placu przed kościołem pozostały ślady po kuchni. Trochę kawałków niedopalonego drewna i rozsypanej słomy. Przed domami stały konie w uprzęży lub zaprzężone do wozów naładowanych domowym sprzętem i pościelą. Stare kobiety lękliwie wyglądały zza opłotków, patrząc na pochód więźniów. Tak więc i tu, w Hintersee, z brzaskiem dnia ewakuowano ludność cywilną.

Za osiedlem kolumna szła raźniej. W porannych promieniach słońca mgły ustępowały, robiło się coraz cieplej. Niedaleko za osiedlem droga wiodła przez las. Nad wierzchołkami drzew zauważono wzbijające się ku górze dymy. Chrzęst uprzęży i parskanie koni. Głosy ludzkie, dochodzące z lasu, wskazywały że tutaj przebywali uciekinierzy z dalszych stron i rozłożyli się obozowiskiem w lasach szukając schronienia. Jedzenie gotowali w kociołkach sposobem Cyganów.

Kozłowski pilnował porządku w kolumnie. Szedł to na przedzie, to po bokach, trzymając w ręku gruby kij. Więźniowie, co silniejsi, przepychali się do przodu. Chodziło o to, żeby nie pozostać z tyłu, gdzie groziło zastrzelenie. Setki się wymieszały. Kapo, hilfskapo i funkcyjni kroczyli w pierwszych szeregach, nadając dość ostre tempo marszu. Zdrowi, silni, podpasieni mieli siłę. Więźniowie szeregowi ledwo nadążali, męcząc się potwornie. Nikt nie chciał zostać maruderem. Stąd ciągłe zamieszanie i interwencja Kozłowskiego.

Pierwszą przerwę zarządzono dopiero około godziny dziesiątej przed południem. Wtedy zjadłem ostatnią małą kromkę chleba, otrzymaną jeszcze w obozie od Usarka. Kiedy wznowiono marsz trudno było się podnieść. Opuchnięte nogi sztywniały coraz bardziej. Zarządzono jeszcze dwie przerwy, ale dawały one tylko znikomą ulgę. Po drodze mijano miejscowości ewakuowane wcześniej lub znajdujące się w czasie ewakuacji – Ahlbeck, Eggesin i pomniejsze. Drugiego dnia marszu, na ostatnim odcinku drogi, zmęczenie ogarnęło wszystkich. Esesmani też ledwie poruszali nogami.

24 kwietnia miał się ku końcowi. Ognista kula słońca w krwawej czerwieni, odbijała blaski znad horyzontu. W takiej scenerii ujrano kontury miasta Ueckermünde. Krok za krokiem kolumna zbliżyła się do rzeki Wkry. Przed drewnianym mostem kolumnę zatrzymano. SS-Transportführer¹⁹⁶ poszedł do miasta zasięgnąć języka. Stojąc patrzyliśmy w toczący się leniwie nurt rzeki. Most już mocno zniszczony, z jednej strony miał podwyższenie na chodnik dla pieszych. Na dany znak kolumna ruszyła. Na most wprowadzano trójkami. Próbowałem wejść na chodnik, nie mogłem jednak podnieść nogi. Moją mękę widział funkcjonariusz Schutzpolizei¹⁹⁷, stojący z drugiej strony mostu. Gdy po chwili mijiałem go, spojrzał na mnie i wykręcił się tyłem z charakterystycznym grymasem na twarzy. W mieście ulice były wąskie, z rynsztokami, zaśmiecone. Domy jedno- i dwupiętrowe. Nieliczne sklepy zamknięte. W witrynach sklepowych gdzieniegdzie zakurzone lalki i zabawki dziecięce. Trochę przyborów szweskich do naprawy obuwia. W sklepach spożywczych witryny puste, trochę reklam. Na ulicach ludzi niewiele. Ich twarze obojętne lub wrogie.

Kolumna więźniów przetoczyła się przez prawie pusty Rynek. Wychodząc z miasta SS-Transportführer ponaglał. O zmierzchu, kilka kilometrów za miastem, zatrzymano kolumnę przy zabudowaniach folwarcznych. Wyczerpanie więźniów było ogromne. Mimo zakazu, jak ścięte kloce kładziono się na ziemię. Cały dzień maszerowano o głodzie. Po upływie kilkunastu minut więźniów wprowadzono do szopy, gdzie było trochę słomy. Dopiero teraz nastąpił upragniony odpoczynek. „Piple” rozkładali plecaki, wyjmując chleb, margarynę, wędlinę, sztuczny miód i inne specjały, racząc tym swoich kapo. Więźniom szeregowym głód skręcał kiszkę. Widok tego jedzenia przyprawiał ich o jeszcze większe męki, dlatego patrzyli na swoich ciemźycieli z głęboką wrogością. W sytuacji uprzywilejowanej znajdowali się Pflegrzy i usługujący w rewirze. Ekipa ta, oprócz zapasów żywności ciągnionej ze sobą na wózku, korzystała na postojach z przydziałów zupy, kawy i słodkiej wody, o którą było bardzo trudno.

Na noc obok mnie z jednej strony położył się Usarek, z drugiej inny więzień, płocczanin. Usarek, choć był w dość dobrej formie, nie mógł zdobyć nigdzie wody, zjadał więc swój zapas chleba na sucho. Od prowiantu rewiru był odsunięty. Płocczanin, podobnie jak ja, znajdował się w stanie dużego wyczerpania. Przez spieczoną usta powiedział:

– Taka ich kapo i doktorska mać. Przed tym nas bili i zamęczali na śmierć, za te zasługi dobrze im się działało, a i teraz mają zapasy chleba, margaryny, wędliny dla siebie i swoich „pipli”. Ponadto korzystają z prawa pierwszeństwa do kuchni. Ciągną za sobą wózek pełen żarcia. Z nikim się nie podzielą. Jeżeli przeżyjemy, to zobaczycie – pierwsi będą rozpychali się w organizacjach kombatanckich i związkowych, przypisując sobie wielkie zasługi przy ratowaniu cierpiących lub w tak zwanym ruchu oporu, który naprawdę ani w Stutthofie, ani w Policach nie istniał. Znamy się na tym... – Zaciśnął wargi i zgrzytnął zębami. Po krótkiej przerwie dodał cicho: – Kolego, jeżeli uda się nam wyjść cało, takich będziemy skracali o głowę. To im się słusznie należy.

¹⁹⁶ SS-Transportführer – esesman kierujący transportem więźniów.

¹⁹⁷ Schutzpolizei, Schupo – (niem.) Policja Ochronna działająca w miastach liczących powyżej 5 tys. mieszkańców, wchodząca w skład Policji Porządkowej (niem. Ordnungspolizei, Orpo).

Usarek wyszedł. Leżeliśmy z płocczaninem jakiś czas milcząc. Zdawało mi się w owej chwili, że obaj myślimy o tym samym... Płocczanin jakby coś sobie przypomniał:

– Na postoju – mówił – prosiłem Kaczmarka, żeby mi dał dwa łyki wody. Nie dał...

Układając się do snu zdjąłem płaszcz i drewniaki, zawinałem w kłębek i położyłem pod głowę. On poszedł za moim przykładem. Kiedy już jako tako się ułożyliśmy, do szopy wpadli „Gruby Jurek” i kapo Niemiec z rewiru. Bijąc nas kijem wpędzili na zbitą gromadę leżących pokotem więźniów z innych setek. Podniosłem się. Boso trudno było wykonać kilka kroków, gdyż na stopach pod skórą potworzyły się wodniste bąble. Z trudem wcisnąłem się między leżących, ustąpili mi trochę miejsca. Usarek, który długo siedział w latrynie i uganiał się koło kuchni za słodką wodą, deptał teraz po nogach innych, żeby do mnie dobrnąć. Jeszcze więcej się ścisnęliśmy, dając mu kilka centymetrów miejsca. Przyniósł kilka łyków wody i dał mi się napić.

„Gruby Jurek”, Kamiński i Bojko przynieśli pęczek słomy i rozłożyli go na naszym miejscu. Zapytałem Usarka:

– Dla kogo szykują takie wygodne spanie?

– Jak to dla kogo? Samochodem przyjechali Kaczyński i Lipcius, muszą wygodnie przespać się. Nie znacie ich czy co? Pan doktor musi się rozebrać, wygodnie położyć na kocach i kocami przykryć. To nie lekarz, to kapo... W tym miejscu, gdzie spało ich pięciu, starczyłoby miejsca na czterdziestu chłopca.

Znużony i wyczerpany szybko zasnąłem. Kiedy się ocknąłem, musiało już być nad ranem. Inni spali twardo świszcząc przez nosy. Położyłem się i zasnąłem po raz drugi. Nawiedził mnie sen. W pobliżu morza widziałem las i na jego tle wynurzyła się postać mojej żony. Patrzyła na mnie swymi dobrymi oczyma, pokazywała mi córkę urodzona na Pawiaku. Twarz miała wymizerowaną. Wokół panował spokój. Wszystko to trwało krótko. W innym miejscu na brukowanej drodze, widzę siebie, jak gubię pasiaki... Obraz zniknął.

Głośne „aufstehen!” poderwało śpiących. Kozłowski, dwóch kapo i esesmani krzykali: „tempo, tempo – wychodzić!”. Eskorta ustawiona pod szopą czekała. Stojącym w kolumnie marszowej wydano po jednej trzeciej bochenka chleba i po kubku kawy. W pośpiechu opuszczano miejsca noclegu. Esesmanów wyposażono w broń maszynową i pancerna. Podzielono ich na dwie grupy. Jedna grupa pełniąc eskortę pilnowała więźniów, druga ładowała się na samochód, którym podwożono ich na miejsce nowego postoju. Również kuchnię i sprzęt oraz żywność podwożono samochodem. Na tym samochodzie Żurawski i dobrani pomocnicy pichcili po drodze zupę i kawę dla esesmanów i prominentów.

Pochód ruszył przed wschodem słońca. Idąc wśród pól czuło się nieco raźniej. Pogoda dopisywała. Po wyjściu na szosę skręcono na zachód. Strzałka na słupie wskazywała kierunek Ducherow. Szosa wąska po obu stronach wysadzana drzewami. Usarek zagadywał mnie swoimi spostrzeżeniami, ale rozmowa w marszu nie kleiła się. Przy zbliżaniu się do lasu zwłaszcza maruderów ogarniał lęk. Obawiano się bowiem, że pozostałych w tyle rozstrzelają. Usarek, podczas tej końcowej fazy ewakuacji, zmienił się nie do poznania. Ogarnął go pesymizm. To nie był już ten Usarek, który w rewirze skrupulatnie

mierzył gorączki, przyspieszając wyrzucanie chorych z rewiru do robót. Trudy ponoszone wspólnie z więźniami szeregowymi, uczyniły z niego człowieka ludzkich uczuć i pojęć. Zrozumiał zbydlęcenie kapo i wszelkiej maści funkcyjnych, także na rewirze.

Pierwszą przerwę (godzinną) zarządzono za miejscowością Ducherow. Na tym od-poczynku, dla odwrócenia uwagi od rzeczywistości wskazywałem na prasłowiański charakter tych obszarów. Można to było dostrzec po nazwach mijanych wiosek, takich jak Jasenitz (Jasieniec), Janow (Janów), Ducherow (Duchorze) i inne. Tymczasem stan moich nóg stawał się coraz bardziej przykry. Nawet esesmani dziwili się, że do tej pory wytrzymuję trudy marszu.

Po przerwie wzięto kierunek na Anklam. Wsie widoczne z szosy, które mijaliśmy, wyglądały jak wyludnione, Szosa wiodła przez dużą wieś o nazwie Alt-Kosenow, mijając ją i tu nie zauważono jakiegos życia. Z rozmów między esesmanami, które w strzę-pach docierały do moich uszu, wynikało, że miejscową ludność wypłoszył lęk przed bolszewikami.

Dopiero w godzinach przedwieczornych kolumna dotarła do miasta Anklam. SS-Transportführer zatrzymał kolumnę przy moście w miejscu, gdzie wody rzeki Piany wlewały się do zatoki, sam poszedł do miasta zasięgnąć języka. Stojąc – siadać nie było wolno – nogi drętwiały z bólu. Przy brzegu w zatoce stały liczne barki i kilka niewielkich statków śrubowych pod parą. Nieopodal starego piętrowego spichrza woda rozlewała się szeroko, ale była płytka. Tu, w odległości około 15 metrów od brzegu, w wodzie stała ubrana kobieta, jęczała wyrывая sobie włosy z głowy. Na brzegu stała większa grupa ludzi i przyglądała się tej scenie. Esesman z eskorty zapytał chłopaka:

– Ist sie verrückt?¹⁹⁸

– Ja¹⁹⁹. – padła odpowiedź. Po kilkunastu minutach powrócił SS-Transportführer i poprowadził kolumnę przez miasto w kierunku północnym.

Z trudem wlokąc nogi po ulicznym bruku wielu więźniów dosłownie mdlało. Resztki zebranej woli utrzymywały ich jeszcze w szeregu. Tej tragicznej scenerii przyglądali się przechodzący obok Niemcy. Inni patrzyli z otwartych okien domów, ale nigdzie nie można było dostrzec okrucucha współczucia. Nikt nie usiłował podać nawet kubka wody.

Za miastem rozpościerały się pola uprawne. Rysujące się na horyzoncie zabudowania były odległe o około 5 kilometrów. Zmierchało. SS-Transportführer zarządził jeszcze jedną przeprawę. Kazał siadać po obu stronach szosy. W rowach porośniętych świeżą trawą zastano trochę deszczówki. Odczepiłem od pasa miskę i zaczerpnąłem wody. Nareszcie można się napić! Następnie położyłem się na brzuchu i piłem, piłem... Pod koniec zauważyłem w wodzie dużo mniejszych i większych robaków. Zaczerpnąłem ponownie wodę miską, ale teraz robaków było co niemiara. Robaki te były tak żywotne, że wylażyły na krawędź miski.

Jeden z eskortujących esesmanów spojrział na zegarek i głośno powiedział, że już jest godzina ósma wieczór. Na tym postoju większość więźniów raczyła się wodą z rowu. Jed-

¹⁹⁸ (niem.) Czy ona zwariowała?

¹⁹⁹ (niem.) Tak.

ni czerpali miskami, inni kładli się na brzuchu i pili. Ostrzegąłem, że w wodzie znajduje się dużo robaków, ale na ten szczegół nikt nie zwracał uwagi.

Po odpoczynku w wieczornym chłodzie można było jeszcze iść dalej. Ale droga jakby się wydłużała. Minęła godzina marszu, po niej druga. Na szosie spotykano działa skierowane lufami na Anklam. Skrzynie z amunicją stały pod drzewami przydrożnymi. Na polach, w niewielkiej odległości od siebie, można też było zauważyć działa na stanowiskach ogniowych. Obsługa dział nieliczna, po dwóch lub trzech żołnierzy na jedno. Szosa wiodła po terenie falistym, raz pod górkę, to znowu w dół.

W odległości około 10 kilometrów od miasta Anklam, z prawej strony szosy, napotkano zabudowania folwarczne. I to miejsce mijaliśmy. Z lewej strony szosy, pod wzgórzem, widać było obozowisko uciekinierów. Palili ognisko i gotowali w kociołkach posiłek. Konie i wozy ustawili kilka metrów od ogniska. Znajdowaliśmy się teraz w strefie przyfrontowej. Także na szosie można było spotkać coraz więcej uciekinierów. Kilka razy zmienialiśmy kierunek marszu. Zeszliśmy z szosy. Gościńcem doszliśmy do jakiejś wsi. Chaty kryte słomą. Za wsią widać polną drogę, którą doprowadzano kolumnę do samotnie stojącej w polu stodoły. W odległości około 500 metrów stamtąd znajdowały się zabudowania folwarczne.

Kazali wejść do stodoły i kłaść się spać. Kozłowski kilku więźniów wygonił do kąpienia latryny. Kaczyński, Lipcius i Niemiec kapo z rewiru dawno tu już odpoczywali przywiezieni samochodem. Kolację otrzymali esesmani i kapo, więźniowie szeregowi – jak zwykle – nic. Usarek, który nieźle znosił trudy podróży, zostawił przy mnie swoje kłamoty i poszedł na poszukiwanie wody. Udało mu się i dostał miskę zupy z pozostałości po esesmanach. Usiadł pod stodołą i zjadł. Wrócił, nabrał wody i przyniósł. Zadowolony z siebie powiedział:

– Widzisz, dostałem miskę zupy, ale żeby przynieść wody musiałem ją zjeść. Napij się, ja pójdę jeszcze raz. – Poszedł, ale po zupie nie został nawet ślad. Z trudem wygramoliłem się z sąsiedka i wyszedłem za stodołę. W miejscu, gdzie była kuchnia, znalazłem trochę czerwonej wody i umyłem twarz – to mi pozwoliło lepiej rozejrzeć się po świecie. Leżąc już na słomie, Usarek tłumaczył się, że chciał mi dać trochę zupy, ale tak się jakoś złożyło. Nie miałem do niego żalu. Skoro on sam uznał, że wystarczą dobre chęci... Mimo wszystko tak mi jakoś w oczach zmałał. Widział mój tragiczny stan. Nogi opuchnięte krwią sinoczną zastygłą pod skórą, na stopach bąble, pod pachami guzy od podpierania się kijami (szedłem o dwu kijach). Siłą woli walczyłem ze śmiercią.

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Gdy inni chrapali, ja przewracałem się z boku na bok. Nogi piekły i drętwiały. Miotają mną wątpliwości, czy o świecie zdołam dalej maszerować. Za stodołą słychać było rozmowy esesmanów. Obstawiali stodołę. Kaczyński i związani z nim prominenci ze stodoły zniknęli. Zanosilo się na to, że do stodoły wrzucą granaty na śpiących więźniów i potem wszystko podpalą. Upłynęło jeszcze dalsze pół godziny, uciszyło się na dobre. Po tym incydencie do rana czasu pozostało niewiele.

Z półsnu obudziła mnie pobudka. Kozłowski ryczał jak zwykle. Nie wszyscy mogli stanąć w kolumnie marszowej, dwóch więźniów pozostało w stodole. Kaczyński stojąc w samochodzie pocieszał, że do pokonania pozostało jeszcze około 120 kilometrów.

Stojąc w kolumnie marszowej dostaliśmy po 1/3 bochenka chleba. Zanim wydano po kubku kawy Kozłowski zapytał:

– Kto nie może iść dalej, niech wystąpi. – Wystąpiło pięciu. Kaczyński patrząc z samochodu jednego zawrócił do szeregu, czterech pozostało. Do nich dołączył kapo z rewiru Niemiec poprowadził tamtych pod stodołę. Jakiś instynkt mnie ostrzegł, żeby nie występować.

Kolumna ruszyła polnymi drogami. Uszliśmy nie dalej niż 300 metrów, nagle rozległy się strzały z broni maszynowej. Kripli zastrzelił SS-Transportführer, a Niemca kapo puścił wolno. Po dojściu do szosy zarządzono przerwę. Słup kierunkowy wskazywał 10 kilometrów do miasta Anklam. Czekano na SS-Transportführera.

Pogoda dopisywała w dalszym ciągu. Poranne mgiełki unosiły się z lekka ku górze. Słońce tu i ówdzie przerzucało promienie przez chmury. Chmur przybywało, ale powietrze było orzeźwiające. Po przerwie wzięto kierunek na Greifswald. Orientując się po drogowych słupach kolumna maszerowała około 3 kilometry na godzinę. Fakt zastrzelenia kripli działał mobilizująco na pozostałych. Każdy starał się iść o własnych siłach. W kolumnie zastanawiano się, czym Kaczyński zasłużył sobie u Niemców, że od etapu do etapu wożą go samochodem. Wiadomo było, że Lipcius korzysta z okazji. Mimo że zrobiono już wiele kilometrów, mimo pierwszych ofiar – Kaczyński i jego ekipa nikomu nie udzielili nawet pomocy doraźnej. Co rozsądniejsi więźniowie stawiali pytanie: po co ta komedia z lekarzem? Mimo zubożenia na objawy śmierci, tragizm położenia dla wielu był tak dotkliwy, że śmierć zaglądała im w oczy dosłownie na każdym kroku. Nawet sami członkowie SS-Totenkopfverbände prowadzący eskortę zwalniali kroku, patrząc na mękę powłóczących nogami, ich rozgorączkowane twarze i blade mętne oczy. W ciągu dnia zarządzono trzy półgodzinne przerwy. Miało się już ku wieczorowi, kiedy kolumna minęła las i znalazła się przed Greifswaldem. Jeszcze raz zarządzono krótki odpoczynek. Wkraczając do miasta poprowadzono kolumnę wzdłuż torów bocznic kolejowej, gdzie grupa cywilnych robotników i żołnierzy francuskich ładowała do wagonów kartofle i buraki. Mijając ich widzieliśmy, jak spontanicznie przerwali robotę i przyglądali się nam z dużym zaciekawieniem i życzliwością. Chwycili za buraki zamierzając rzucić je w kolumnę, ale groźna postawa eskorty odwiodła ich od tego. Dwa czy trzy buraki i tak znalazły się w rękach więźniów.

Greifswald różnił się znacznie od poprzednio mijanych miast. Ulice pozamiatane, przed domami założone kwietniki, w Rynku ogródki kawiarniane na wolnym powietrzu – puste. Na skwerze cokolwiek po zdjętym pomniku²⁰⁰. Gdy szliśmy wąskimi uliczkami Starego Miasta, wielu Niemców po obu stronach ulicy przyglądało się pochodowi więźniów. Jedni patrzyli z politowaniem, inni z nienawiścią, a jeszcze inni całkiem obojętnie. Między przechodniami znajdowali się ranni niemieccy żołnierze. Tuż za miastem drogowszak i napis z kierunkiem na Grimmen, odległość 50 kilometrów. Przemarsz przez Greifswald trwał około godziny. Chociaż kolumna posuwał się wolno, zrobiono co najmniej w ciągu tego czasu około 2 kilometrów. Przed wymarszem z miasta zatrzymano

²⁰⁰ Zapewne chodzi o pomnik-fontannę ku czci poległych (Kriegerdenkmal), który ozdobiony był postacią bogini zwycięstwa.

kolumnę, czekając na SS-Transportführera. Przechodzący obok Niemcy zwalniali kroku i przyglądali się więźniom. Jedna z Niemek zatrzymała się w pobliżu. Eskortujący esesman poprosił ją o papierosa. Ona odpowiedziała:

– Dam ci papierosa, tylko wystrzelaj tych bandytów. – Pokazując na mnie palcem, dodała: – To są Polacy, mają czerwone winkle i litery „P”, tak jak ten.

Esesman tłumaczył się, że to nie od niego zależy, ale nie jest wykluczone, że Polaków i Ruskich wystrzelają. Po tym zapewnieniu papierosa otrzymał. Pochód niebawem ruszył. Za miastem zarządzono jeszcze jeden odpoczynek. Tu esesmani zdejmowali sobie buty i przyklejali do nóg plastry na bąble, to powodowało wolniejsze tempo marszu.

O zmierzchu pochód ruszył dalej. Tego dnia noc zapadała szybko, była ciemna bezksiężycowa, z lewej strony szosy w kierunku na Grimmen zdawało się, że płonął horyzont. Ciemności rozdzierały błyski wystrzałów armatnich i huk odpalanych pocisków. To strzelała artyleria niemiecka. Dopiero około godziny jedenastej w nocy zarządzono przerwę. Tej nocy maszerowano przy akompaniamencie działania artylerii. Na skrzyżowaniu dróg *vis-à-vis* stacji benzynowej wyszukano jakąś stodołę. Tu wpakowano wszystkich. Miejsca było niewiele. W ciemnościach jeden deptał po drugim. „Kozioł” grzmocił kijem dopychając tych, dla których zabrakło miejsc. Na mnie położył się jakiś Ruski. Nie mogłem oddychać. O wyprostowaniu nóg nie było mowy. W tym mętliku dochodziło do bójek między sobą. Przekleństwa sypały się obficie. Uciszyło się dopiero po północy. Ciężkie były przeżycia poprzednich dni, ten miniony wydawał się jednak najcięższy.

Następnego dnia wczesnym rankiem, ledwie na horyzoncie pojawiły się pierwsze poranne zorze, donośne „antreten!” wyprowadziło więźniów z kilkugodzinnej ciasnoty do dalszego marszu. Ruszono w dalszą drogę bez chleba i kawy, nawet bez kropli wody. Pierwszą przerwę zarządzono dopiero około godziny dziewiętej. Od ostatniego etapu uszliśmy dziesięć kilometrów. Patrząc po twarzach zmęczenie ogarnęło wszystkich, niektórym oczy zachodziły mgłą.

Po krótkim odpoczynku z szosy skręcono w drogę boczną. Jakiś czas maszerowano drogą wiodącą przez las, dalej skończyły się sosny i pokazały olchy. Teren był bagnisty, droga wyłożona okrągłakami ściętych sosen. Teraz zmieniła się na piaszczystą i pod górkę. Ten odcinek był jeszcze bardziej uciążliwy. Wreszcie pojawił się stary sosnowy las. Z prawej strony, na odcinku wyłożonym okrągłakami, mijaliśmy dużą grupę estońskich legionów Waffen-SS, którzy rozłożyli się obozem. Niektórzy zdjęli buty i moczyli nogi w jezioru, inni spali. Karabiny ustawili w kozły.

Tuż za lasem zarządzono krótką przerwę, czekając na SS-Transportführera. Wkrótce zjawił się on na motorze i skierował kolumnę do stojącej w pobliżu stodoły. Zarządził przerwę na dłuższy odpoczynek. Orientując się według słońca chyba była już godzina trzecia po południu. Tu po raz pierwszy wydali po kilka solonych szprotek i fłader oraz chleb na dwa dni. Nie gonili, wszystko to można było zjeść spokojnie. Słone rybki zjadano z ośmi tak, żeby ani krztyny nie uronić z przydziału. Zanosilo się rzeczywiście na dłuższy odpoczynek. Obliczono, że do celu odległość wynosi jeszcze około 60 kilometrów. Po zjedzeniu słonych rybek pragnienie wzrosło. Próbowano na własną rękę poszukać wody do picia, nic z tego. Dopiero przy eskorcie esesmana przynoszono ze

studni wodę, którą esesman przydzielał po misce za kolejką. Mając w misce wodę zastanawiałem się, wypić wszystko czy zostawić trochę do mycia? Pragnienie zwyciężyło. Na tym postoju Bojko robił opatrunki. Zgłaszali się do niego co ważniejsi kapo i funkcyjni. Więźniowie szeregowi stali obok, czekając cierpliwie na koniec.

Za namową Usarka poszedłem na punkt opatrunkowy. Musiałem wyglądać tragicznie, skoro stojący na uboczu Kaczyński zainteresował się moim stanem. Kiedy pokazałem mu moje obie nogi był wstrząśnięty. Kazał Kamińskiemu na obie nogi zrobić mocne opatrunki. W tym czasie zapytał, jakby od niechcenia:

- Wytrzymasz do końca?
- Nie wiem – odpowiedziałem.
- Czy wiesz, co cię czeka, jeśli nie dojdiesz?
- Tak, wiem.

Opatrunki zrobiły swoje. Nogi dotąd jakby znieczulone, wracały do stanu żywego. Krew poczęła krążyć wywołując ostry ból. Usarek zapewnił mnie, że to dobry objaw. Tej nocy spałem spokojnie.

Pobudkę urządził Kozłowski o godzinie ósmej rano. Była to już sobota 28 kwietnia. Dzień zapowiadał się chłodny i wietrzny. Mimo to niektórzy więźniowie kąpali się w przylegającym do podwórza stawiku. Woda była w nim mocno zanieczyszczona, sięgała krowom po wymiona. Z tej kąpieli nie mogłem skorzystać. Nie pozwalały mi na to świeżo założone bandaże sięgające od kostek po kolana. Umyłem się tylko do połowy. Ruski jak zwykle psim śwędem nawiązali kontakt z niemieckimi dzieciakami. Przychodziły one pod drut przyglądać się więźniom. Wyzebrali od nich trochę kartofli i słodkiej wody, rozpalili kilka ognisk. Dzieciaki obracały do domu po kilka razy przynosząc w kieszeniach kartofle. Esesmani udawali, że tego nie widzą. Wszystko trwało krótko. Na podwórze wpadł Kozłowski, ogniska porozwalał, kartofle z misek powyrzucał. Kto nie zdążył uciec, dostał gumą po głowie.

Przed zabudowaniami niemieckimi stały konie zaprzężone do wozów, naładowanych pościelą i wszelkim sprzętem, gotowe do drogi. Oczekiwano na alarm. W godzinach południowych więźniom wydano po pół litra rannej kaszki na słodko. Gorąca zawieszista kaszka sprawiła dużą ulgę i lepsze samopoczucie. Na drogę wydano jeszcze po kawałek chleba i kiszki.

W czwartej setce maszerował płocczanin Michał Dulęba, którego poznałem bliżej w Mścięcinie na bloku u Kaczmarka oraz podczas pracy w komandzie Bolka murarza. Korzystając z dłuższego odpoczynku przyszedł do mnie załamany powiedział, że do końca drogi chyba nie wytrzyma. Utyka mocno na obie nogi i jest potwornie wyczerpany. Wrócił SS-Transportführer i poprowadził kolumnę za miasto, szosą około 4 kilometrów i drogą polną około kilometra, do samotnie stojącej stodoły. Tu zarządzono nocleg. Można było kłaść się na klepisku lub w sąsięku, gdzie kto chciał.

Następnego dnia pobudkę zrobiono o świcie. Bez chleba i kawy ruszono w dalszą drogę. Szosą wrócono znów do Grimmen. Wczesnym rankiem minięto miasto i skierowano się na północ w kierunku Barth. Na piątym kilometrze za miastem kolumnę wstrzymano i wrócono do Grimmen. Droga do Barth była już zamknięta. Jeszcze raz

przechodziliśmy przez średniowieczną bramę na Starym Mieście. Teraz poprowadzono kolumnę w kierunku Stralsundu, skręcając wyraźnie na północ. Esesmani klęli, nadrobiono bowiem 12 kilometrów. Podczas tego krążenia dali tylko raz odpocząć i to bardzo krótko, ledwie kilkanaście minut. W pobliżu stacji kolejowej w Grimmen, na bocznym torze stał pociąg z transportem wojskowym. Na lorach działa i skrzynie z amunicją, kilka samochodów ciężarowych, z krytych wagonów wyglądali żołnierze, stojący w otwartych drzwiach.

Szosa do Stralsundu wiodła po terenie mocno sfaldowanym. Z górki szło się łzej, pod górkę z dużym wysiłkiem. Dwóch więźniów szeregowych osłabło do tego stopnia, że dalej nie mogli iść o własnych siłach. Idący na ostatku Bojko, Kamiński i „Gruby Jurek” zabrali ich na wózek ciągniony za kolumną.

Na dziewiątym kilometrze od Grimmen zaczął się las. Słońce było już wysoko, mocno przygrzewając. Tu SS-Transportführer zatrzymał kolumnę. Można było siadać nad rowem. Zdjął tych dwóch z wózka. Zabral ze sobą jednego postena i w czwórkę poszli na brzeg lasu. Chorym kazał usiąść. Z kabury wyjął pistolet i zastrzelił obu. Bojce i Kamińskiemu kazał ich nakryć płaszczami i tak zostawić. Wszystko to odbywało się w sposób tak nieskomplikowany, że nie wywołało większego wrażenia. Gdy powrócił, z paczki na bagażniku wyjął chleb z kiełbasą i spokojnie zjadał drugie śniadanie. Odpoczynek na tym postoju trwał trochę dłużej jak pół godziny.

Kolumna ruszyła dalej. Po dojściu do skrzyżowania skręcono na Franzburg. Szosa wiodła przez las. Zmęczenie brało górę. Więźniowie szeregowi już od 24 godzin nie jedli. A tu ciągle ten las. Strach pomyśleć, kto osłabnie, to go zastrzelą. Jeszcze kilka kilometrów i las się skończył. Ukazało się miasto, a przed nim dużych rozmiarów tablica i napis „Stadt Franzburg Krs Barth”²⁰¹. Franzburg był miasteczkiem małym, brudnym, z rynsztokami odprowadzającymi ścieki po obu stronach ulicy głównej, nad którymi unosiły się roje much. Ulice brukowane polnym kamieniem. Idąc do miasta pod górkę z trudem stawiano obolałe nogi na nierównych kamieniach. Minięto miasto, skręcono w kierunku stacji kolejowej, skąd na zachód wiodła droga do folwarku.

Za miastem nad głowami więźniów przeleciały dwa niemieckie myśliwce. Jeden z nich zapalił się w powietrzu i płonąć spadł na pola pod Franzburgiem, drugiemu urwało się podwozie i przy lądowaniu pod lasem uległ kapotażowi. Front był blisko. Od ostatniego postoju pod Grimmen maszerowali piechotą obaj lekarze Kaczyński i Lipcius. Przy folwarcznych zabudowaniach stała duża stodoła. Tu zatrzymano pochód i zarządzono przerwę na noc. Wydano po pół litra kaszki manny i po kilka solonych szprotek i fłader. Na esesmanów czekała kuchnia z gorącym jadem. Wśród nich nastroje były nienajlepsze. Do uszu docierały fragmenty rozmów, z których wynikało, że zbliża się koniec wędrówki.

W poniedziałek 30 kwietnia o świcie zwykle głośnie „aufstehen” ogłoszono ciszej. U Kozłowskiego, jemu podobnych oraz esesmanów widać było duże podniecenie. Piątki więźniów formowano w marszu. Zrazu polną drogą, a następnie szosą, kolumna doszła

²⁰¹ (niem.) Miasto Franzburg powiat (Krs – Kreis) Barth.

do skrzyżowania dróg. Skręcono w kierunku na Barth. SS-Transportführer pojechał przodem na motocyklu jako zwiadowca. W marszu dotarła wiadomość, że wysłany na starą kwaterę samochód po prowiant i rzeczy nie powrócił. Wojska sowieckie dotarły do Grimmen. Zamiarem kierownictwa transportu jest doprowadzenie więźniów do Anglików lub Amerykanów. Rosjan bali się jak ognia. Niebawem powrócił SS-Transportführer, zatrzymał kolumnę i po krótkim odpoczynku poprowadził ją z powrotem do skrzyżowania dróg. Brak orientacji i to krążenie w kółko doprowadzało esesmanów do wściekłości. Ale chyba największy strach ogarnął Kozłowski i jemu podobnych morderców.

Od skrzyżowania dróg wzięto teraz kierunek na Ribnitz-Damgarten. Nie wiadomo skąd i od kogo rozeszła się szeptana mobilizacja, żeby rozbroić esesmanów i uwolnić się od ich opieki. Powstał zaraz problem, kto to miał wykonać? Co najmniej połowa kolumny, to zwykli mordercy obozowi, wśród pozostałych znaczna część to „piple”, zausznicy i wszelkiej maści funkcyjni, przywykli do twardego posłuszeństwa. Kilkudziesięciu więźniów szeregowych znajduje się w stanie krańcowego wyczerpania. W takich warunkach szybko minęła fala entuzjazmu. Mimo to wielu myślało o podjęciu ryzyka ucieczki.

Idąc drogą przez las kolumna rozciągnęła się w długi wąż. Kozłowski, przewidując zamiary ucieczki, bacznie śledził ruch każdego więźnia, przechodząc wielokrotnie z jednej strony kolumny na drugą. Kilka kilometrów przed Damgarten w kolumnie powstało zamieszanie. Pod pozorem zacerpnienia wody miską z rowu, wyskoczyli z kolumny hilfskapó Waldemar²⁰² i Franek, fryzjer z rewiru – obaj spod Białegostoku, oraz Lońka, ostatnio funkcyjny u Żurawskiego. Zamiast wrócić do szeregu po zacerpnieniu wody, przeskoczyli rów i zagłębili się w leśnej gęstwinie. SS-Transportführer zatrzymał kolumnę i drąc się na całe gardło: „halt, halt!”²⁰³ kazał esesmanom za nimi gonić. Pobiegło trzech esesmanów z eskorty. Upłynął dobry kwadrans, w lesie panowała cisza i nikt nie wracał. Teraz SS-Transportführer zabrał ze sobą dwóch esesmanów i zagłębili się w las za uciekinierami. Po upływie następnego kwadransa trzej ostatni wrócili, tamtych sześciu zaginęło bez śladu.

Ucieczkę funkcyjnym ułatwiało ich cywilne ubranie. Czerwone krzyże na plecach i nogawkach spodni mieli przypięte szpilkami, względnie przyfastrygowane, co można było łatwo usunąć, a ponadto znajdowali się w dobrej kondycji fizycznej. Esesmani, którzy za nimi pobiegli, to Ukraińcy w służbie niemieckiej. Mówiono jawnie, że fryzjer Franek pełnił rolę konfidenta i miał pełne zaufanie w komendanturze obozu. Uciekł, bo bał się samosądu. W podobnej sytuacji byli pozostali uciekinierzy. Cała szóstka miała ucieczkę zaplanowaną.

SS-Transportführer dał rozkaz marszu, tamtych pozostawiając bez pościgu. Przyspieszano kroku. W godzinach popołudniowych osiągnięto Damgarten. To, co tu zastało, przerastało wyobraźnię. Wozy z dziećmi, pościelą i sprzętem, osobowe samochody, ręczne wózki – wszystko ściśnięte na ulicach. Masy pieszych uciekinierów tłoczyły się na chodnikach. Jakiś pijany niemiecki żołnierz, trzymając w ręce kawał wędzonego boczku, szedł szybkim krokiem pokrzykując ogarnięty paniką. Niemki z dziećmi a

²⁰² Waldemar – bliższych danych nie ustalono.

²⁰³ (niem.) Stać, stać!

rękach dobijały się do zamkniętych sklepów, domagając się chleba. Z niektórych domów wnoszono w kubelkach wodę i rozdawano uciekinierom. Panowało ogólne zamieszanie, hałas i pokrzykiwania. Przy głównej drodze tablice kierunkowe przytwierdzone do drzew z napisem „Sammelstelle”²⁰⁴. Na skrzyżowaniach połowa żandarmeria nie legitymując wskazywała uciekającym żołnierzom wolne przejścia do punktów zbórnych. Między wozami kręciło się mnóstwo wojskowych z różnych rodzajów broni. Panika...

Przy moście w kierunku na Ribnitz kolumnę zatrzymano. Postój trwał około pół godziny. W tym czasie przepuszczono wozy i samochody uciekinierów. Pochód ruszył. Z drugiej strony mostu szosa wiodła pod górkę, skąd rozpościerał się widok na zatokę²⁰⁵. Przy brzegu zatoki stały rzędami hydroplany, w głębi lądu hangary, warsztaty i baraki dla robotników, teren ten odgradzony był drutem kolczastym. Kolumna posuwała się prosto, od skrzyżowania dróg skręcono na Rostock. Kierunkowskaz podawał odległość – 36 kilometrów. Maszerowano teraz szosą wzdłuż linii kolejowej. Na bocznym torze stał pociąg z działami na lorach. Okazało się, że to ten sam pociąg, który widzieliśmy wcześniej pod Grimmen. Droga dłużyła się, goniono resztkami sił. Krótki odpoczynek zarządzono dopiero około godziny jedenastej w nocy. Każdy walił się z nóg tam, gdzie stał. Zmęczenie było potworne, sen sklejał powieki.

Po upływie pół godziny zarządzono dalszy marsz. Z wielkim trudem podnoszono się z ziemi i ustawiano w szeregu. Za chwilę ruszyliśmy dalej. Na osiemnastym kilometrze skręcono z szosy. Piaszczystym gościńcem maszerowano dalej. Piasek sypał się w klumpy, ocierał bąble i kaleczył stopy. Nogi piekły boleśnie. Wreszcie dotarto do jakiegoś opuszczonego obozu. Jego teren ogrodzony był drutem kolczastym, brama otwarta na oścież, po bokach bociany ziały pustką, w środku baraki. Za wewnętrznym przegrodzeniem z kolczastego drutu kręciły się esesmanki w mundurach. Był to ewakuowany obóz kobiety.

Pozwolono wejść do baraku. Na podłodze pod ścianami leżało trochę barłogu ze słomy. Nie dla wszystkich starczyło miejsca, część więźniów pozostała na dworze. Było już późno po północy. Na odpoczynek do rana pozostało niewiele godzin.

Wtorek 1 maja. Obudziłem się około godziny siódmej rano. Nogi piekły mnie straszliwie. W chwili, kiedy przewijałem bandaż i wyciskałem wodę z bąbli na stopach, przyszedł jeden z więźniów z czerwonym burakiem w ręce, kroił go i częstował każdego po kawałku.

– Skąd wzięłeś buraka? – spytałem.

– Za drutami jest obóz kobiety, mają buraki i przerzucają przez druty.

Około godziny ósmej rano Kozłowski zarządził zbiórke. Stojącym w kolumnie marszowej wydano po 1/3 bochenka chleba i kawałku kiełbasy. Kozłowski powiedział, że kto nie może iść dalej, to niech zostanie. Dzieli nas jeden dzień drogi od Amerykanów. Również i SS-Transportführer nie taił, że chce się wydostać z kotła od Ruskich. Kozłowskiemu nikt nie wierzył. Z trudem ustawiano się w szeregu, kilku jednak zostało.

²⁰⁴ (niem.) Składnica.

²⁰⁵ Chodzi o Saaler Bodden.

W baraku pozostawiono koce, zapasowe klumpy i inne węzłki. Chodziło o to, żeby się nie obciążać na tym etapie.

Wymarsz przyśpieszono. Kolumnę skierowano na Rostock. SS-Transportführer pojechał na motocyklu przodem. Na czwartym kilometrze przed miastem kolumnę zatrzymał i nakazał powrót. Rostock był już zajęty przez Rosjan. Tu rozciągała się linia oporu. Na polach leżały oddziały drugiego rzutu, gęsto naszpikowane pancernymi.

Wracając tą samą szosą spotkaliśmy więźnia Niemca, który jako kripel wyjechał z Mścięcina 17 kwietnia w transporcie do Barth. W obozie polickim pracował w szweskich warsztatach dla esesmanów. Powiedział, że z tamtego transportu niemieckich więźniów puszczono wolno, los innych nie jest mu znany, ale nie dojechali – można się domyślać, że zostali zgładzeni. Już na stacji w Policach Niemców oddzielono i załadowano do odrębnych wagonów. Po drodze na stację było kilka trupów.

Spod Rostocku maszerowano polnymi drogami, zrazu na zachód, następnie na północ w kierunku na Warnemünde. Tempo marszu było wysokie. Mijając las w kierunku szosy wiodącej do miasta, kilku mocniejszych w nogach urwało się z szeregu i wskoczyło do lasu. Za nimi pobiegli esesmani. Za chwilę rozległy się strzały. Po kilkunastu minutach kolumna wyszła na szosę. Pogoń ciągle trwała. Do goniących esesmanów dołączyli inni wojskowi z rozbitych oddziałów. Strzelanina ucichła, esesmani powrócili zadowoleni. Mówili między sobą, że rozstrzelali czterech więźniów i jedenaście więźniarek innych obozów.

Kolumna ruszyła idąc w kierunku Warnemünde. Z prawej strony szosy stały baraki za ogrodzeniem z kolczastego drutu, po lewej stronie rozciągał się obszar lotniska, skąd co pewien czas startował samolot zwiadowczy i po krótkim pobycie w powietrzu lądował. Tą samą szosą ciągnęły się do miasta wojskowe tabory, żołnierze z rozbitych formacji i masy uciekinierów. W tym tłoku więźniowie mieszały się z tłumem obcych. W stronę przeciwną wracały więźniarki, wymachując rękami o chustkami, krzyczały w podnieceniu, oznajmiając, że droga została zamknięta i niebawem nas rozpuszczą.

Na wysokości domów osiedla Warnemünde powstały korki na drodze i wymieszanie z uciekinierami. Esesmani grożąc użyciem broni odpędzali uciekinierów od kolumny więźniów. Kozłowski biegł wzdłuż szeregu wymachując kijem. Nagle sytuacja uległa zmianie. Od strony południowo-wschodniej szosa została ostrzelana z broni maszynowej i szybkostrzelnych działek broni pancernej. Niemcy z lotniska odpowiedzieli ogniem. Rozpoczęła się bitwa. Esesmani zbiegli z szosy i kryli się za domami i murkami. Między domy osiedla wpadł Kozłowski, a z nim część kapo. Szosa pustoszała. Jeszcze przed ostrzałem SS-Transportführer krzychał: „kto się oddali będzie zastrzelony”, teraz sam skrył się za murek. Część taborów znajdujących się na szosie zawróciła, inne porzucone tarasowały drogę. „Kozioł” nawoływał, żeby się do niego dołączyć i razem uciekać. Obiecywał wydać po bochenku chleba i kostce margaryny.

Zawróciłem. Obejrzałem się do tyłu. Na szosie leżało kilku więźniów prawdopodobnie nieżywych. Włokąc o kijach krok za krokiem słyszałem koło uszu charakterystyczny świst i grzechot kul. Tuż przede mną został ugodzony kulą uciekający szosą żołnierz nie-

miecki. Zza budynku wybiegła Niemka z opaską Czerwonego Krzyża²⁰⁶ na rękę, chciała udzielić mu pomocy. On zwał się jej pod nogi. Wycofała się po nosze. Między domami krył się i uciekał do tyłu Usarek. Ogień z broni maszynowej sięgający szosy to wzmagał się, to malał. Przy lotnisku na szosie leżało kilku niemieckich żołnierzy i cywilów. Wyglądali na nieżywych. Tuż za mną, nie kryjąc się, kuśtykał Michał Dulęba. Nie reagując na pociski powoli oddaliłem się nieco od strefy zagrożenia. Nieopodal szosy stały baraki za ogrodzeniem z drutu kolczastego, skąd usłyszałem nawoływanie. Jakiś cywil stojąc przy tym ogrodzeniu dawał ręką znaki, żeby się do niego zbliżyć. Podszedłem. Przez druty podał mi cztery gotowane kartofle w mundurkach. Tłumaczył się po francusku, że nie ma nic innego. Podziękowałem. W postępowaniu tego człowieka było coś ogromnie ludzkiego.

Bitwa o lotnisko Warnemünde powoli cichła. Fala uciekinierów wymieszanych z wojskiem z wydm nadbrzeżnych powracała na szosę. Niebawem zrobiło się tłoczno. Krok za krokiem zmierzałem do tyłu. Za plecami usłyszałem energiczne kroki i rozmowę prowadzoną po polsku. Za chwilę minęli mnie dwaj esesmani uzbrojeni w krótką broń przyboczną. Mundury mieli rozpięte pod szyją. Przeszli zajęci sobą, nie zaczepiając. Na polnej drodze pod lasem, tuż przy szosie, spotkałem lekarzy – Kaczyńskiego i Lipcusa. Obaj siedzieli na wózku. Obok stali Bojko, Kamiński i „Gruby Jurek”. Kaczyński, gdy mnie zobaczył wykrzyknął głośno:

– I wy wytrzymaliście? – Istotnie byłem w stanie krańcowego wyczerpania. W okrzyku Kaczyńskiego kryło się zdziwienie i zarazem zaskoczenie. Bojko i „Gruby Jurek” nie śmieli spojrzeć mi w oczy. Chciałem coś powiedzieć, ale język jak gdyby skołowaciał. Resztki śliny sklejały mi usta.

Niebawem dołączył do mnie Michał Dulęba i powlekliśmy się szosą dalej w las. Za nami pojedynczo powracali inni więźniowie. Obejrzałem się. Esesmanów nie było. Wszechwładza kapo i funkcyjnych skończyła się. Świadomość, że to chyba wolność, docierała z trudem...

Nie dalej jak rok temu, w maju, podczas przeglądu więźniów z warszawskiego transportu w łaźni w Stutthofie, Kaczyński pewny siebie zapytał mnie o przyczynę aresztowania. Teraz dziwił się, że jeszcze żyję. W polickim obozie koncentracyjnym zwyrodnienie kapo i funkcyjnych było zjawiskiem powszechnym, jednakże od lekarza należało ocenić czegoś innego...

System obozów koncentracyjnych pod szyldem narodowego socjalizmu typu niemieckiego deprawował i niszczył morale jednostek słabszych społecznie, w których powstawały całe zastępy różnych odmian kapo i funkcyjnych. Oni trwali w ślepych posłuszeństwie przepisom SS, aż do ostatka. Do takich należeli niewątpliwie Kaczyński i jego ekipa. Dlatego pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy w zetknięciu z Kaczyńskim i jego pupilami, nakazywała odejść jak najdalej.

²⁰⁶ Czerwony krzyż na białym tle to symbol Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża – organizacji powstałej w 1863 r. niosącej w czasie wojny pomoc rannym, chorym i jeńcom, a w czasie pokoju ofiarom klęsk żywiołowych, wypadków i epidemii.

Rozdział V

Powrót

Włokąc z trudem obolałe nogi postanowiliśmy z Dulębą iść po obu stronach szosy. Chodziło bowiem o znalezienie jakiegoś garnka, w którym można by ugotować trochę zupy. W miarę zagłębiania się w las, coraz więcej leżało po rowach sprzętu wojskowego i porzuconej broni. Na szosie stały porzucone wozy taborowe bez koni. Pierwszy Dulęba po swojej stronie znalazł w rowie garnek. Z trudem przyszło mu wyciągnąć go z rowu. Z kolei ja po swojej stronie znalazłem skórzaną torbę oficerską. Powstał problem – jak ją wyciągnąć z rowu? Na to, żeby zejść, wziąć w rękę i wyjść na szosę, nie było sił. Położyłem się więc na brzuchu przy rowie i uchwyciwszy kijkiem rzemień udało mi się ją wyciągnąć. Zajrzałem do środka. Było w niej parę czystych kartek i dwa ołówki atramentowe. A więc rzeczy pożyteczne.

Idąc dalej, przy jednym z porzuconych wozów, znaleźliśmy trochę makaronu i kartofli. Wozy te były już szabrowane przez wcześniej powracające więźniarki. To, co znaleźliśmy, to były resztki rozsypane przy wozie. Powstał teraz nowy problem – skąd wziąć wody?

Paręset metrów dalej wyłoniły się zabudowania mieszkalne i gospodarcze. Okazało się następnie, że była to wieś nadmorska. Gdzieś po środku była studnia, ciężka pompa. Kiedy do niej doszliśmy, żaden z nas nie miał tyle sił, żeby ją udźwignąć i napompować wody. Usiedliśmy w pobliżu tej studni, czekając na okazję. Wnet zjawił się ktoś z kubelkiem w ręku. Po zdjęciu kubelka podstawiliśmy garnek i nabraliśmy wody. Ludność tej wsi siedziała w schronach. Niosąc w garnku ostrożnie wodę przeszliśmy przez pustą wieś. Za wsią było dobre miejsce na ognisko.

Podczas nabierania wody powiedziałem temu, który przyszedł z kubelkiem, żeby przyniósł zapalnik i draskę. Przyniósł. Dowiedział się ode mnie, że ostrzał ustał. Niebezpieczeństwo minęło. Widocznie wiadomość tę zaniósł do schronu. Po jego odejściu, ze schronu zaczęły wychodzić kobiety, dzieci i ludzie starsi.

Na samym skraju lasu natknęliśmy się na esesmana z eskorty, obok niego leżał ręczny karabin maszynowy i pancerfaust. Na pasie rozpiętej kabury wysuwała się rączka pistoletu. Jadł kanapkę. Przeszliśmy koło niego w milczeniu. Udał, że nas nie zauważa i jadł spokojnie dalej. Mógł z łatwością zastrzelić nas obu. A może sam żywił obawy o własne życie?

Odeszliśmy od drogi około 100 metrów i dopiero teraz roznieciliśmy ognisko. Ustawiliśmy garnek na kamieniach, z pomiędzy których wydobywał się ogień i tak

gotowaliśmy pierwszą wolnościową zupkę. Ja podsyciałem ogień, leżąc na brzuchu, Michał mieszał i mieszał, żeby się kartofle dobrze rozgotowały. Kiedy zupa była już w połowie ugotowana, dostrzegły nas Cyganki wypuszczone z innego obozu koncentracyjnego. Przybiegły do ogniska i nachalnie domagały się, żeby im dać połowę tej zupy. Żadne perswazje nie pomagały. Michał zupę zasłonił swoją osobą. Nic to nie pomagało. Jedna z nich przerzuciła mu przez ramię kawałek margaryny, który zręcznie trafił do garnka. Teraz o odpędzeniu Cyganek nie było mowy. Michał połowę zupy oddał. Po ich odejściu postanowiliśmy resztę zupy zjeść, pomimo że była jeszcze niedogotowana. Zupa ta, oprócz wartości odżywczych, dała mnóstwo wzruszeń – była to przecież pierwsza wolnościowa zupka. Rozgrzewała wychłodzony organizm, dodawała sił.

Gorąca zupa i odpoczynek poprawiły samopoczucie. W tym czasie na naszych oczach wielu niemieckich żołnierzy przebierało się w ubrania cywilne. Mundury porzucali w lesie. Cyganki powiedziały nam, że nieco dalej leży zabity kapo. Ruski w pasiakach wymierzył mu tę karę. Skoczył mu na plecy, zwałił z nóg, po czym zadał nożem kilka ciosów. Nikt nie zwracał na to uwagi. Każdy troszczył się tylko o siebie.

Ruszyliśmy dalej w drogę. Postanowiliśmy dojść do najbliższych zabudowań, żeby noc przespać pod dachem. Poszliśmy drogą przez las w kierunku wschodnim. Po drodze minęli nas dwaj młodzi ludzie w przyzwoitych cywilnych garniturach. Spojrzałem na nich, byli to ci sami esesmani mówiący po polsku, którzy z tamtej strony lasu mijali mnie w mundurach wojskowych. Faktem było, że Niemcy panicznie bali się Rosjan. Doszliśmy do skrzyżowania dróg w lesie. Jedna z nich prowadziła na północ, druga na południe. Ci dwaj poszli na północ. Mijając się z nimi zapytałem po polsku:

– Którędy do najbliższej wsi? – Nic nie odpowiedzieli tylko przyspieszyli kroku. Bali się ludzi w pasiakach.

Skreśliśmy na południe. Było już dobrze pod wieczór. Słońce chowało się za konarami drzew. W miejscu, gdzie las się przerzedzał, wyłoniły się budynki mieszkalne. Postanowiłem wejść do pierwszego z brzegu, Duleba pozostał na drodze. W domu tym mieszkało kilka rodzin. Na spotkanie wyszedł z sieni wysoki, chudy, stary Niemiec. Zapytałem go po niemiecku, czy można u niego przespać się do rana? Długo myślał, po czym zaprowadził mnie do komórki. Dołączył Michał, weszliśmy. Był tu warsztat stolarski, drewno na opał i na wyroby stolarskie, piłki, heble i inny sprzęt. Po ciemku usunęliśmy taczki. Po kilkunastu minutach stary Niemiec zjawił się z pęczkiem słomy. Pierwsze wolnościowe spanie nie było złe. Leżeliśmy już na słomie, kiedy zjawił się Księżak²⁰⁷. Powiedział, że nie ma gdzie spać. Ścisnęliśmy się więcej z Michałem i zrobiliśmy dla niego miejsce. On, zamiast się położyć, poszedł na wieś rzekomo szukać herbaty. Odradzałem mu, nie usłuchał.

Gdy leżeliśmy już na słomie, stara Niemka przyniosła w dzbanku trochę gorącej kawy. Michał jeszcze coś do mnie mówił, że Niemcy spokornieli, to znowu, że w szopce nie ma bydłatek żeby na nas chuchały. Nic już do mnie nie docierało. Pierwsza noc bez asysty i postenów dawała duże odprężenie. Sen sklejał powieki i przynosił ulgę. Dużo

²⁰⁷ Leon Księżak – ur. 14 VII 1903 r., więzień KL Stutthof nr 34702.

zamieszania swoją osobą powodował Leon Księżak, ale i to cierpliwie znosił. Zachowywał się tak, jakby był osobą najważniejszą.

Z twardego snu ocknąłem się jeszcze przed wschodem słońca. Wyjrzałem przez szczeliny między deskami w ścianie komórki, na dworze było szaro. Dochodziły niedalekie odgłosy wystrzałów armatnich i grzechot broni maszynowej. Chwilami wszystko cichło. Położyłem się i ponownie zasnąłem.

Środa 2 maja. Po raz drugi obudziłem się około godziny szóstej rano. Michał już nie spał, Księżak zdążył się ubrać. Chłód poranka cucił i przywracał szybko świadomość. W nogach czułem dotkliwy ból, trudno było mi się podnieść. Do tego dołączyło ogólne wyczerpanie. Zastanawiałem się, co robić dalej. Prosił Księżaka, żeby postarał się o trochę kawy lub mleka. Jak na warunki przebytej drogi był on w dobrej formie. Księżak bez namysłu odmówił, po czym się ulotnił. Nie wracał czas dłuższy.

Powoli zwlokłem się z legowiska. Widziałem pasiaki i wyszedłem przed komórkę. Na dworze panowała cisza. Zastukałem do drzwi właściciela komórki – otworzył. Powiedziałem mu, że czuję się mocno wyczerpany i pozostanę jeszcze jeden dzień. Niemiec odpowiedział hardo:

– Ich muss zuerst den Burgermeister fraget. Er ist berechtigt nur einem etwas erlauben²⁰⁸. – Wtedy nie wytrzymałem i krzyknąłem gniewnie:

– Das kommt nicht in Frage. Heute bleibe ich weiter liege. Ich bin krank!²⁰⁹ – Niemiec zmieszał się. Niemka słysząc to dała mi w garnuszku gotowanej wody, do której wspaniała trochę ziółek. Przyniosłem to do komórki. Zjedliśmy z Michałem Dulębą resztki wczorajszego chleba i popiliśmy tymi ziółkami.

Należało teraz podjąć decyzję – co dalej? Wracamy do Warszawy czy idziemy dalej na Zachód? W drugiej komórce nocowało kilku więźniów. Tamtej grupie przewodził Soroka. On był zdecydowany iść na Zachód. Wracać do Grodna, skąd pochodził, nie widział celu. U niego sytuacja była o tyle gorsza, gdyż w jego grupie jeden z kolegów walczył ze śmiercią, znajdował się w stanie agonalnym. Jakkolwiek pomyśleć, sytuacja była beznadziejna. Mimo wszystko zdecydowałem się wracać do Warszawy. Dulęba pochwalił ten zamiar i postanowił wracać do Płocka. Należało więc zdobyć jakąś furmankę. Innego sposobu powrotu do domu nie było.

Z porannej wyprawy wrócił Księżak. Przyniósł ze sobą dużą walizę pełną damskich pończoch i dużą puszkę tartej bułki z rodzynkami. Schował to w komórce i zbierał się do wyjścia.

– Dajcie trochę spróbować tej bułki – poprosiłem. Niechętnie odsypał po garstce, dodając:

– Niedaleko stąd jest wyszabrowany pociąg. Możecie tam iść, jeszcze bułkę znajdziecie.

Wyszedł. Miedzy godziną dziewiątą a dziesiątą Księżak dojrzał wkraczające oddziały sowieckie. Wpadł do komórki z tą wiadomością. Wyszedłem na zewnątrz. Istotnie, szedł pierwszy patrol. Żołnierze w fufajkach, oficer w mundurze. Buty w harmoszki bez obcasów. Pod pachami trzymali rozpylacze, palce na cynglach. Oficer trzymał w ręku

²⁰⁸ (niem.) Muszę najpierw zapytać burmistrza. Tylko on jest uprawniony, by zezwolić na coś takiego.

²⁰⁹ (niem.) To nie wchodzi w grę. Dzisiaj leżę dalej. Jestem chory!

rewolwer. Do wsi podchodzili ostrożnie. Kogo zobaczyli – strzelali. Tymczasem na domach wywieszono białe flagi różnych rozmiarów, robione naprędce.

– Jesteśmy już w strefie sowieckiej – powiedziałem do Dulęby. – Chodźmy na wieś, może znajdziemy coś do jedzenia.

Poszliśmy. Wieś wyludniona. W jednym domu zastaliśmy kobietę w średnim wieku. Poczęstowała nas talerzem wczorajszej zupy. Wróciliśmy do komórki. Stara Niemka, widząc nas powracających, powiedziała mi, że ma gorąca kawę, możemy po nią przyjść do kuchni.

Tu nowa sytuacja. Przed budynkiem na podwórzu luzak trzymał cztery konie za uzdy. Niemiec i Niemka byli w kuchni. Poprosiłem Niemca o przyrządy do golenia. Brzytwę miał pod ręką, po pędzelek poszedł do pokoju. Otworzył drzwi. W pokoju kręcili się trzech sowieccy oficerowie. Szafa miała drzwi otwarte, w komodzie powysuwane szuflady. Starszy lejtnant²¹⁰ trzymał w ręku zegarek z dewizką, drugą ręką przerzucał szpargały w szufladach, znalazł jakieś pierścionki.

Nie zwracając na nich uwagi, spokojnie goliłem się w kuchni. Jeden z oficerów przyszedł do mnie i polecił zapytać Niemca, gdzie ma kosztowności? Powtórzyłem to. Niemiec trzęsąc się odpowiedział, że wszystko co ma znajduje się w szufladzie komody. Wróciłem do komórki. Wrócił także Księżak. Przyniósł ze sobą kawałek kiełbasy na spróbowanie. Chwalił się, że otrzymał dość duży kawał od Sowietów, ale już zjadł. Przy okazji spenetrował najbliższy teren. Był w sąsiedniej komórcie u Soroki, gdzie jeden z naszych ludzi dogorywa. Księżak znowu zakręcił się na pięcie i ulotnił. Powrócił dopiero pod wieczór. Przyprowadził jeszcze jednego kolegę z okolic Płocka, przyniósł następną walizę, a ponadto skondensowane mleko, tartą bułkę z rodzynkami, rodzynki, marynaty z jabłek i śliwek, młodzieżowe czarne ubrania, cywilną garderobę i damskie pończochy. Ten potrafił szabrować.

Pełni wrażeń pierwszego dnia wolności, przeżywalimy teraz z Dulębą drugi dzień bez eskorty esesmańskiej. Staraliśmy się odpoczywać jak najwięcej. Pytałem Księżaka, jak on te wszystkie wyszabrowane rzeczy zamierza zabrać? Najpierw należy postarać się o konia i wóz. Księżak odpalił bez namysłu. O konia i wóz to wy się postaracie, ja się przysiędę.

Wieczorem jeszcze bardziej rozgarnęliśmy słomę i położyliśmy się do snu w czwórkę. O zmroku rozpoczęła się strzelanina, to wzmagała się, to cichła i tak przez całą noc. Z odgłosów wystrzałów armatnich można było się zorientować, że walki toczyły się w okolicach miast Rostock i Warnemünde.

Odręczenie nerwowe zrobiło swoje. Ból w nogach, zamiast ustępować, wzmagał się. Nogi miałem czarne pod skórą i spuchnięte, pod stopami bąble wypełnione wodą z odparzeliny. W nocy budziłem się kilkakrotnie, raz z powodu bólu nóg, to znowu z odgłosów strzelaniny tuż koło komórki, gdzie odpalano serie z automatów. Nad ranem wzmogła się strzelanina artyleryjska. Ziemia trzęsła się, komórka drżała od wybuchów pocisków.

²¹⁰ Starszy lejtnant – drugi stopień oficerski, m.in. w armii sowieckiej i później rosyjskiej, odpowiednik porucznika.

Z Dulębą wstaliśmy w szarówce. Wyszliśmy na wieś szukać konia, wozu i paszy. Choć wczoraj Księżak obiecywał, że o paszę postara się sam. Znając jego prymitywne zachowanie, obaj nie dowierzaliśmy. Idąc drogą przez las, w kierunku szosy i stacji kolejowej, doszliśmy do dwu zagród oddalonych o paręset metrów od wsi. W jednej z nich na podwórzu stały dwie bryczki – jednokonka połamana, druga na parę koni. Koło studni stała polowa kuchnia sowiecka, w której gotowano zupę na śniadanie. Po podwórzu kręciło się kilka koni i kilkunastu sowieckich żołnierzy. Kucharz, jak nas zobaczył w pasiakach, nalał nam do misek gorącej kartoflanki na słońnie. Pytaliśmy Sowietów, czy nie mają za dużo o jednego konia. Jest bryczka, moglibyśmy ją wykorzystać na drogę do domu. Odmówili.

Poszliśmy dalej. Po drogach i drózkach doszliśmy do pociągu, który stał na torze bocznym niewielkiej stacyjki. Tor biegł wzdłuż szosy. Stojący na tym torze pociąg był wczoraj przedmiotem intensywnego szabru. Więźniowie, robotnicy z „wolnej stopy”, żołnierze różnych formacji sowieckich, którzy tędy przechodzili, zabierali z otwartych wagonów różne przedmioty, garderobę i żywność. Zestaw pociągu był dość długi, składał się z wagonów osobowych i krytych towarowych. Zajrzeliśmy do wnętrza. Jeszcze dużo było bielizny pościelowej i damskich okryć. Wszystko to w nieładzie porozrzucane i podeptane. Sporo też leżało koło wagonów. Bielizna i mundurki dla Hitlerjugend leżały w wagonach w stanie nienaruszonym. Z tego wszystkiego wybraliśmy trochę białego płótna na bandaże, drelichową bluzkę na owijki i około pół kilograma tartej bułki z rodzynkami.

W pobliżu stacji, za prowizorycznym ogrodzeniem, pasło się stado koni. Prawdopodobnie były to konie niemieckie zabrane ze wsi. Dulęba poszedł za ogrodzenie i wziął pierwszego z brzegu konia. Był zadowolony, gdyż trafił na młodego i zdrowego. Nie dookończył wyrazić swojego zachwytu, nagle nie wiadomo skąd zjawił się Sowiec z pepeszą. Scholerował Michała i konia mu odebrał.

Nie było rady, poszliśmy szukać dalej. O znalezieniu konia w zagrodzie u Niemca nie było mowy, gdyż wszystkie konie ze wsi zostały zabrane, więc rozglądaliśmy się po okolicy. Zauważyliśmy, że na uboczu pasła się jakaś stara szkapa. Dulęba postanowił ją zabrać. Chodziło bowiem o to, żeby ujechać choć kilkadziesiąt kilometrów. Dalsze pozostawanie w komórce nie miało sensu. Michał poszedł po tę szkapę. Wziął ją za grzywę pogładził, poklepał po pysku, koń zarżał. Wyprowadził go na drogę.

Słońce było już wysoko. Poranne mgły rozproszyły się, zrobiło się ciepło. Zdjęliśmy pasiaste płaszcze i narzuciliśmy je na konia. Z prowiantu znalezionego w wagonach zrobiliśmy węzełek i też narzuciliśmy koniowi na grzbiet. Michał odprowadził konia nieco dalej i postawił na skrzyżowaniu dróg. Czekaliśmy na okazję, może trafi się jakiś wóz od powracających Niemców. W burcie przy szosie leżały nieopgrzebane zwłoki niemieckich żołnierzy, bez butów, wzdęte. Zabitych Rosjan nie było. Niebawem przyszło dwóch Sowietów i znów straciliśmy konia. Czekaliśmy dalej.

Okazja nastąpiła sama. Szosą na wozie jechała Niemka z dziećmi w wieku szkolnym. Wyszedłem na szosę, podniosłem rękę do góry.

– Halt! – krzyknąłem i zatrzymałem wóz. Kazałem wszystkim zejść z wozu i zabrać swoje rzeczy, co wykonali posłusznie. Michał wziął za lejce i mieliśmy już ruszyć. W tej chwili, jak spod ziemi, pojawił się Sowiet i wycelował we mnie lufę pepeszy. Już miał pociągnąć za spust. Krzyknąłem:

– Czego chcesz? – Później puściłem wiązanek niewybrednych słów. Zmitygował się, odstąpił. Stał z automatem pod pachą. Energicznie kazałem Michałowi siadać, jedziemy. Tym sposobem oddaliliśmy się od Sowietów i od szosy. Przy komórcie wyprzęgliśmy konia i puściliśmy na trawę. Na wozie było trochę siana i owsa. Postanowiliśmy wyjechać przed wieczorem. Poszedłem do starej Niemki po ziołową herbatę. Zanim zagotowała wodę upłynęła może godzina, a może więcej. W chwili picia herbaty przyszedł Księżak i powiedział, że już nie mamy wozu – zabrali go Sowietci, założyli nowe szczyty i już na niego ładują prowiant. Patrzyliśmy na siebie. Czy stąd nie wyjedziemy nigdy?

Poszliśmy z Michałem na poszukiwanie nowego wehikułu. W majątku za wsią, przy dole z kiszonymi burakami pastewnymi, stała stara dwukółka naładowana kiszonką. Wgramoliłem się na wierzch, kolega podał mi widły i powoli wszystko wyrzuciłem. Michał doprzęgił i wróciliśmy pod komórkę. Tuż za komórką Sowietci mieli zbiórkę. W szeregu kolejno zdawali raport młodemu lejtnantowi²¹¹. Jeden z Sowietów meldował, że trzech germańców ubił. Lejtnant pytał

– Żołnierzy?

– Nie, cywili. – Wracając dwukółką zauważyliśmy leżącego w rowie zabitego Niemca w mundurze, twarz miał przykrytą świeżą gałęzią.

Około godziny trzeciej po południu Sowietci mieli alarm. Z folwarku wyjechała artyleria, a z nią tabory. Odebrany nam wóz, naładowany z czubem workami i paczkami, dołączył na dziedzińcu. Kilkanaście minut później wieś i okolica opustoszały, Rosjan nie było widać. Poszedłem do starej Niemki, żeby na drogę uszyła nam polską chorągiewkę. Sumitowała się, nie miała z czego. W końcu uszyła ją z wesy i poszewki na jasiek.

Przed wyruszeniem w drogę dokonaliśmy między sobą podziału obowiązków. Michał Dulęba miał zajmować się koniem, ja wyszukiwaniem kwater. Leon Księżak, jako najzdrowszy, wyszukiwaniem prowiantu i paszy dla konia. Władek²¹² z płockiego – przyrządzaniem potraw. Na dwukółkę włożyliśmy owies i siano, Księżak dwie ciężkie walizy. Około godziny piątej po południu byliśmy gotowi do drogi. Dwukółka mocno zużyta, miała wytarte osie, obluźowane koła chwiały się na boki, groziły rozsypaniem się, ale wyboru nie było. Wsiadliśmy we czterech. Michał powoził.

Na szosie wyczytałem napis na stacyjce – „Janów”. Prawdopodobnie wieś, w której się zatrzymaliśmy była tej samej nazwy. Paręset metrów w kierunku wschodnim dojechaliśmy do rozwidlenia dróg. Stąd można było jechać w kierunku na Rostock i Ribnitz-Dammgarten. Michał wziął kierunek na Ribnitz. Rozsądek nakazywał Rostock ominąć. Nie mając mapy kierowaliśmy się wycuciem i orientacją własną.

²¹¹ Lejtnant – pierwszy stopień oficerski, m.in. w armii sowieckiej i później rosyjskiej, odpowiednik podporucznika.

²¹² Władek – bliższych danych nie ustalono.

Zaraz na drugim kilometrze od Janow Książak oświadczył, że ani prowiantu dla nas, ani paszy dla konia wyszukiwać nie będzie. Musimy się o to sami postarać. Z kolei Władek powiedział, że czuje się bardzo źle, żeby na niego nie liczyć.

W pewnej chwili Książak zeskoczył z bryczki. Kawałek drogi szedł pieszo, zatrzymał się przy jednym wozie powracających uciekinierów. Kazał Niemcom dać sobie żywności. Niemiec i Niemka – oboje starzy – tłumaczyli mu, że nic nie mają. Nie uwierzył, przeszukał wóz, znalazł butelkę z ciemnym buraczanym syropem domowego wyrobu. Niemka wyjaśniała, że syrop ten używają zamiast cukru, którego nie ma. Książak zabrał im ten syrop, przelał do manierki, butelkę wyrzucił.

Michał obejrzał to i powiedział:

– Po co to im zabrałeś? Nie widziałeś, że to biedni starzy ludzie? Pożytku z tego syropu nie będzie. Na nasze chore żołądki – to zabójcza trucizna. Spójrz na Władka – mówił Michał – najadł się u Ruskich tłustej wieprzowiny, a teraz z każdą godziną jest z nim gorzej.

Od siebie dodałem:

– Napadanie na bezbronnych Niemców i odbieranie im skromnego dobytku chluby Polakom nie przynosi. Jak ty się zachowujesz? – Książak stał na szosie nie wiedząc co ma zrobić z tym syropem w manierce. Michał rozkazał stanowczym tonem:

– Siadaj.

Mijałiśmy teraz więcej niemieckich wozów z uciekinierami. Książak siedział spokojnie. Powiedziałem Michałowi, że więcej nie zatrzymujemy się, jedziemy do zmroku. Po drodze zaczepiali nas piesi, powracający z „wolnych” robót. Pytali o drogę, bądź chcieli się przysiąść. Żadnego z tych życzeń nie mogliśmy spełnić, z braku miejsca na przeciążonej biedce.

Przed wjazdem do miasta Ribnitz stały sowieckie posterunki. Na środku szosy „regulowszczyk” machał czerwoną chorągiewką. Zatrzymali nas. Nie chcieli nikogo wpuścić do miasta. Wszystkie furmanki kierowali na Franzburg. Białą czerwoną chorągiewką i litera „P” w czerwonym trójkącie na pasiakach były legitymacją zewnętrzną – nie zawsze skuteczną.

Pod Ribnitz spotkaliśmy rozbity pociąg. W pobliżu leżały w rowie działa, dużo wszelakiej broni i sprzętu wojskowego, a ponadto maszyny do pisania, nadpalone i poniszczone papiery, skrzynie, puszki. Prawie wszystkie wagony były spalone lub nadpalone. Rumowisko.

Jadąc w nakazanym kierunku wśród pól zobaczyliśmy, że w tym klimacie wiosna jest już daleko zaawansowana. Zboża ozime sięgały pasa. Grunty pod uprawy wiosenne leżały nieruszone. Prawdopodobnie przyczyną były ostatnie działania wojenne, jak również toczące się na tych ziemiach walki.

Do zmiernych czasu pozostało niewiele. Czas pomyśleć o noclegu. Z drogi bitej skręciliśmy w gościniec wiodący do wsi kościelnej. Minęliśmy pierwszych kilka budynków. Tu i ówdzie w drzwiach lub oknach pojawiały się głowy Niemek, rzadziej starych Niemców. Zatrzymaliśmy bryczkę przy budynku, gdzie już kręcili się inni powracający z robót i obozów koncentracyjnych. Na podwórzu przed budynkiem stała dość duża kałuża

gnójówki. Michał konia wyprzągł i zaobroczył. Pytałem Niemkę, gdzie na noc postawić konia. Nie mogła na to odpowiedzieć twierdząc, że gospodarzy nie ma, a ona niczym nie rządzi. Michał wybrał miejsce dla konia w stodole.

Przeszliśmy pokoje, wszędzie nieład i brud. Kuchnia zimna. Zostaliśmy w pomieszczeniu dla służby, tu było najczystziej i najcieplej. Mieliśmy przy sobie po kawałku chleba, który teraz zjedliśmy popijając wodą. Księżak najadł się tartej bułki z rodzynkami. Nikomu ani krztyny nie użyczył, twierdząc, że to jego zdobycz, głodny spać nie pójdzie. Było już ciemno. Zawiadomiono nas, że przyjechała jeszcze jedna furmanka z Ruskimi. Tumult, zamieszanie. Tę noc z 3 na 4 maja przemęczyliśmy w warunkach gorszych niż w komórcie na starej kwaterze. Ciągłe chodzenie, głośne rozmowy, a nawet krzyki kwaterujących, nie dawały chwili spokoju. Postanowiliśmy odjechać wczesnym rankiem.

W piątek 4 maja wczesnym rankiem ruszyliśmy w dalszą drogę. Kilka kilometrów dalej przejeżdżaliśmy przez dużą wieś, w środku której krzyżowały się drogi i był sklep spożywczy. Zatrzymaliśmy się. Księżak poszedł do sklepu na poszukiwanie żywności. Ja szukałem nazwy tej wsi. Nigdzie żadnej tablicy informacyjnej ani napisu. Kilkoro niemieckich dzieci na nasz widok uciekło. Księżak powrócił, przyniósł kilka słoików ogórków i marynat – sklep był już wyszabrowany.

Głód dokuczał, trzeba było zorganizować jakieś śniadanie. Ruszyliśmy rozglądając się po chałupach. Na skraju wsi biedkę zatrzymałem. Poszedłem do chałupy jakiegoś wyrobnika. Wyszła stara Niemka. Poprosiłem o kawę, zgodziła się. Nie upłynęło pół godziny, a już na stole stała gorzka gorąca kawa. Dała nam jeszcze po kawałku chleba. Księżak chciał przeszukać kredens – zabroniłem. Niemka sumitowała się, że nic więcej nie ma. Oni zawsze piją gorzką kawę. Niewielkie ilości cukru, które otrzymują na kartki, zachowują dla chorych i dzieci. Chociaż Księżak był ze śniadania niezadowolony, gorąca kawa dobrze wpłynęła na samopoczucie. Podziękowałem Niemce, ona jakoś się rozkleiła i patrzyła na nas przyjaźnie. Okazało się, że w tym przypadku dużo pomogła mi znajomość języka niemieckiego. Do ludzi prostych nie należy używać wyszukanych słów.

Wyjechaliśmy na szosę. Z boku od strony zachodniej rozciągał się duży las. Od czasu do czasu w tym lesie słychać było strzały. W pewnym momencie gwałtowna strzelanina powstała w pobliżu szosy. Świsty kul i krzyki upewniały, że walka toczy się blisko. Przyspieszyliśmy jazdę, żeby wydostać się ze strefy zagrożenia. Po kilkunastu minutach mieliśmy już to wszystko za sobą. Las kończył się. Dojechaliśmy do skrzyżowania szos. Drogowskaz w linii prostej wskazywał 17 kilometrów na Rostock. Czy już spod tego miasta nie wyjedziemy? Z szosy zjechaliśmy na bity gościniec, kierując się na wschód. Po kilkunastu minutach jazdy z gęstwiny drzew wyłonił się folwark. Przy bramie stał Sowiet z pepeszą. Prosiłem go, żeby nas przepuścił.

– Nie można! – krzyknął ostro. – Zawracaj! – Nie było rady, wróciliśmy.

Odjechaliśmy kawałek drogi, zszedłem z biedki, żeby się zorientować w położeniu. Na folwarcznym podwórzu stały działa, czołgi i tabory. Na budynku gospodarczym powiewała flaga Czerwonego Krzyża. Przy budynku mieszkalnym kręciło się kilku oficerów. Z tego miejsca do szosy było przez pola około 50 metrów. Skręciliśmy, jedziemy

kilkanaście metrów dalej. Natknęliśmy się na leżącego z pepeszą Sowietą, zawrócił nas z powrotem. Musieliśmy wracać tą samą drogą.

Jeszcze raz wyjechaliśmy na szosę. Klucząc po bocznych drogach nadrobiliśmy około 10 kilometrów. Żeby się z tego miejsca wydostać, trzeba było dojechać bliżej pod Rostock do rozwidlenia dróg. Niedaleko pożądanego rozwidlenia z lewej strony był folwark. Na szosie przy drodze skracającej do tego folwarku stali Sowietci z pepeszą. Na Rostock przepuszczali, w innych kierunkach – nie. Kazali nam zjechać do obozowiska za drutami. Nie było rady, trzeba było wykonać polecenie. Przy bramie obozowiska stał Sowiet. Do środka wpuszczał bez legitymowania. Na zewnątrz należało okazać przepustkę. Na obszernym placu znajdowało się już kilkadziesiąt furmanek i bryczek. Konie puszczane luzem pasły się na trawie. Spotkano tu dużo powracających z robót, z obozów, a wśród nich kilku byłych więźniów z obozu polickiego. Od nich dowiedzieliśmy się, że większa grupa kapo i funkcyjnych 1 maja przeszła do strefy angielskiej. Kilku więźniów szeregowych nie wytrzymało trudów ewakuacji i zmarło, kilku innych zastrzelili esesmani z eskorty. Większość esesmanów uciekła na zachód do Anglików. Kozłowski uciekł na pewno. Więźniowie szeregowi wracają nieliczni. W obozie tym przebywają już dwa dni, ani ich nie legitymują ani nie wypuszczają. Pieszko można iść, ale kto wytrzyma trudy podróży pieszo. Chodzi o to, żeby na furmance dojechać do dawnej granicy Polski. Tam już każdy sobie poradzi.

W tym obozie była większa grupa legionerów łotewskich, litewskich i estońskich z formacji SS. Co jakiś czas przychodził sowiecki oficer, wyczytywał z zeszytu dziesięć nazwisk i wyczytanych zabierał ze sobą na przesłuchanie. Dziesięciu przesłuchanych przyprowadzał. Oni to zarznąli krowę i gotowali zupę.

W chwilę po przyjeździe Książak z Władkiem zaraz się ulotnili. Ja z Michałem wypręgliśmy konia i puściliśmy na trawę. Przynieśliśmy dwa pęki słomy. Zanościło się bowiem, że pozostaniemy tu dłużej. Jeden pęk zostawiliśmy na posłanie, z drugiego zrobiliśmy szałas na gałęziach. We dwóch mogliśmy się zmieścić, tyle że był trochę za krótki. Około godziny czwartej po południu poszedłem do legionerów i otrzymałem pół kubeczka zupy. Była to kartoflanka na mięsie. Na chore żołądki za tłusta i za słona. Michał rozcieńczył ją wodą i jeszcze raz przegotował. Starczyło tej zupy na dwa razy i jeszcze trochę oddaliśmy innym. Gorąca zupa w warunkach polowych smakowała wyśmienicie.

Książak z Władkiem wrócili pod wieczór. Przynieśli ze sobą duże toboły. Były w nich słoiki konfitur, boczki, chleb, marynaty. Usiedli pod biedką, rozłożyli przyniesiony prowiant i mlaskając głośno zajadali z apetytem. Z tych specjałów nie udzielili ani krztyny. Zajęci zdobyczym prowiantem nie zwracali uwagi, że od północnego zachodu nadciągały chmury deszczowe. Pociemniało. Oni jeszcze raz poszli na wyprawę. Tym razem długo nie bawili. Przynieśli damskie futro ukryte w walizie i inną garderobę.

Książak zadowolony z siebie przepakowywał walizy. Władek mu pomagał. Tymczasem chmury gęstniały, zrywał się wiatr, dość ostry w porywach. Poprawiliśmy szałas. Zabezpieczyliśmy stronę północną, osłaniając biedką. Na noc Michał i ja wsunęliśmy się do szałasu. Książak i Władek, okręciwszy się w koce, ułożyli się pod biedką. Chwalili się, że na kolację jedli jajka, zapijając mlekiem. Śmiali się z nas, że zadawałamy się zupką,

zamiast zorganizować coś konkretnego. A tymczasem z Władkiem działo się coraz gorzej. Nie słuchał naszych ostrzeżeń, jadł co Księżak podsuwał, tłuste boczeki, marynaty i inne wątpliwej jakości produkty, nie zważając na skutki. W jego odchodach pokazała się krew. Chwytały go częste bóleści. O jakichkolwiek lekach nie mogło być mowy.

Przed północą zerwała się gwałtowna burza. Spadł ulewny deszcz. W ciasnym szałasie mieliśmy sucho i ciepło. Tamci pod biedką zmokli. Co gorsza, pod nimi utworzyła się kałuża wody. Trzęśli się z zimna. Około godziny piątej rano sięgnął jeszcze drobny deszczyk, w obozie powstał duży ruch. Zauważyłem, że pasące się luzem konie łapiają, zaprzęgają do wozów i wyjeżdżają. Obudziłem Michała. Poszedł po konia, ale naszego już nie było. Wziął więc takiego, jaki nawinął się pod rękę. Była to stara szkapa, w dodatku bez podków. Nie było wyboru, zaprzęgamy i ruszamy w drogę. Tu na biedkę wsiadło nas pięciu. Księżak przyprowadził świeżo zapoznanego kumpla, którego nam narzucił. Ruszyliśmy. Szkapa człapała krok za krokiem. Żadne bodźce nie pomagały. Stojący przy bramie żołnierz z karabinem zapytał:

– A wy gdzie?

– Po owies i siano – odpowiedzieliśmy. Odsunął się na bok, wyjechaliśmy. Kilkadziesiąt metrów jechaliśmy prosto wzdłuż wysokiego, murowanego parkanu okalającego zabudowania folwarczne i pałac, po czym skręciliśmy drogą na wschód, skrywszy się przed obserwacją posterunków sowieckich. Kumpel Księżaka zorientował się, że w tym zaprzęgu daleko nie zajedziemy, zszedł z biedki i przesiadł się na wóz, jadący do szosy głównej. Powiedzenie: „jeden z wozu, koniom lżej” sprawdziło się co do joty. Oszczędzając końskich kopyt, Michał zjechał na bok. Po miękkim gruncie koń szedł raźniej. Po drodze koło folwarku spotkaliśmy Niemca, lat około 30. Mijając nas postawił kołnierz płaszcza i na czoło naciągnął kapelusz.

Kilka kilometrów za folwarkiem stał wypalony budynek, tu można było odpocząć. Jechaliśmy jednak dalej. Dopiero na dwunastym kilometrze od folwarku Michał konia zatrzymał. Dał mu siano i owies. Koń owsa nie mógł jeść, miał za słabe zęby, żuł więc siano. Stąd zaczynały się obszary leśne. Przy skrzyżowaniu dróg nie było oznakowania. Wybraliśmy kierunek północno-wschodni, na wyczucie. Nie było żywego człowieka, który by wskazał właściwy kierunek.

Po nocnym deszczu wypogodziło się na dobre. Słońce dogrzewało. W burcie na trawie można było dobrze wypocząć. Wyjeliśmy z Michałem po kawałek chleba, który wieźliśmy w biedce. Był suchy więc żuliśmy go powoli. Tamci wyjęli boczek ze świeżym chlebem i marynaty. Na te specjały rzucili się żarłocznie. Jedli mlaskając głośno i zachwalając, że to takie dobre.

Na tym postoju doszliśmy z Michałem do wniosku, że chyba obaj zdziczeli do reszty. Obóz w Policach pozostawił po sobie głębokie ślady zdziczenia, ale nie na wszystkich. Szczególnie Księżak objawiał instynkty pierwotne, które musiał ze sobą przynieść do obozu. Inaczej tego nie można wytłumaczyć.

Odpoczywaliśmy w tym zacisznym miejscu około godziny.

Postanowiliśmy jechać dalej. Przez dłuższy odcinek droga wiodła przez las, który miejscami jeszcze się palił. Po nawierzchni asfaltowej koń stawiał nogi pewnie, szedł

stępa. Dojechaliśmy do następnego skrzyżowania. Tablica ze strzałkami wskazywała kierunek na Berlin, nie podając odległości. Stąd pojechaliśmy w przeciwnym kierunku do Berlina, chodziło bowiem o to, żeby znowu nie wpaść w pułapkę.

Cały czas jechaliśmy na wycucie. Wreszcie las się skończył. Teraz na otwartej przestrzeni zorientowaliśmy się lepiej. Właściwie cały czas krążyliśmy w trójkącie Ribnitz-Damgarten–Rostock–Franzburg. Wiele kilometrów przejechaliśmy drogami trzeciej klasy. Szosy pierwszej klasy przeznaczone były dla wojska. Walki w tym rejonie jeszcze nie ucichły. Nietrudno więc dostać się w kocioł. Często, zamiast drogę skrócić, wydłużaliśmy. Najgorsze chyba było to, że wszędzie spotykaliśmy wrogość. Księżak chciał zrobić jeszcze jeden odpoczynek przed obiadem. Michał uznał, że nie ma na to warunków. Musimy wydostać się na drogi proste.

Dojechaliśmy teraz do skrzyżowania z drogami trzeciej klasy. Skręciliśmy bardziej na wschód. Kilka kilometrów dalej na drewnianym słupie drogowym pokazywał kierunek na Franzburg. Po niecałej godzinie jazdy zobaczyliśmy miasto. Wjechaliśmy do niego od strony zachodniej, a więc z górki. Tydzień temu w pochodzie więzińskim maszerowaliśmy pod górkę tą samą drogą przez środek miasta.

Do miasta wjazd był wolny. Teraz można było lepiej rozejrzeć się jak ono wygląda. Miasto mijaliśmy bez sensacji. Dopiero na zakręcie szosy przy wyjeździe z miasta, przed mostkiem, natknęliśmy się na silny oddział NKWD²¹³. Na drogę wyszedł podoficer w skórzanej kurtce. Na pasie przy boku miał pistolet w otwartej kaburze. Podniósł rękę do góry i zatrzymał bryczkę. Zażądał dokumentów.

– Nie mamy żadnych dokumentów – wyjaśniłem. – My z obozu. – Na dowód pokazałem moją nogę, fioletowo-czarną i opuchniętą. Popatrzyli to na nas, to na bryczkę. Pytali o radio i o broń. Odpowiedzieliśmy, że nie mamy. Rewizji zaniechali i puścili nas wolno.

Pod lasem, niecałe 2 kilometry od miasta, stały porzucane chałupy i zabudowania gospodarcze wiejskie. Przy jednej zagrodzie widać było krzątających się Niemców. Tu postanowiliśmy zatrzymać się i zjeść posiłek. Starzy gospodarze sumitowali się, że nic nie mają do jedzenia. Nie dałem za wygraną. Zapowiedziałem Niemcom, że bez gorącego posiłku stąd nie ruszymy i zatrzymamy się na noc. Chcąc się nas pozbyć Niemka zaproponowała kartofle na sucho i gotowane mleko, na co chętnie się zgodziliśmy. Czekając na obiad siedzieliśmy w kuchni. W tym czasie Księżak plądrował po podwórzu i zabudowaniach gospodarczych. Stary Niemiec podążał za nim wzrokiem.

Niemka słowa dotrzymała. Włożyła na jedną miskę parujące kartofle, w drugą nalała gorącego mleka. Usiedliśmy do jedzenia – ja, Michał i Włodek. Świeże kartofle i gorące mleko smakowały nam wybornie. Księżak wrócił. Zjadł kilka łyżek kartofli, coś mu w głowie zaświtało, zerwał się z miejsca i poszedł do drugiej izby. Tam otworzył szafę i zaczął wybierać męską garderobę. Z drugiej izby wyskoczyła młoda Niemka, lat dwadzieścia kilka, narobiła wrzasku i pobiegła na posterunek NKWD. Starzy Niemcy trzęśli się z irytacji. Na posterunku Niemka narobiła krzyku, że Polacy rabują jej dom.

²¹³ Narodnyj Komissariat Wnutriennich Dieł (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) – centralny organ bezpieczeństwa w ZSRS funkcjonujący w latach 1917–1946, przekształcony później w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Najpierw przybiegło z nią czterech Sowietów z pepeszami. Tuż za nimi przyszedł silny oddział żołnierzy w liczbie około dwudziestu. Otoczyli całą zagrodę, zamknęli wyjścia i rozpoczęli przeszukiwanie biedki. Wszystko to odbyło się tak szybko, że nie zdążyliśmy dokończyć obiadu. Wyprowadzili nas wszystkich na podwórze. Niemka wskazała Księżaka, że to on rabował ubrania. Rosjanie odprowadzili go pod stodołę z zamiarem zastrzelenia. Trzymali go pod pepeszami z palcami na cynglach. Z biedki wyrzucili obie walizy Księżaka z pończochami, ubraniami i innymi ciuchami, które wiozł z rozbitego pod Janow pociągu. Zabrali nawet damski płaszcz, który znalazłem na szosie i położyłem na deskę, żeby wygodniej siedzieć podczas jazdy.

Widząc na co się zanosi chodziłem za podoficerem kierującym akcją i prosiłem go, żeby Księżaka uwolnił. Wyjaśniałem mu, że chciał się lepiej ubrać (był już w ubraniu cywilnym). Ja i Michał byliśmy w pasiakach. Jakoś moja prośba trafiła mu do przekonania. Księżaka kazał puścić wolno. W każdym razie strachu się najadł. Rosjanie zabrali mu obie walizy z tym co wiozł. A najcenniejsze w tym były nowiutkie pończochy damskie w opakowaniach fabrycznych, paręset par. W drugiej walizce miał cenne damskie futro. Stamtąd wyjechaliśmy szybko, kierując się szosą wiodącą przez las. Księżak trząśł się na całym ciecie.

Przy pierwszym skrzyżowaniu dróg skręciliśmy na wschód. Ujechaliśmy w tym kierunku więcej jak 10 kilometrów. Zdecydowałem, że w pierwszej napotkanej wsi zatrzymamy się na nocleg. Tym razem nie poszło tak łatwo. Minęliśmy jeszcze trzy wsie, napotykając wszędzie na jakieś przeszkody i wrogość. Dopiero pod sam wieczór zatrzymaliśmy się na skraju jednej wsi. Michała, Władka i Księżaka wysłałem do jednej chałupy, sam poszedłem do drugiej. Za chwilę przybiegł Księżak, żeby interweniować, bo Niemcy nie chcą mu dać jeść. Sprawdziłem. Istotnie bogactwa tam nie było. Gospodarze radzili, żeby pojechać jeszcze 2 kilometry dalej, gdzie napotkamy dobre wyżywienie i nocleg. Pojechaliśmy.

Tamci Niemcy mówili prawdę. Zabudowania gospodarcze, stajnie, obory, chlewnie, spichrze i budynek mieszkalny świadczyły o dużej zamożności. Bitwy tu nie było, wszystko pozostawało nietknięte. Właściciel, oprócz gospodarstwa, musiał zajmować jakiś wysoki urząd w III Rzeszy. W pokojach i pomieszczeniach mieszkalnych pozdejmowali ze ścian podobizny dostojników niemieckich. Widać to było po śladach. Na spotkanie wyszła starsza Niemka. Oznajmiłem jej, że pozostaniemy tutaj na noc. Poprosiłem ją o kolację i miejsce dla czterech ludzi. Konia należy ulokować w stajni i nakarmić. Niemka z odpowiedzią wyraźnie zwlekała. Nie wiedziała, co ma dać na kolację, a gospodarz nie wracał – nie miała kogo zapytać.

W czasie rozmowy z Niemką Michał wyprzągł konia i zaprowadził do stajni. Biedkę pozostawił na podwórze. Zbraliśmy się wszyscy w czeladnej. Niemka, jak uzgodniłem, przyniosła kaszę z mlekiem. Księżak i Władek kręcili nosami.

Tu, podobnie jak na kwaterze pod Ribnitz, przyjechał za nami wóz z Ruskimi. Wszyscy byli jeszcze młodzi, a wśród nich jedna kobieta. Na noc do snu Niemka nie chciała nikogo wpuścić do pokoju. Ruski weszli siłą. Otworzyli drzwi i powiedzieli, żeby się do nich dołączyć. Odmówiłem. Poszedłem z Michałem do sąsiedniego budynku. Na

poddaszu było pomieszczenie do spania dla służby. Tu cicho i bezpiecznie – pomyślałem. Położyliśmy się na łóżku zamknawszy przed tym drzwi. W tym samym czasie Księżak z Ruskimi otwierali szafy, wyciągali garderobę i co cenniejsze przedmioty. Z kredensów zabierali nakrycia stołowe, platery, srebra. Na kolację kazali sobie smażyć naleśniki. Niemka wykonywała polecenia trzęsąc się ze złości i nienawiści.

Na noc Ruski ulokowali się w sypialni, a z nimi Księżak i Włodek.

Rano z Michałem obudziliśmy się wcześniej. O kiju powoli zszedłem z niewygodnych schodów. Michał przewijał sobie na nogach bandaż. O tej porze na podwórzu panowała jeszcze cisza. Rozejrzałem się lepiej po gospodarstwie. Zamożność tu była duża. Ładniejsze konie ukryto poza gospodarstwem, w stajni stała stara szkapa i dwa źrebaki nie nadające się do zaprzęgu. Część krów ukryto, kilka gorszych stało w oborze, w chlewach chrząkały świny. Na podwórzu biegały stada kur, kaczek i gęsi. Przy zabudowaniach gospodarczych kręciły się kobiety, zbierając jajka, nosząc konwie z mlekiem od krów znajdujących się w ukryciu. Przy stajni kręcił się Niemiec, widocznie gospodarz, ubrany w zielony mundur, na rękawie miał widoczny ślad po przepasce SA, w zielonym kapeluszu z piórkiem i wstążką tyrolską. Do kobiet mówił w formie rozkazu. Wyglądał i zachowywał się butnie. Jak mnie zobaczył, szybko się ulotnił. Pasiaki działały odstraszająco.

W czeladnej zająłem miejsce i poprosiłem Niemkę o śniadanie. Podobnie jak wczoraj na śniadanie postawiła kaszę z mlekiem i po kawałku chleba. Ruski, Księżak i Włodek zjadali wczorajsze naleśniki i popijali mlekiem. Ruski znaleźli wódkę, co nie udało się Księżakowi.

Ruski, jak się następnie okazało, mówili biegle po polsku – byli to Ukraińcy. Powiedzieli nam, że kierują ich na zborne punkty i wcielają do wojska sowieckiego. Oni się wzbraniają. Po śniadaniu postanowili się rozejść, żeby pojedynczo przejść do Amerykanów. Chodzi o Ukrainkę, którą wiozą ze sobą. Ona ma zamiar jechać do domu, więc nalegają, żeby ją zabrać ze sobą i podwieźć do czynnej stacji kolejowej. Nie chciałem się zgodzić, na biedce nie było miejsca. Podszedł do mnie Michał i powiedział, że w naszym imieniu Księżak już się zgodził. Odradzałem Michałowi. Nie skutkowało. Wszyscy trzej zaczęli mnie przekonywać, że ona zna dobrze język rosyjski i może uchronić nas w przypadku niepożądanych przygód, które w tych warunkach mogą się zdarzyć. Handryczyłem się z nimi więcej, jak pół godziny, w końcu ustąpiłem.

W odległości około 100 metrów od zagrody stała w polu samotnie stodoła. Szukając lepszej uprzęży, poszedłem z Michałem do tej stodoły. Michał wszedł pierwszy. Na poprzecznej belce nad klepiskiem wisiał człowiek. Prawdopodobnie wisiał od wczoraj. Z ubrania, spracowanych rąk i ogorzalej twarzy wyglądał na robotnika. Z tą wiadomością wróciliśmy na podwórze. Kto to mógł być? Na Niemca nie wyglądał.

W tym czasie, z pepeszą pod pachą, kręcił się po podwórzu żołnierz sowiecki, czuć było od niego alkohol. Darł się na cały głos:

- Kiela! – Nikt nie rozumiał o co mu chodziło. Zapytałem go:
- Czego chcesz? – Wskazując ręką na ogród powtarzał:

– Kiela, kiela. – Domyśliłem się, że chodzi mu o piwnicę²¹⁴, znajdującą się w ogrodzie.

Powiedziałem temu Sowietowi, że w stodole wisi człowiek. Można się domyślać, że powiesili go Niemcy. On nie namyślając się kazał go zdjąć i pochować w ogrodzie. Ruski wisielca zdjęli, wykopali dół w ogrodzie i ciało zagrzebali. Księżak zrobił krzyż katolicki – ponoć sam był gorliwym katolikiem – i zakopał go w świeżej mogile. Wisielca pochowano w pobliżu piwnicy, między drzewami owocowymi. Sowiet straszyl mnie komendantem, że o morderstwo mam pretensję do Niemców. Od kobiety usługującej w kuchni dowiedziałem się, że Sowiet ten przychodził tu już kilka razy i zawsze dostawał wódkę, wino i papierosy. Tym razem poszedł do piwnicy, skąd przyniósł kilka butelek wina. Usiadł pod domem i za jednym zamachem opróżnił dwie butelki. Chodził po podwórzu z pepeszą pod pachą, mocno chwiejąc się na nogach.

Przynaglałem do odjazdu. To miejsce nie nadawało się na dłuższy postój. Księżak wstrzymywał. Chciał u tej Niemki zjeść drugie śniadanie i na drogę zabrać kilka słoików konfitur. Wczoraj, przeszukując schowki w spizarni, znalazł ich pewien zapas. Zwymyślałem go za to. Przed odjazdem Ruski wpakowali nam Ukrainkę. Wyglądała fantastycznie grubo. Na sobie miała kilka kompletów bielizny, sukienek, franki, którymi opasała się pod wierzchnią sukienką. Na to wszystko wdziała płaszcz.

Ruszyliśmy. Zrazu jechaliśmy drogami trzeciorzędnymi, kierując się na Grimmen. Po całodiennej jeździe pod wieczór dotarliśmy do wsi. Czas był zająć na nocleg kwatere. Chodziłem od chałupy do chałupy, ale nigdzie nie chciano nas nocować. Niemcy stawiali się hardo. W środku wsi przy zakręcie drogi spotkałem Niemkę w średnim wieku i starszego Niemca. Poprosiłem ich o nocleg. Po pewnym wahaniu zgodzili się. Wnet się okazało, że byli rozmowni.

W kuchni zatrzymali nas wszystkich na kolację. Na stół postawili jakąś zupę jarzynową. Mnie i Michałowi Niemka przygotowała spanie w łóżku, tamtych Niemiec ulokował w stodole na słomie. W pokoju rozejrzałem się. Rodzina była tu dużo większa. Można było zorientować się po ilości łóżek. Część z nich ewakuowała się na zachód. W domu pozostało tylko tych dwoje.

Gdy tamtych wyprawiono spać, Niemcy długo rozmawiali ze mną i z Michałem. Przed snem dali nam jeszcze po kubku mleka. Piliśmy powoli. Niemiec wyszedł przed sień i zobaczył, że Księżak plądruje w obejściu, wrócił z oburzeniem. Musiałem Księżaka zapędzić do stodoły, a Niemca jakoś uspokoić. Spałem czujnie. Zauważyłem, że Niemiec nie spał, co jakiś czas wychodził na dwór. Podobnie jak Księżak zachowywała się Ukrainka. Odpędziłem ją od szaf i kazałem Niemcowi zamknąć pokój. Zanim wszedłem do łóżka poprosiłem Niemca o brzytwę. Ogoliliśmy się obaj z Michałem. Niemka zagrzała wody. Zewnętrznie wymyliśmy się w miednicy i wymoczyliśmy nogi. To przyniosło nam dużą ulgę. Pościel w łóżku była rzeczywiście czysta. U gospodarzy złych zamiarów nie dostrzeżyliśmy. Zwykli ludzie ciężkiej rolniczej pracy.

Około godziny wpół do siódmej rano wstaliśmy lepiej wypoczęci i w dobrym nastroju. Ukrainka i Księżak buszowali już po wsi i w obejściu. Wyszedłem na podwórze.

²¹⁴ (niem.) Keller – piwnica.

Wszędzie ład i porządek. Wojna tędy nie przeszła. Na śniadanie gospodarze przygotowali kawę z mlekiem i chleb z marmoladą. Dla mnie i Michała Niemka ugotowała zacierkę na mleku rozcieńczonym wodą. Przy śniadaniu powiedziałem Niemcowi, że Michał nie ma butów. Kamasze, które ma na nogach rozlatują się. Niemiec poszedł do komórki i przyniósł parę butów. Były to saperki używane do robót w gospodarstwie i w polu poważnie schodzone, ale jeszcze się trzymały. Na prawym bucie na kostce znać było wyciętą dziurę. Michał przymierzył, pasowały. Zadowolony z nabytku poszedł szukać podków do starej szkapy. Niemiec, wiedząc o naszych kłopotach, szybko wyszukał potrzebne podkowy. Razem z Michałem przybili je do kopyt częściowo hufnalami²¹⁵, częściowo gwoździami. Stara szkapa została podkuta. Niemiec zgodził się biedkę zamienić na wóz. Ukrainka wycygała od niego jeszcze jednego konia. Niemiec nie oponował, gdyż mieli już nakaz oddawać konie dla armii sowieckiej.

Po tych przygotowaniach siedzieliśmy z Michałem na wozie gotowi do odjazdu. Gospodarzom podziękowałem za wyświadczoną przysługę. Nagle podniósł się krzyk. Ukrainka i Księżak rozbijał szafę Władek im pomagał. Michał ruszył. Ukrainka, widząc naszą ucieczkę, podniosła krzyk, obrzucając nas niewybrednymi wyrazami o zabarwieniu nacjonalistycznym. Michał uległ. Konie zatrzymał. Szabrownicy podbiegli, władowali walizy na wóz i dali znak do odjazdu. Robiłem Michałowi wyrzuty – po co zatrzymał konie? To, co robi Ukrainka, Księżak i częściowo Władek, to jest czysty rabunek. Nie ma to nic wspólnego z rewanzem za popełnione przez Niemców zbrodnie na Polakach. Wszyscy byliśmy tym faktem podenerwowani.

Postanowiliśmy jechać bez odpoczynku jak najdalej. W godzinach przedpołudniowych zbliżyliśmy się do miasta Grimmen. Przed wjazdem, przy przejeździe kolejowym, stał posterunek składający się z kilku żołnierzy sowieckich. Obok nich leżała duża sterta rowerów odebranych powracającym. Na spotkanie z nami wyszło trzech żołnierzy sowieckich. Zatrzymali nas. Wóz zrewidowali. Ukrainka na ich widok darła się na całe gardło: „niech żyje Stalin!”, „witajcie!” i temu podobne. Wskazując na mnie i na Michała mówiła do rewidujących nas żołnierzy, że to polscy bandyci. Wszystko to wyrzucała z siebie po rosyjsku. Żołnierze słuchali zdumieni. Patrzyli to na mnie, to na Michała. Jeszcze raz wolno, nawet flegmatycznie przeszukali wóz. Ukraince zabrali zrabowane futra, po czym dając znak ręką kazali jechać.

W mieście można było zobaczyć na ulicach tylko nielicznych starych Niemców, sporo powracających z obozów i robót. Można ich było łatwo odróżnić po wyglądzie, a nawet po walizkach i tobołkach. Niektórzy ledwo powłóczyli nogami. Na Starym Mieście dużo kręciło się żołnierzy sowieckich. Wchodzili i wychodzili ze sklepów. Przez otwarte drzwi wзираła z nich pustka. Czasem jakiś żołnierz trzymał w ręku słoik z marynatami. W dzielnicy nowoczesnej, gdzie ulice były szersze, żołnierze sowieccy chodzili grupami. Tam, gdzie do sklepu drzwi były zamknięte, wyważali je. Ze środka wynosili przedmioty gospodarstwa domowego, obuwie męskie i damskie, norymberszczyznę²¹⁶ i trochę artykułów spożywczych. Na ulicy przyglądali się temu i wyrzucali. Księżak aż się

²¹⁵ Hufnal – specjalny gwóźdź o przekroju zbliżonym do kwadratowego, stosowany do podkuwania koni.

²¹⁶ Norymberszczyzna – dawne określenie galanterii.

unosił na wozie, chciał część tych rzeczy zabrać. Nie zgodziłem się na jakikolwiek postój w mieście. Jechaliśmy dalej. W mieście nikt nas nie zaczepiał. Regulowszczyk czerwoną chorągiewką wskazał kierunek jazdy na Demmin.

Niedaleko za miastem widoczne były ślady większej bitwy. Przy szosie i po polu wały się rozrzucone hełmy, uszkodzone lub zniszczone wozy taborowe, wraki uszkodzonych czołgów, zniszczona broń i inny sprzęt niemiecki i sowiecki. Zabitych i rannych już uprzątnięto. Nieco dalej przy gościńcu stał wrak spalonego sowieckiego czołgu. Przy nim leżało ciało spalonego czołgisty. Była to raczej kukła spalonego człowieka, nie dłuższa jak 70–80 centymetrów. Dalej na polach stało więcej wraków spalonych czołgów. Tego rodzaju ślady po bitwie ciągnęły się szerokim pasem na przestrzeni kilku kilometrów. Wiele porzuconej broni nadawało się jeszcze do użytku. Nikt tego nie pilnował, można było brać, co kto chciał. Tylko po co?

Na szosie żołnierze sowieccy uczyli się jeździć na rowerach. Przewracali się i łamałi rowery. Wiele uszkodzonych i połamanych rowerów leżało w burtach przy szosie. Patrząc na nich odnosiło się wrażenie, że od dzieciństwa nie mieli do czynienia z tego rodzaju sprzętem. Ujechaliśmy już spory kawał drogi, zbliżał się wieczór. Pod lasem, tuż przy szosie, stały cztery budynki. Był to jakiś motel, restauracja i pomieszczenia dla przejeżdżających. W tych budynkach wszystkie miejsca były zajęte przez wojsko sowieckie. Panował duży ruch. Samochody to wjeżdżały, to wyjeżdżały. Gęste posterunki nie pozwalały się zatrzymywać. Żołnierze gapili się na nas z zainteresowaniem. Kilka kilometrów dalej skończył się las. Ognista kula słońca chowała się za gromadzące się chmury nad horyzontem. Czas na nocleg. W odległości około 2 kilometrów od szosy widać było kilka chałup. Michał skręcił w polną drogę, zatrzymał się przy pierwszej chałupie. Na spotkanie wyszło kilku mężczyzn. Wracali z robót rolnych, wszyscy Polacy. Podobnie jak my jechali na wozie. Doradzili nam, żeby pojechać dalej na wieś, gdzie jeszcze można znaleźć dobrą kwaterę. Przy następnej chałupie Niemka stawiała się hardo. Nikogo nie chciała wpuścić. Spokojnie i rzeczowo przemówiłem do jej rozsądku. Po pewnym wahaniu zgodziła się zakwaterować dwie osoby, to jest mnie i Michała. Tamtych troje wysłała do następnej chałupy.

Na tej kwaterze rzeczywiście nie przelewało się. Niemka na kolację przygotowała żurek i herbatę miętową bez cukru. Sumitowała się wyjaśniając, że na kartki cukru nie otrzymywali od dłuższego czasu. Ci, którzy hodują cukrowe buraki, sami sobie przyrządzają syrop i tym słodzą. Ona tego nie robi. Po kolacji Michał zajrzał do koni. W tym czasie rozmawiałem z Niemką o warunkach życia na wsi pod rządami III Rzeszy. Jej zdaniem, warunki te były bardzo ciężkie.

Do snu Niemka udostępniła nam łóżko. Na siennik wypchany słomą nakryła czyste prześcieradło i położyła dwie poduszki. Do przykrycia mieliśmy własne koce. Przed snem umyliśmy się ciepłą wodą. Spaliśmy czujnie, nasłuchując czy nam ktoś nie uprowadzi konia lub wóz. W tamtych warunkach koń z wozem miał wartość bezcenną.

Wstaliśmy około godziny szóstej. Niemka przygotowała na śniadanie czarną kawę, chleb, trochę marmolady i margaryny. Zupełnie jak w obozie, tylko było tego więcej. Kwaterując to tu, to tam, u ludzi biednych czułem się lepiej, jak u bogatych. Po

śniadaniu podziękowaliśmy Niemce za gościnę i wyszliśmy na gościniec. W tej wsi odłączył od Księżaka jego kumpel, który po drodze przysiadł się na nasz wóz. Był to ten sam, który zrezygnował z naszej biedki po wyjeździe z sowieckiego obozu pod Rostockiem. Tym razem rozstał się z nami na dobre.

Michał zaprzągnął konie do wozu. Zawiadomiłem Księżaka, że wyjeżdżamy. Niechętnie przyjął tę wiadomość. Namyslił się. Po kilkunastu minutach przyszli: Księżak, Władek i Ukrainka. Władek czuł się bardzo źle. Cerę miał ziemistą, prawie szaro-zieloną. Mówił, że się z niego leje. Łapią go często boleści i trzymają dość długo. Niekiedy godzinę i dłużej. Powiedział, że zrozumiał zły wpływ Księżaka i rezygnuje z jego wikt i towarzystwa, woli trzymać się mnie i Michała. Księżak chwalił się, że na kolację i śniadanie jedli mięso, wędlinę i jajecznicę, które wbrew woli Niemca wzięli sobie sami. Władek, mimo boleści, jechał to samo.

Wyjeżdżając z zagrody zauważyłem, że Niemka przygląda się z zainteresowaniem Ukraince, która od wdzianej na siebie szabrowanej garderoby była strasznie gruba. Wyglądała jak baryłka o brzydkiej twarzy, kanciastej, włosach rudo-blond. Ukrainka nieumyta, z posklejanymi od potu i brudu włosami, wyglądała prawdziwie odrażająco, jak meduza wydzielająca niemłą woń potu i naftaliny.

Ruszyliśmy. Do Demmin jechaliśmy niecałą godzinę. Wjeżdżaliśmy od strony północnej. Miasto niewielkie, prawie nienaruszone, dużo zieleni. Mnóstwo sowieckich żołnierzy. Przez środek miasta przejechaliśmy bez zakłóceń kierując się na wschód do miejscowości Jarmen. I tu, podobnie jak pod Grimmen, dużo żołnierzy uczyło się na szosie jazdy na rowerach. W rowie leżały połamane rowery. W samym mieście po ulicach kręciły się dzieciaki niemieckie, co oznaczało, że w mieszkaniach musieli być ich bliscy. Jechaliśmy niby ludzie wolni, mimo to wszędzie wyczuwało się pewien niepokój. Rosjanie potworzyli obozy pułapki dla powracających z Rzeszy, które rozważnie należało omijać.

Ukrainka piekliła się po drodze, że nie jedziemy szosami głównymi. Mijając po drodze większe lub mniejsze oddziały wojska sowieckiego darła się ona na całe gardło, że końmi powożą polscy bandyci, to znaczy Michał i ja. Żadne słowo rozsądku do niej nie docierało. Około południa minęliśmy Jarmen, kierując się dalej na Anklam. W miarę zbliżania się do miasta, coraz więcej patroli kręciło się po szosie. Na piątym kilometrze silny posterunek zagroził drogę wjazdu do Anklam. Kazali zjechać na bok. Wskazana droga wiodła do obozu-pułapki założonego pod miastem. Musieliśmy nadrobić drogi, żeby ominąć tę pułapkę. Ukrainka darła się wniebogłosy i mieszała nas z błotem. Wjechaliśmy w jakąś drogę brukowaną polnym kamieniem, która prowadziła przez las. W miarę zagłębiania się w las z obu stron drogi dochodził gęsty dym palącego się lasu. Na zakręcie dojrzelśmy słupy ognia, dym zasnuł widoczność. Zdecydowaliśmy jechać środkiem. Jednak w pewnym miejscu ogień był tak wielki, że płomienie i dym tworzyły zwartą całość i zaporę nad szosą. Konie parskwały, płoszyły się i cofały. Zdecydowałem, jedziemy na wprost. Z trudem udało nam się poprowadzić konie, gdyż z obu stron sięgał nas ogromny żar. Po kilkunastu minutach zmagania przejechaliśmy. Tu już wiatr rozwiewał dym, powietrze stawało się coraz czystsze. Zatrzymaliśmy się. Konie miały

nadpaloną sierść i grzywy, my byliśmy okopceni i zażawieni. Ukrainka znowu robiła sceny budzące odrazę i obrzydzenie.

Na szczęście las nie był głęboki. Mijaliśmy wyludnione wsie. W opuszczonym folwarku zrobiliśmy postój. Należało się rozprężyć, coś niecoś zjeść, koniom dać odpoczynek i obrok. Napotkanego starego Niemca pytałem o drogę na Pasewalk. Wskazał drogi boczne i dojazd do szosy głównej. Po odpoczynku ruszyliśmy. Miasto Anklam pozostało daleko za nami.

Na skraju mijanej wsi zatrzymaliśmy się, żeby zasięgnąć języka. Zszedłem z wozu i rozejrzałem się po okolicy. Cicho i pusto, żadnej żywej duszy nie było widać. Księżak i Ukrainka chodzili po mieszkaniach, wyciągając z szaf garderobę. Zabierali co cenniejsze rzeczy i nosili na wóz. Ja z Michałem poszedłem do stodoły po paszę dla koni. Biorąc siano odkryliśmy schowek z wędzonym mięsem. Wzięliśmy po szynce i jednym boczku. Wszystko w dobrym stanie, wędzone domowym sposobem. Konie miały większą wiązkę siana. Zapowiedzieliśmy z Michałem odjazd. Księżak ciskał się, że stoimy tak krótko, wieś jest całkowicie pusta, można nabrać dużo wartościowych rzeczy. Ukrainka wdziała na siebie jeszcze więcej sukienek, koszule zawinęła w tobołek, jeszcze raz pobiegła do chałupy i przyniosła franki. Z tego co pozostawili Niemcy można było się zorientować, że alarm zaskoczył ich w ostatniej chwili. Uciekli tylko z tym, co mieli pod ręką.

Nie było czasu do stracenia, jechaliśmy dalej.

Jeszcze około dwóch godzin tłukliśmy się po bocznych drogach. Pewien odcinek jechaliśmy szosą, z której skręciliśmy w gościniec, kierując się do dużej wsi. Pod górką na uboczu stało kilka zagród. Do jednej z nich zajechaliśmy. Zastaliśmy tam Niemkę, nieco powyżej trzydziestki. Początkowo stawiała się hardo i nie chciała się zgodzić na postój. Po krótkiej perswazji i wyjaśnieniu, zgodziła się udzielić kwatery dla całej piątki. Wyłożyliśmy konie. Michał zaprowadził je do stajni i zaobroczył. W tym czasie rozglądaliśmy się po obejściu. Tu gospodarstwo było znacznie zapuszczone. Po pewnym czasie Niemka wyszła i zaprosiła wszystkich do mieszkania. Mnie zaprowadziła do jednego pokoju i wskazała, gdzie mogę spać. Na kolację zamówiłem dla wszystkich mleczną zupę z zacierką. Podczas gotowania zupy Niemka zagadywała mnie, chcąc się dowiedzieć kim jesteśmy i dokąd jedziemy. Nie odpowiadałem. Czułem się tego dnia wyczerpany. Mój ponury nastrój udzielił się pozostałym. Po kolacyjnej zupie, zbierając talerze, jeszcze raz mnie zapytała, czy wszyscy powracający z obozu wyglądają tak ponuro? Coś tam jęknąłem i na tym urwałem rozmowę. Poszliśmy spać. Na dworze jeszcze było widno. Ja z Michałem zrobiliśmy sobie posłanie na świeżej słomie w stodole, pozostali poszli spać do wskazanego pokoju. Czuwaliśmy, żeby nam ktoś nie ukradł koni lub wozu.

Wczesnym rankiem, a była to już środa 9 maja, przyszła Niemka do stodoły i zapytała mnie, czy cała piątka jedzie dalej.

– Chyba tak – odpowiedziałem. – Wyjeżdżamy zaraz po śniadaniu. – Zadowolona poszła przygotować śniadanie. Ugotowała zupę mleczną, usmażyła naleśniki, które podała na słodko, jak mówiła – po niemiecku. Przy śniadaniu rozgadała się. Zwracając się do mnie powiedziała, że jej mąż służy w Wehrmachcie, jest w Norwegii. Czeka na jego powrót z utęsknieniem, gdyż nie ma komu robić w polu. Wlepiła we mnie ślepią

i monologowała dalej, że gdybym zechciał tu pozostać, to miałbym dobrze. Odpowiedziałem jej krótko:

– Ani ja, ani moi koledzy nie mamy zamiaru zostać. Jedziemy odbudowywać nasz kraj, który zniszczyli Niemcy. – Zamilkła.

Około godziny ósmej rano ruszyliśmy w dalszą drogę. Niemka radziła jechać na Friedland i Strasburg. Początkowo droga wiodła wśród pól, a następnie znaczny odcinek jechaliśmy wśród lasów. Po drodze do Friedlandu zjeżdżaliśmy kilka razy z szosy, żeby nie tarasować drogi oddziałom sowieckim, jadącym na zachód. Ukrainka, na widok mijających nas oddziałów, znów darła się po rosyjsku wskazując na mnie i na Michała, że to polscy bandyci i że uciekają od Ruskich, bo się boją kary. Darła się tak długo, aż spowodowała żołnierzy jadących samochodem ciężarowym. Zatrzymali nas. Wylegitymowali najpierw Michała, potem mnie. Mimo nalegania z jej strony, machnęli ręką wsiedli do samochodu i odjechali. Dopiero teraz Michał uświadomił sobie jakiego wiezie szakala. Kilkakrotnie miał okazję, żeby ją zgubić, czego nie uczynił.

Przy okazji zjeżdżania z szosy zrobiliśmy na tym odcinku dwa odpoczynki, zresztą niezbyt długie. Następny odcinek jechaliśmy drogą boczną. Orientację mieliśmy utrudnioną, gdyż na tych drogach nie było żadnych drogowskich znaków. Rzadko gdzie można było spotkać Niemca, a jeśli się taki nawinął, to na nasz widok umykał.

Pod wieczór dojechaliśmy do dużego folwarku, który minęliśmy. Stąd już nie było daleko do szosy głównej. Niestety, kręcące się gęsto patrole wojskowe z szosy zawróciły nas z powrotem. Jak się dowiedzieliśmy, szosa ta była przeznaczona wyłącznie dla pojazdów wojskowych. Wróciliśmy więc pod folwark. Zbliżał się już wieczór, czas pomyśleć o noclegu. Zszedłem z wozu, żeby się zorientować w sytuacji. Do bramy folwarku wiodła utwardzona droga, wysadzona po obu stronach drzewami. Od bramy na lewo był podjazd do piętrowego budynku mieszkalnego, na prawo rozciągały się rozległe zabudowania gospodarcze, spichrze, stajnie, obory, chlewnie, budynki warsztatowe, budynki przetwórstwa owocowo-warzywnego, mleczarskie i inne – istne miasteczko. Między budynkami gospodarczymi i inwentarskimi podwórza brukowane. Pośrodku koryta do wodopoju zwierząt. W czasie mojego rekonesansu przyjechał na rowerze jakiś oficer sowiecki. Nie zatrzymując się wszedł do środka pałacu. Po chwili na spotkanie ze mną wyszła stara, dostatnio ubrana Niemka. Zapytałem ją, czy można tu zakwaterować.

– Jest już późno – wyjaśniałem. – Szosa do Pasewalku dla pojazdów cywilnych zamknięta. Nie mamy wyboru, musimy tu przenocować.

Zgodziła się. Powiedziała, że dopiero przed paru godzinami odeszli Francuzi. Ostrzegła, żeby nie ruszać żadnego mięsa z pobitych krów, cieląt, świń, owiec i koni zalegających na podwórzu i w budynkach inwentarskich. Kilka dni wcześniej przeszły tędy oddziały sowieckie, część inwentarza żywego zabrali, resztę wystrzelali. Postój mieli krótki, więc to wszystko w takim stanie rozkładu pozostawili. Gdy rozmawiałem z Niemką, oficer sowiecki, który przyjechał na rowerze, wyszedł z pałacu i poszedł do piwnic. Wyniósł stamtąd kilka słoików konfitur i woreczek cukru – około 2 kilogramów. Niemka widząc to pobiegła do niego i płacząc prosiła o pozostawienie cukru. Tłumaczyła oficerowi, że to cały zapas, jaki jej pozostawili kwaterujący tu Francuzi. Sowiet stanął zakłopotany.

Podbiegła do niego Ukrainka, która już zdążyła zleźć z wozu, a on jej cały woreczek cukru oddał. Teraz ona, rozkazując, kazała mu odjechać. Niemka patrzyła z dużą goryczą na Ukrainkę, prosiła ją o zwrot cukru. Ukrainka zniosła go do wozu i schowała.

Mimo rozległych zabudowań inwentarskich nigdzie nie można było zostawić na noc koni, które na widok i odór padliny płoszyły się. Dopiero w sieni, przy drabinie, po której wchodziło na strych, gdzie leżały sterty owsa, konie dały się uwiązać.

W izbie czeladnej zastano kilka Niemiek przy kuchni. U jednej z nich na kolację dla siebie i Michała zamówiłem mleczną zupę. Księżak, Ukrainka i Władek przeszukiwali spizarnię. Znaleźli kilka słoików konfitur, dwa słoiki mięsa w marynacie i groszki. Poszli do drugiego pomieszczenia, zasiedli do stołu i zjadali to na zimno. Niemka proponowała im do picia szalwicy, odmówili jednak. Śmiali się z nas, że karmimy się zupkami. Dla mnie i Michała Niemka obiecała zaparzyć miętę.

Późnym wieczorem Niemka dała znać, że mięta jest już gotowa. Michał położył się spać, z miętą zrezygnował. Ja poszedłem do kuchni, usiadłem przy stole. Niemka postawiła przede mną dzbanek z miętą i filiżankę. Piłem powoli, w milczeniu. Niemka przysiadła obok i przyglądała się z zainteresowaniem. Po chwili zapytała, czy może mi powróżyc. Skinąłem głową. Zaczęła od rysów twarzy, określiła charakter i postawiła mi pierwsze horoskopy, po czym przyglądała się liniom na lewej ręce. Nagle w kuchni zjawił się sowiecki oficer, starszy lejtnant. Rozejrzał się po kuchni, wszędzie było cicho. Michał spał w izbie czeladnej, tamtych troje spało na górze w sypialni. Starszy lejtnant oparł się dłońmi o blat stołu i pytał skąd jedziemy, ile jest osób? Odpowiadałem, jak umiałem:

– Jedziemy z obozu, jest nas czterech Polaków. Po drodze Ruski władowali nam Ukrainkę, a sami poszli na zachód. Wszyscy wracamy chorzy, nie mamy siły od niej się opędzić. Po drodze, mijając oddziały wojsk sowieckich, ona wykrzykuje, że my polscy bandyci i że odda nas do NKWD.

Starszy lejtnant zgrzytnął zębami, po chwili powiedział:

– Wszyscy Ukraińcy to swołocz. – Następnie wyjaśnił, że Ukraińców trzeba traktować gorzej jak Niemców. – Czy wiecie jakie zmiany zaszły na świecie? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem. Od kilku tygodni nie miałem w ręku nawet niemieckiej gazety. Zadawał mi jeszcze kilka podchwytliwych pytań, a upewniwszy się, że moje wiadomości są rzeczywiście skąpe, rozpoczął dłuższe przemówienie, które w największym streszczeniu można ująć w formie cennych wskazówek. Do Warszawy nie ma po co wracać, leży ona całkowicie w gruzach. W istniejącej sytuacji lepiej zostać tutaj, wśród Niemców. Tu jest większe bogactwo. Podkreślał wrażenia wyniesione z Polski. W Polsce większy dobrobyt można zauważyć gołym okiem, ale dopiero na zachód od Wisły. To, co zobaczył w Niemczech, upewnia go o ich bogactwie. Hitler, to jakiś pomylenieć. Dlaczego rozpoczął wojnę z Rosją? Przecież to kraj wstrząsany ciągłym kryzysem i eksperymentami ekonomicznymi. Gdyby nawet udało się Hitlerowi zająć ziemie rosyjskie po Ural, to nie starczyłoby mu życia i środków, żeby ziemie te prawidłowo zagospodarować. Siłą ludzką w Rosji i w Polsce wyniszczył i narobił sobie wrogów na kilka pokoleń. Na szczęście dziś po południu padł. Wiadomość ta jest pewna. Odebrał wiadomości z kwatery głównej, że wojna się skończyła. Wieczorem wiadomość ta została uzupełniona

rozkazem o likwidacji polowych lotnisk i zwożenia bomb do wyznaczonych magazynów. Flaga sowiecka powiewa na ruinach kancelarii Hitlera. W Berlinie walki ustały. Jeżeli gdzieś dochodzi do sporadycznych walk, wkrótce i te gniazda oporu zostaną zlikwidowane. Mówił o ofiarach narodu rosyjskiego. Podczas walk pod Leningradem i Moskwą kilkaset tysięcy ludzi zmarło z głodu. Wspominał o polskiej armii, która pod rozkazami generała Andersa wyszła z Rosji. Uważał to za duży błąd. Krótko naszkicował Manifest Lipcowy²¹⁷ i Komitet Lubelski²¹⁸.

– Rząd Osóbki-Morawskiego²¹⁹ – powiedział dosłownie – stanowi pozór dla zagranicy. Wszystkie ziemie zajęte przez armię sowiecką są na zawsze rosyjskie. Polacy mogą otrzymać co najwyżej autonomię na wzór republik związkowych.

Wykorzystałem chwilę przerwy i zapytałem go, jak długo służy w wojsku. Odpowiedział, że jedenaście lat.

– Tak długo? – zdziwiłem się. Wojna toczy się dla Rosji dopiero cztery lata.

– Tak – odpowiedział. – My w Rosji wolimy służyć w wojsku, gdzie dają ubranie, wyżywienie, nieźle płacą, nie trzeba ciężko pracować, wyrabiać dziennej normy – tylko trzeba się stale uczyć.

Zapytałem go o wykształcenie. Odpowiedział, że skończył Wyższą Szkołę Wychowania Politycznego, ma całkiem dobre warunki. Jest zastępcą dowódcy pułku do spraw politycznych. O niemieckiej gospodarce wyrażał się z uznaniem. Widział wiele republik rozległego imperium sowieckiego, wiele ludów – wszędzie żyją biednie. Wpadłem mu w słowo:

– My w Polsce byliśmy informowani przez prasę, że Rosja jest krajem bogatym, leży na minerałach, kruszcach i ropie naftowej.

– Tak się pisze w papierach. – Wracał kilka razy do tematu, że taki bogaty kraj, jak Niemcy chciał wojny. Ziemie mają w wysokiej kulturze rolnej, miasta uprzemysłowione i bogactwa naturalne. Dlatego nie ma po co jechać na wschód, lepiej pozostać tutaj.

Odpowiedziałem mu, że Niemcy są z natury zachłanni, mają się za nadludzi, a przy tym wszystkim sięją mord i zniszczenie. Usiłował mnie przekonać, że przeze mnie przemawia rozpacz człowieka, który wiele widział i przeżył w obozach koncentracyjnych. Od Niemców można się nauczyć wielu pozytywnych rzeczy. Jeszcze raz radził pozostać. Tu, między Niemcami, będzie można lepiej zorganizować sobie życie. Na ziemiach administrowanych przez Polaków takiego życia nie będzie. Polacy nie zasłużyli sobie na dobre

²¹⁷ Manifest Lipcowy (właśc. Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego) – odezwa do narodu polskiego zatwierdzona w Moskwie 20 VII 1944 r., ogłoszona oficjalnie dwa dni później (jako miejsce ogłoszenia podano Chełm), m.in. ustanawiająca Krajową Radę Narodową jedynym legalnym źródłem władzy, zapowiadająca odbudowę kraju, nacjonalizację przemysłu, reformę rolną i powołanie Milicji Obywatelskiej.

²¹⁸ Komitet Lubelski (właśc. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego) – powołany przez Józefa Stalina i całkowicie od niego zależny organ władzy wykonawczej, funkcjonujący w drugiej połowie 1944 r. na obszarze wyzwalanym spod okupacji niemieckiej.

²¹⁹ Edward Osóbka-Morawski – ur. 5 X 1909 r., współzałożyciel i wiceprzewodniczący Krajowej Rady Narodowej, 27 VII 1944 r. podpisał tajne porozumienie z sowieckim ministrem spraw zagranicznych Władzisławem Mołotowem o uznaniu Linii Curzona wschodnią granicą Polski, od 22 VII do 31 XII 1944 r. przewodniczący PKWN, później – do 28 VI 1945 r. – premier Rządu Tymczasowego, następnie – do 5 II 1947 r. – premier Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, zm. 9 I 1997 r.

traktowanie. Dlatego rząd centralny w Moskwie Polakom nie wierzy. Licząc się z opinią międzynarodową, rząd sowiecki uczynił dla Polaków aż nadto dużo, na więcej nie mogą liczyć. Zapytałem go jeszcze o postawę Rosjan wobec Polaków, szczególnie oficerów polskich przed wybuchem wojny z Niemcami, ale ten temat zbył krótko. Minęła już północ, a on jeszcze wciąż stał przy stole i mówił. W pewnym miejscu przerwał, pożegnał się przyjaźnie, podał mi rękę, wsiadł na rower i odjechał.

Stara Niemka przez cały czas śledziła naszą rozmowę, której treści nie rozumiała. Po odjeździe lejtnanta powiedziała mi, że Niemcy panicznie boją się Rosjan. Oni gwałcą kobiety, rabują, palą i niszczą wszystko co zobaczą. Odpowiedziałem jej, że takie jest niepisane prawo każdego zwycięzcy. Na dalsze pytania powiedziałem jej, że wojna skończyła się dla Niemców klęską i bezwarunkową kapitulacją. Na gruzach kancelarii Rzeszy powiewa flaga rosyjska. Westchnęła głęboko, łzy potoczyły się jej po policzkach. Wyszedłem z kuchni. Położyłem się spać obok Michała. Na sen nie czekałem.

W czwartek 10 maja piękny słoneczny poranek nastrojał optymistycznie. Ledwie wstaliśmy z łóżka, wpadła do czeladnej Niemka krzycząc, że zerwał się byk i może pokaleczyć konie. Część bydła Niemcy ukryli w lesie. To z tego stada urwał się byk i przybiegł do obór. Biegał po obszernym podwórzu z pianą w pysku. Wpadał do obór, a widząc wzdęte cielska leżących krów, ryczał i pędził przed siebie. Stan jego był istotnie niebezpieczny. W końcu wspólnymi siłami udało się byka odegnąć do lasu. Można było spokojnie założyć konie do wozu. Na dalszą drogę wzięliśmy ze strychu worek owsa i poszliśmy na śniadanie.

Niemki przygotowały mleczną zupę i placki na zsiadłym mleku. Stara Niemka kazała kucharzącej przygotować jeszcze porcję placków na drogę dla całej piątki. Księżak placki zabrał i schował do swojej torby. Niemki żegnały nas dość życzliwie, wskazały boczne drogi, którymi można było jechać bezpiecznie i ominąć Pasewalk. Tymi drogami, jak nas poinformowały, można było bez przeszkód dojechać do Szczecina.

Wskazanymi drogami jechaliśmy już więcej jak godzinę w milczeniu. Księżak co chwilę sięgał ręką do torby i zjadał placki. Konie człapały nie spiesząc się. Michał powoził rozważnie. Wychodził z założenia, że lepiej jechać dwa dni dłużej, niż forsować konie, które w naszej sytuacji były na wagę złota.

Krajobraz zmieniał się zgodnie z opisem Niemek, z polnego przechodził w lesisty. Michał ożywił się, zapytał mnie dlaczego jadę taki ponury, przecież każdy kilometr zbliża nas do Polski.

– Ciągłe przeżywam rozmowę z lejtnantem – odpowiedziałem. Wydaje mi się, że on informował szczerze i prawidłowo. Zdaję sobie sprawę, jak mało wiemy o tym, co się dzieje wkoło nas. Pomimo szczerości na informacji lejtnanta nie można polegać. A jednak?

W tym czasie Księżak z pomocą Ukrainki i Władka zjedli wszystkie placki, trzeba był pomyśleć o obiedzie. Po dwugodzinnej jeździe polnymi drogami, wyjechaliśmy na drogę bitą, chociaż mało uczęszczaną. Po drodze mijaliśmy grupki niemieckich żołnierzy ubranych już po cywilnemu. Łatwo to było zauważyć tak po ich wyglądzie, jak i zachowaniu. Unikali spotkania z żołnierzami sowieckimi. Mijaliśmy wieś. Tu działań

wojennych nie było. Dzieciaki bawiły się przy drodze. W oknach chałup ciekawe oczy wyglądały zza firanek. Widząc wóz z biało-czerwoną chorągiewką, szybko się chowały. Niemki znajdujące się w drzwiach lub przed domem wycofywały się do wnętrza chałup. W tej wsi nastrój był płochliwy i wrogi. Od środka wsi Michał skręcił pod górkę w lewo. Niedaleko zamajaczył las.

Jadąc przez kilka godzin, w przedpołudniowym słońcu, konie pomęczyły się. Należało dać im odpoczynek. W lesie napotkaliśmy skrzyżowanie dróg. Skręciliśmy na wschód. W godzinach południowych osiągnęliśmy następną wieś. I tu widać było coraz więcej mężczyzn po cywilnemu, w ubraniach świeżo wyjętych z szaf, pachnących naftaliną.

Przy pierwszej z brzegu chałupie zarządziłem postój. Michał wjechał na podwórze i dał koniom owies i siano. Poszliśmy do Niemki na posiłek. Dostaliśmy gorące mleko i chleb. Księżak uważał posiłek za zbyt skromny, poszedł na wieś szukać czegoś lepszego. Ukrainka zaglądała do pobliskich chałup, nie odchodziła zbyt daleko w obawie, żeby jej nie zostawić. Upłynęła już godzina przerwy, przygotowaliśmy konie do odjazdu. Księżak gdzieś się zapodział. Ponieważ nie wracał czas dłuższy poszedłem na poszukiwanie. Znalazłem go pod jedną z chałup. Zajęty był naprawianiem roweru żołnierzowi sowieckiemu, który uczył się na nim jeździć. Tymczasem upływały dalsze kwadransy. Chłopak niemiecki przyprowadził innego sowieckiego żołnierza z małym odparzonym konikiem. Sowiec ten zażądał wymiany swojego konika na naszą klacz. Tłumaczyłem mu jak umiałem, że jesteśmy wszyscy chorzy, musimy jechać. Ten mały odparzony konik do zaprzęgu się nie nadaje. Wyjął rewolwer i zaczął nim grozić. Zwymyślał mnie od polskiej swołoczy, potokowi słów nie było końca. W końcu siłą wyprzągnął klacz i zabrał. Nie było rady, małego „sybiraka” doprzęgliśmy do naszego kasztana, starej poczciwej szkapy zwanej czołgiem. Byliśmy teraz bardziej podobni do cyrkowej trupy, niż do więźniów powracających z obozu koncentracyjnego.

Tym razem Michał zdenerwował się na Księżaka, ale on sobie z tego nic nie robił. Zdecydowaliśmy, że dość mamy bocznych dróg, jedziemy szosą do Pasewalku. Jak długo mamy się kręcić wokół tego miasta? Jedziemy. Szosa stawała się coraz bardziej odwiedzana przez patrole wojsk sowieckich. Około 2 kilometry od wsi znajdowało się pobożowisko ciągnące się na znacznej przestrzeni. Z szosy widać było spalone czołgi, mnóstwo różnego sprzętu, hełmów i zniszczonej broni. Z brzegu lasu wiele drzew z potrząskanymi konarami, wiele powalonych i nadpalonych. Obok lasu z pobliskiego pola podniosło się kilku żołnierzy sowieckich z pepesami, wszyscy w fufajkach. Zatrzymali nas. Ukrainka wyjaśniła im, że ja i Michał uciekamy przed Ruskimi, jesteśmy polskimi bandytami. Oni patrzyli to na nią, to na nas, przeszukali wóz. Pytali, czy wiemy broń i aparaty radiowe. Odpowiedzieliśmy, że nic takiego nie mamy. Pepesze trzymali zawieszony pasami na ramionach z palcami na cynglach. Jeden z nich, skośnooki, kazał nam zejść z wozu, trzymając nas pod pepeszą. Po skończonej rewizji inny z tej grupy kazał nam siadać z powrotem na wóz i jechać. Ruszyliśmy. Sytuacja wyglądała rzeczywiście groźnie. W czasie, kiedy jedni rewidowali wóz, inni zatrzymali starego Niemca idącego samotnie, ubranego po cywilnemu. Kazali mu podnieść ręce do góry. Jeden z nich rewidował Niemcowi kieszenie. Znalazł nożyk kieszonkowy. Z tamtej grupy podeszło do naszego wozu trzech

Sowietów i kazali zatrzymać konie. Powiedzieliśmy im, że wóz został zrewidowany i my zostaliśmy przez tamtych – pokazując na nich – sprawdzeni. Po dłuższych targach puścili nas. Zatrzymanego Niemca podprowadzili na brzeg rowu i zabili kilkoma strzałami w głowę. Niemiec zwałił się z nóg. Kopnęli go i stoczył się do rowu. Obejrzałem się. Patrzyli na nas oddalających się. Stali w rozkroku z palcami na cynglach pepesz. Widocznie mieli ochotę puścić po nas serię, ale – o dziwo – odjechaliśmy.

Kilka kilometrów przejechaliśmy spokojnie. Nagle od strony Pasewalku zamajaczył samochód szybko zmierzający w naszą stronę. Zrównawszy się z nami stanął. Patrzymy, a tu z samochodu wysiada Księżak, którego zostawiliśmy we wsi. Teraz przesiadł się on na wóz. Samochód zawrócił w kierunku miasta. Nieco dalej minęliśmy spaloną wieś i małe miasteczko leżące przy szosie. Zamierzaliśmy przed zmierzchem dojechać do pierwszej z brzegu niezniszczonej wsi. Za lasem taka wieś się trafiła, tylko cała zajęta przez żołnierzy sowieckich. Musieliśmy jechać dalej. O szarówce dotarliśmy do wsi Jatznick (tu już pojawiły się nazwy wsi). Po środku stał większych rozmiarów budynek, a w nim sklep. Zszedłem z wozu, żeby zająć kwatery. Niemiec stawiał się hardo. Nie chciał mnie nawet wpuścić do środka. Powiedział, że u niego już kwaterują inni Polacy. Pokazał wóz ustawiony w poprzek wjazdu na podwórze z zatknietą biało-czerwoną chorągiewką. Sprawdziłem. Był to jego wybieg. Nikt nie kwaterował. Widząc jednak moja stanowczą postawę ustąpił. Na kolację zjadaliśmy resztki chleba przywiezione ze sobą. Księżak poszedł po kolację na wieś.

Po kiepsko przespanej nocy postanowiliśmy z samego rana jechać dalej, bez Ukrainki. Takiego pasożyta wieść dalej nie mieliśmy zamiaru. Zanim jednak ruszyliśmy narobiła wrzasku, że ruszamy bez niej. Wymyślała nam niewybrednymi słowami. Kto żyw przyleciał na te krzyki. Niemiec uśmiechał się z zadowolenia. Widać było po nim wrogi stosunek do Polaków. W tej sytuacji wpadłem na pomysł, oddam jej konia „kacapka”. Niech sobie wynajdzie wóz i Księżaka i niech sami jadą dalej. Zgodziła się. Księżak chętnie został. Odetchnęliśmy z ulgą.

Jechaliśmy teraz we trzech. Władek znajdował się w stanie daleko zaawansowanej choroby żołądka i jelit. Był sam sobie winien, ale w dużej mierze swój ciężki stan zawdzięczał Księżakowi. Później Władek przesiadł się na wygodniejszy wóz do znajomych, których spotkał po drodze.

Nie upłynęła godzina jazdy, jak mijaliśmy wieś Viereck, kilka kilometrów dalej minęliśmy następną wieś Krugsdorf. Zatrzymaliśmy się dopiero pod wsią Zerrenthin. Wyprzęgliśmy naszą szkapę, która już nie żuła owsa, puściliśmy ją na trawę. Sami zajęliśmy się obiadem, gotując sobie zupkę. W tych stronach dużych zniszczeń nie było, jednak pozostały widoczne ślady przejścia większych oddziałów wojskowych. Wracało tędy dużo wozów z robót rolnych, z robotnikami zatrudnionymi w fabrykach i innych. Na niektórych wozach siedziały całe rodziny.

Nad wozami porozpinane daszki z płótna, po bokach wiszące kubełki, miski, torby i inny sprzęt, czyniły z nich ruchome mieszkania. Posiadacze takich wozów sypiali w nich, bez potrzeby poszukiwania kwater.

Do naszego ogniska zbliżyła się starsza kobieta i zapytała:

– Dokąd jedziecie?

– Do Warszawy – odpowiedziałem. Wskazała na pobliski wóz, przy którym znajdowali się: mężczyzna, dziewczyna około 16 lat i starsze dziecko w wozie. Powiedziała, że jadą w lubelskie. Po drodze najedli się strachu. Ich córka została zgwałcona przez kilku żołnierzy sowieckich pod Anklam. Chcieliby swoim wozem dołączyć do nas. Byłoby różnie jechać.

– Nie wiem, czy to będzie możliwe – odpowiedziałem. – Jak słyszałem Rosjanie nie przepuszczają wozów na drugą stronę Odry.

– Wiemy – dodała. – Dlatego mamy zamiar jechać w górę Odry może tam będzie łatwiej się przedostać?

Po obiadowej zupce ruszyliśmy w kierunku południowym na Wollschow i Brüssow. Tamci pozostali do następnego dnia.

Pod miasteczkiem Brüssow po raz pierwszy zauważyliśmy żołnierzy w polskich rogatywkach. Zaraz poczuliśmy się pewniej. Nie udało nam się jednak nawiązać rozmowy. Tylko polskie serce może odczuć, co znaczy po tak długich i ciężkich doświadczeniach spotkać polskiego żołnierza. Takie wzruszenie trzeba przeżyć.

W odległości około kilometra od miasteczka Brüssow stało kilka samotnych domków. Skręciliśmy do tej kolonii. Wszystkie domki były puste. Wewnątrz nieład, spustoszenie i odór. Na kwatery nie nadawały się. Zatrzymaliśmy się więc przy stodole. Od strony zachodniej wierzaje zostały zdjęte i spalone. Widoczne ślady pozostały z niedopalonych desek. W sąsiedku wygrzebaliśmy trochę słomy, zrobiliśmy na noc legowisko i położyliśmy się spać. W nocy spadł duży deszcz. Dach stodoły zaciekał. Musieliśmy przenieść się w ką, gdzie było sucho. Po deszczu zrobiło się chłodno.

W sobotę 12 maja ranek wstawał mglisty i chłodny. Po nocnym opadzie deszczu, wraz ze wschodem słońca, ziemia parowała. Na śniadanie ugotowaliśmy sobie kartoflanekę z kaszą, ze znalezionych po drodze zapasów. Ruszyliśmy w drogę nieco później. Oczekaliśmy aż przerzedziły się chmury i na dobre wyjrzało słońce. Wzięliśmy kierunek na autostradę Berlin–Szczecin. Sądziliśmy, że tędy będzie łatwiej przedostać się na drugą stronę Odry. Na autostradę wjechaliśmy w miejscu, gdzie tablica i drogowskaz miały nazwę Wollin. Tu panował ożywiony ruch. W kierunku Berlina jechały zwarte oddziały wojskowe, artyleria, tabory i pojedyncze samochody. W kierunku do Szczecina ruch był niewielki. Szczególnie interesująco wyglądała artyleria. Działa przyczepiono do amerykańskich samochodów transportowych. Skrzynie z amunicją wieziono w samochodzie na platformie. Na nich siedziały kobiety w wojskowych mundurach. Żołnierzy płci męskiej spotykano niewiele. Siedzieli zazwyczaj w szoferkach. Z tyłu budki szoferki przymocowano dwa drążki, a na nich na całej szerokości platformy samochodów napisy na płótnie z hasłami zwycięstwa, wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, pochwały Stalina i inne. Kobiety piskliwie śpiewały żołnierskie rosyjskie piosenki. Krzyki i nawoływania, szum motorów i chrzęst kół stanowiły sceneryę o dużej sile wyrazu. W przerwie między zwartymi oddziałami pojawił się na szosie samotny rosyjski taboryta. Jechał w trójkę koni zaprzężonych do wózka typu rosyjskiego o płytkich bokach z wikliny wygiętych płasko, tak zwanej „tielegi”. Na grzbietach końskich przy pałąkowatych chomątach

dyndały dzwoneczki. Woźnica z rudą brodą i włosami zakrywającymi uszy, wyłażącymi spod „szapki” muzyka, wymachiwał nahajką. Mijając go zatrzymaliśmy się. Podjechał bliżej i rzucił pytanie:

– Jadę na Berlin, daleko jeszcze?

– Tego nie wiem, jedźcie prosto tą drogą – odpowiedziałem jak umiałem. Stanął na wózku, nahajką zrobił młyńca w powietrzu i pogonił konie, jak mógł najszybciej. Koła chygotały na otwartych osiach, a on pędem jechał.

Na skrzyżowaniu dróg przed Odrą spotkaliśmy regulowszczyka z czerwoną chorągiewką. Mówił dobrze po polsku. Zatrzymał nas i spytał, dokąd zamierzamy jechać. Odpowiedzieliśmy mu, że jedziemy do Warszawy, wracamy z obozu koncentracyjnego. Zastanowił się chwilę i powiedział, że w prywatnym wozie na drugą stronę Odry nikogo nie puszcza. Jazda tą drogą jest dozwolona tylko dla transportu wojskowego. Pokazałem mu swoją nogę czarną od zakrzepłej pod skórą krwi i opuchniętą. W takim stanie pieszo nie dojdę. Powiedział nam, że to nie ma znaczenia. Wszystkich powracających z Niemiec zatrzymują i kierują do pobliskiego obozu, gdzie dzielą ich na grupy i wysyłają do robót. Najliczniejszą grupę stanowią pracujący przy torach. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Zjechaliśmy na bok nie wiedząc co począć.

W pewnej chwili regulowszczyk zbliżył się do naszego wozu i kazał dołączyć do taborów wojskowych, jadących na drugą stronę Odry. Powiedział, by przed wjazdem na most pontonowy nie zdradzić się, że wracamy do domu. Na wszystkie pytania mamy odpowiadać, że jedziemy do jednostki wojskowej po przydziały. Jednostka ta znajduje się na drugim brzegu Odry. Dołączyliśmy do taborów wojskowych, których długi wąż stał po drugiej stronie szosy, czekając na wolny przejazd. Staliśmy tak około dwóch godzin czekając. Około godziny piątej po południu, od czoła kolumny, wozy powoli ruszyły. Upłynęła jeszcze jedna godzina powolnej jazdy, zanim dotarliśmy do brzegu Odry. Mosty drogowe górne były w kilku miejscach poprzerywane, masywne bloki betonowe zwalone do rzeki. Obok rozwalonego mostu Rosjanie założyli most na pontonach. Przy wjeździe na ten most zostaliśmy zatrzymani. Na pytanie „dokąd?” opowiedziałem historijkę z wojskiem. Obejrzelni wóz i konia, wskazali drogę wolną. Po moście pontonowym kazali jechać wolno. Podobną przeprawę mieliśmy jadąc przez drugie koryto Odry – Regalicę. Po przejechaniu obu pontonowych mostów odetchnęliśmy z ulgą. Wozy taborowe zaraz od mostu rozjeżdżały się w kilku kierunkach. Około 100 metrów od pontonu stał regulowszczyk Rosjanin. Bardzo brudną chorągiewką wskazał nam kierunek jazdy na Dąbie²²⁰. Rzędy domów po prawej stronie szosy w kierunku Dąbia stały wypalone i puste. Z szosy gruzy rozwalonych domów zepchnięto do rowu, na pobocza, czyniąc wolny pas szosy do przejazdu. Nieco dalej stała kobieta w mundurze wojskowym, chorągiewką wskazała nam kierunek ruchu na stację kolejową. Było już późno. Postanowiliśmy więc zanoć przy stacji. Wjechaliśmy na pobliskie podwórze zrujnowanego domu. W pustym mieszkaniu bez okien urządziliśmy sobie legowisko. Konia ustawiliśmy łbem do

²²⁰ Dąbie – dzielnica w prawobrzeżnej części Szczecina. Do 15 X 1939 r. – kiedy znalazło się w granicach administracyjnych Wielkiego Szczecina (Großstadt Stettin) – samodzielne miasto (wówczas Altdamm). Po II wojnie światowej ponownie przyłączone do Szczecina w 1948 r.

wozu, daliśmy mu siano. Wóz ustawiliśmy pod oknem. Zjedliśmy po kawałku suchego chleba i poszliśmy spać. Spaliśmy czujnie, zwracając uwagę na konia i wóz.

Niedziela 13 maja. Wstałem pierwszy o szarówce. Wyszedłem z budynku, żeby zorientować się w sytuacji. Na stacji kolejowej czekała większa grupa ludzi z tobołkami. Podobno miał odejść pociąg do Poznania. Czekali już dwa dni. Nikt nie znał ani daty, ani godziny odjazdu pociągu. W ruinach domów zdobycie żywności było bardzo trudne. Pozostawione przez Niemców zapasy nie nadawały się do użytku. Ludzie żywili się resztkami przywróconymi do stanu użytkowego oraz kartoflami. Tak więc w pobliżu stacji płonęły ogniska, ludzie w kociołkach gotowali posiłek. Takich ognisk zastałem kilkanaście. Wśród oczekujących na pociąg wielu było szabrowników z tobołami. Ludzie ci szli tuż za armią sowiecką, byli już w Szczecinie. W tobołach mieli wiele cennych przedmiotów wyszabrowanych z rozbitych i ocalałych domów. Michał na śniadanie ugotował kartoflanekę. Około godziny siódmej rano ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przy wjeździe na stargardzką szosę zatrzymał nas sowiecki żołnierz z pepeszą pod pachą. Zapytał mnie:

– Która godzina?

– Nie wiem – odpowiedziałem. Popatrzył mi na ręce, spojrzął na ręce Michała, a zobaczywszy że nie mamy zegarków, puścił nas wolno. W niewielkiej odległości za naszym wozem jechali powracający z Niemiec. Na oczach kobiet i dzieci, żołnierz ten szamotał się z mężczyzną, po czym ściągnął mu zegarek z ręki.

W kierunku Stargardu, na pobliskich polach, leżało dużo pobitych krów, owiec i gdzieś tam koni. Nierzadko można było spotkać nieoprzebane ludzkie zwłoki, przeważnie w ubraniach cywilnych. Przed Stargardem dowiedzieliśmy się, że wjazd do miasta jest wzbroniony. Przy bramie skleconej z krawędziaków i desek widniał rozpięty na całą szerokość szosa transparent, z hasłami zwycięstwa i głoszący cześć wodzowi światła Stalinowi. Wszystkie hasła pisane były po rosyjsku.

Stojący przy tej bramie Sowiet zatrzymali nas i kazali wjechać w podwórze budynku, przy którym kręciło się kilku żołnierzy w bluzach z pistoletami przy boku. Dwóch z nich podeszło do naszego wozu. W tym samym czasie inny żołnierz wyprowadził rosnącego Niemca w mundurze wojskowym bez czapki i pasa, z rękami związanymi z tyłu. Za nimi wyszło jeszcze dwóch żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Poszli za stodołę. Za chwilę rozległy się strzały.

Teraz mnie wprowadzono do budynku i kazano czekać. Otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju, w których ukazał się inny Sowiet, w bluzie bez dystynkcji. Ten baczenie mi się przyglądał. Za chwilę wrócili ci dwaj z pistoletami maszynowymi. Rozpoczęli przesłuchiwanie:

– Wy skąd? – Jeszcze dokładnie nie odpowiedziałem, otworzyły się drzwi innego pokoju. Wyszedł z nich żołnierz w furazerce i bluzie. Spojrzął na mnie, po czym przemówił najczystszą polszczyzną:

– Skąd wracacie?

– Z obozu koncentracyjnego – odpowiedziałem. – Wędrujemy już kilka dni spod Warnemünde.

– Dokąd macie zamiar jechać?

– Do Warszawy.

– Czy jesteście z Warszawy?

– Tak. – Następnie wypytywał o wiele warszawskich szczegółów, o nazwy placów i ulic, o ich rozmieszczenie. Przekonał się, że znam biegle Warszawę. Zabrał mnie i wyszliśmy do wozu. Pytał jeszcze, czy wieziemy broń i radio. Odpowiedziałem, że nic takiego nie mamy. Rzucił okiem na wóz, nachylił się do mnie i powiedział półgłosem:

– Chłopcy umykajcie stąd, tu jest posterunek NKWD. Rzadko kto wychodzi stąd żywy.

Michał wykręcił wozem. Wyjazd był pod górkę. On pomógł wypchnąć wóz za bramę. Rzucił przyjazne „do widzenia” i wrócił szybko do budynku. Tym razem stojący przy bramie Sowietci wpuścili nas do miasta o nic nie pytając.

W śródmieściu, na placyku przed jednopiętrowym budynkiem, zastaliśmy wiele stłoczonych furmanek. W budynku tym urzędował polski starosta. Tutaj wydawano przepustki Polakom powracającym do kraju. Tym, którzy wracali z robót rolnych, dawano ziemię pod uprawę i całe gospodarstwa na zasiedlenie. Namawiano usilnie, żeby dalej nie jechać. Ci, którzy zdecydowali się pozostać, czekali na załatwienie formalności kilka dni. Po przepustkę poszedłem na górę, ale i tu trzeba było czekać kilka godzin. Wróciłem. Idąc z powrotem po schodach, mijala mnie jakaś młoda niewiasta.

– Pan dokąd? – zapytała.

– Do Warszawy – odpowiedziałem.

– Przepustkę pan ma?

– Nie.

– Ja panu załatwię. – Rzeczywiście nie upłynęło jeszcze pół godziny, wyniosła przepustkę do Warszawy z okrągłą pieczętą starosty.

Wyjeżdżając ze Stargardu słońce chyliło się ku zachodowi. Z bocznej drogi tuż za miastem wyszedł patrol sowiecki. Zatrzymali nas i pytali o dokumenty. Dałem im otrzymaną w starostwie przepustkę. Obejrzel. Jeden z nich zapytał:

– Pieczętka jest?

– Nie nasza – odpowiedział drugi. Zabrali przepustkę i podarli.

Jechaliśmy jeszcze kilka kilometrów, skręciliśmy z szosy do wioski z zamiarem przemocowania. Wieś była pusta. W każdej zagrodzie walało się wiele pobitych i rozkładających się krów, owiec i świń. Domy zanieczyszczone i splądrowane. Brud, spalenizna, rozprute pierzyny i poduszki dopełniały całości. Po dłuższym poszukiwaniu znaleźliśmy jedną ze stodół, gdzie nie było padliny i można było przespać się na klepisku. Konia wyprzęgliśmy, daliśmy mu siana i świeżej trawy, którą narwaliśmy rękami. Zasnęliśmy spokojnie, za to noc obfitowała w liczne niespodzianki. Krzyki po polsku i po rosyjsku, strzelanina, ludzkie jęki, dochodziły to z jednej, to z drugiej strony wsi.

O szarówce 14 maja Michał zaprzął konia i ruszyliśmy w dalszą drogę. Wyjechaliśmy na szosę. W stronę Stargardu ciągnęły grupki szabrowników, po dwie lub trzy osoby, w większości kobiety. Jechaliśmy tak kilka godzin, głód dokuczał. Mniej więcej przed dziesiątą, dotarliśmy do Kalisza Pomorskiego. Postanowiliśmy zatrzymać się

i ugotować sobie zupki na śniadanie. Jadąc ulicami miasta widzieliśmy kilka młodych Niemek, zgarniających gruzy z rozbitych domów i zamiatających ulice. W bocznej ulicy stał pusty dom, gdzie można było spokojnie odpocząć. Michał dał koniowi siano i zabrał się do obierania kartofli, ja poszedłem do Niemek w poszukiwaniu makaronu, kaszy lub mąki, żeby zrobić zasypkę. Zapytałem jedną z Niemek, gdzie tu można dostać coś do jedzenia. Doradziła mi, żeby pójść do budynku w pobliskim folwarku. Tam Rosjanie urządzili kuchnię, mają świeże mięso, kaszę i inne produkty. Pracują w kuchni Niemki, mogą mi trochę tych produktów odstąpić. Poszedłem. Niemki mówiły prawdę. W budynku mieszkalnym czynna była kuchnia. Wszedłem bocznymi drzwiami. W kuchni krzątało się kilka Niemek, wszystkie ubrane lekko i przezroczyście. Na wprost wejścia siedziała jedna przy obieraniu kartofli, w sukience zawiniętej na kolana, odsłoniwszy goliźną podbrzusza. Pozostałe też chodziły bez majtek. Zapytałem zaraz pierwszą z brzegu, czy można tu dostać kawałek mięsa i kaszy. Odpowiedziała, że tu rządzi sowiecki oficer. Jakoż z bocznych drzwi wyszedł. Powtórzyłem mu swoją prośbę. Szybkim ruchem ręki wyjął z futerału pistolet i grożąc nim ryknął:

– Uciekaj, bo cię zabije! – Zakończył wiązaną niewyszukaną słów. Wycofałem się. Zrozumiałem, że trafiłem do wojskowego puffu²²¹. Przyszedłem z pustymi rękami. Musiałem zadowolić się zwykłą zupką kartoflaną.

Koło południa ruszyliśmy w dalszą drogę. Na szosie tablica kierunkowa wskazywała Wąlcz. Po drodze mijały nas wojskowe transporty, wyposażone w sprzęt i samochody amerykańskie. Tylko gdzieś tam można było spotkać rosyjski samochód, służący jako wehikuł pomocniczy. Na wschód jechały samochody załadowane skrzyniami oraz długie węże furmanek taborów wojskowych. Do jednego z nich na zwykłej lince była przyczepiona żniwiarka. Z chwilą hamowania samochodu żniwiarka toczyła się luźno na poboczu szosy, kalecząc konie w zaprzęgu do furmanek. Michał zauważył, że Rosjanie w ten sposób szukają zaczepki, zjechał więc wozem do samej burty i zatrzymał konia, czekając aż z tą żniwiarką odjadą do przodu. Zauważyliśmy, że jadący w siofierce Rosjanie byli pijani. Z takimi lepiej nie zaczynać. Dalszą drogę postanowiliśmy odbyć bocznymi, mniej uczęszczanymi drogami. Dalej, ale bezpieczniej.

Jadąc drogami bocznymi, często polnymi, dojechaliśmy do wsi. Czas było odpocząć. Wieś była pusta. Tędy przeszła wojna i szabrownicy. Część domów legła w gruzach, część została zniszczona ludzką ręką. Pozrywane i potłuczone dachówki leżały na ziemi wokół budynków mieszkalnych i gospodarczych. Mniej tu było padliny zwierząt domowych, za to tu i ówdzie można było natrafić na nieopgrzebane ludzkie ciała w rozkładzie. W pomieszczeniach mieszkalnych zastaliśmy zniszczone sprzęty i meble. Kupa wszelakiego śmiecia zaścielała podłogi. W zanieczyszczonych spiżarkach można było znaleźć trochę fasoli, kaszy i innych produktów. Brzydziliśmy się wziąć cokolwiek z tych zapasów. Po krótkim postoju ruszyliśmy w dalszą drogę.

W odległości około 2 kilometrów od tej wsi, z daleka widoczny był wysoki mурowany parkan, a za nim zabudowania folwarczne. Pojechaliśmy w tym kierunku. Z otwartej

²²¹ Puff – żargonowe określenie domu publicznego.

w tym parkanie bramy wyszedł żołnierz w rogatywce. W prawej ręce trzymał dwie me-
nażki. Za chwilę zrównał się z furmanką. Powitałem go wylewnie i entuzjastycznie, prze-
cież to polski żołnierz, kapral. On położył palec na ustach i przyciszył mnie. Kilkana-
ście metrów za nim szedł oficer w polskim mundurze i rogatywce w stopniu kapitana.
W podnieceniu i wzruszeniu zabrakło mi słów na powitanie. Kapral powiedział, żeby
być ostrożnym, bo to pop. Oficer zbliżył się do nas. Kapral błyskawicznie zmienił temat
i zaczął pokazywać nam kierunek, w którym należało jechać. Zapytałem tego oficera
o możliwość zakwaterowania. On odpowiedział, że po polsku nie rozumie. Pojechali-
śmy według wskazówek kaprała. Później domyśliliśmy się, że słowo „pop” oznacza „peł-
niący obowiązki Polaka”. Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu, przeżywając chwile
rozczarowania.

Przed wieczorem osiągnęliśmy małą kolonię domków rozrzuconych pod lasem.
W jednym z nich postanowiliśmy zanoć. Wszystkie te domy były już splądrowane
przez szabrowników. Wewnątrz brud i zniszczenia. W tych warunkach urządziliśmy
sobie posłanie ze słomy w starej stodole na klepisku. Michał zabrał się do gotowania na
kolację tradycyjnej kartoflanki. Jeszcze nie skończył, gdy zjawili się jacyś ludzie mówiący
po polsku. Widząc legowisko chcieli do nas dołączyć. Nie zgodziliśmy się. Rozlokowali
się z konieczności w innej zagrodzie. Później wyszło na jaw, że byli to szabrownicy idący
na zachód. Mieli już za sobą wiele przeszukanych domów. Nieśli ze sobą tylko wartościowe
rzeczy. Mówili, że nie chcą się byle czym obciążać.

Wtorek 15 maja. W miarę jak kula słoneczna wznosiła się wyżej i wyżej na niebie,
a ciepłe promienie wysysały opary z pobliskich łąk, Michał zamierzał ugotować zupkę
na śniadanie. Okazało się teraz, że znajdujące się w pobliżu studnie są zanieczyszczone,
woda z nich nie nadaje się do użytku. Michał poszedł do sąsiedniej wsi, gdzie odpowied-
nią wodę znalazł. Po ugotowaniu i zjedzeniu porannej zupki ruszyliśmy w dalszą drogę.
Wkrótce dojechaliśmy do rzeczki. W godzinach przedpołudniowych wjechaliśmy na
szosę w kierunku Wąlcza. W dole po prawej stronie rozpościerało się jezioro porośnięte
trzcinnami, nad którymi przelatywały kaczki. Niektóre pływały po jeziorze. Na szosie stał
podoficer sowiecki i strzelał do kaczek. Nie widzieliśmy, żeby którą ustrzelił. Od strony
miasta jechało kilka samochodów. Dwa z nich miały karabiny maszynowe na stojakach
i po kilku żołnierzach. W pewnej chwili zjechali z szosy. Obstawili posterunkami pobliską
wieś i na samochody zabierali cywilów. Prawdopodobnie byli to Niemcy.

Przed wieczorem mijaliśmy Wąlcz. Niedaleko za miastem zjechaliśmy z szosy i za-
trzymaliśmy się na noc w opustoszałej zagrodzie. Jadąc szosą zauważyliśmy w pobliżu
kilka kopców kartofli. Nabraliśmy ich na furmankę większy zapas, gdyż w miarę zbliża-
nia się do dawnej granicy polskiej zaopatrzenie w kartofle było coraz trudniejsze.

Tej nocy spaliśmy twardo, mimo dudnienia pojazdów dochodzącego nieprzerwa-
nie z szosy. Transporty wojsk sowieckich ciągnęły na zachód bez względu na porę dnia
i nocy oraz na stan pogody. Stanowiły one źródło hałasu, który w nocy był bardziej
dokuczliwy. Padał deszcz.

Środa 16 maja. Wyruszyliśmy w dalszą drogę około godziny siódmej rano, jak
zwykle po porannej kartoflance. Posuwaliśmy się szosą w kierunku Piły. Ze względu

na zatłoczenie, przemieszczaliśmy się bardzo wolno. Przed zmierzchem dotarliśmy na przedmieścia Piły, za nami jechała furmanka, na którą przesiadł się Władek jeszcze przed Szczecinem. Po drodze nigdzie nie napotkano ośrodka sanitarnego, żeby go umieścić. Dopiero w Pile dowiedzieliśmy się, że taki ośrodek jest. Znajduje się dopiero w stadium organizacji, ale pomocy w nagłych wypadkach udzieli. Władka umieściliśmy w tym ośrodku. Stan jego był istotnie bardzo ciężki, chwilami tracił przytomność. Siostra przyjmująca chorego bezradnie rozkładała ręce. Mówiła, że nie mają ani odpowiednich lekarzy, ani odpowiednich leków. Musiał jednak w ośrodku pozostać. Siostra wyraziła obawę, że trudno go będzie utrzymać przy życiu.

Kwaterę na noc zajęliśmy w opuszczonym domku jakiegoś leśnika, samotnie stojącym nad rzeką Gwdą, w pobliżu ujścia do Noteci. Domek choć splądrowany nadawał się na kwaterę, po uprzątnięciu wszelkiego śmiecia. Była tu cisza i spokój. Położyliśmy się spać dopiero około północy.

Czwartek 17 maja. Rano obejrzelśmy domek dokładnie. Znajdujące się w nim rzeczy wartościowe były już wyszabrowane. Pozostało jeszcze sporo książek, niemieckich czasopism i starych garnków kuchennych. W książkach można było znaleźć dedykacje i autografy. Domek, choć niewielki, zbudowany był dość solidnie, a przy nim znajdował się porządnie utrzymany ogródek. Szaber poczynił spustoszenia tylko powierzchowne. Zastanawiałem się z Michałem, czy nie pozostać tu na czas dłuższy. W mieście funkcjonowało już starostwo i milicja. Chętnym dawali domki bezpłatnie.

Po zjedzeniu porannej zupki poszedłem obejrzeć miasto. Przy moście na tablicy widniał jeszcze stary niemiecki napis z nazwą rzeki „Küddow”. Znaczna część domów w mieście znajdowała się w ruinie. Czuć było jeszcze zapach spalenizny z rozbitych i wypalonych domów. Ulice zawałone gruzami, które zgarniano na boki bliżej krawężników. Wśród tego rumowiska gdzieniegdzie można było znaleźć domy całe, ale bez szyb. Domy te nadawały się do zamieszkania. Sporo ludzi starszych i dzieci kręciło się po ulicach. Do tego miasta wracało życie.

Powróciłem do domku leśnika. Michał odpoczywał. Ja zająłem się przeglądaniem znalezionych niemieckich książek. Kilka o ciekawszej treści zawiąłem starannie i położyłem na wozie. Około godziny trzeciej po południu ruszyliśmy w dalszą drogę. Wzięliśmy kierunek szosą na Bydgoszcz.

Na dość dużym odcinku szosa prowadziła przez las. O tej porze dnia ptactwo odzywało się znacznie słabiej i rzadziej. Las pachniał. Drzewa rzucały cienie na szosę, przyćmiewając widoczność. Zbliżyliśmy się do dawnej granicy Polski. Poczuliśmy się jakoś pewniej. Nastrój ten zmienił się szybko. W kierunku Piły zmierzało kilka furmanek i samochodów. Z kryjówek między drzewami wychodzili na szosę polscy milicjanci ubrani po cywilnemu, z opaskami na rękach, uzbrojeni. Jadących na furmankach zatrzymywali i legitymowali. Michałowi usiłowali zabrać konia z wozem. Moje chore nogi dwukrotnie uratowały konia i wóz. Tym niemniej sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Posterunki pułapki ustawione były przy szosie i przy drogach bocznych prowadzących do większych miejscowości i ośrodków.

Zbliżał się wieczór. Tuż za lasem Michał skręcił z szosy do pobliskiej wsi. W opuszczonym domku zatrzymaliśmy się na noc. Budynek mieszkalny był mocno naruszony zębem czasu. Zabudowania gospodarcze i inwentarskie niewielkie wskazywały, że bogactwa tu nie było. Szabrownicy i tego domku jednak nie ominęli. Wewnątrz budynku brud, zniszczenie i zaduch. Postanowiliśmy więc przenocować na klepisku. Po kolacyjnej zupce położyliśmy się spać. Spaliśmy niespokojnie. Czuć było jakiś niepokój.

Piątek 18 maja. O wschodzie słońca postanowiliśmy jechać dalej. Jeszcze poranne mgły unosiły się nad łąkami, gdy bez porannej zupki ruszyliśmy w dalszą drogę. Przymuszczailiśmy, że wczesnym rankiem łatwiej będzie minąć posterunki-pułapki. Wyjechaliśmy na szosę kierując się w stronę Bydgoszczy. Na wysokości wsi Grabowo zostaliśmy ostrzeżeni, że kilkadziesiąt metrów dalej stoją uzbrojeni milicjanci i odbierają wozy i konie. Skręciliśmy więc na południe. Drogowskaz podawał 1,5 kilometra do miejscowości Miasteczko Krajeńskie. Tu znajdowała się stacja kolejowa.

Przejechaliśmy mostek, zatrzymaliśmy się na łączce. Konia puściliśmy na trawę. Poszedłem do miasteczka zasięgnąć języka. Miasteczko schludne, panowały tu spokój i cisza. Tędy wojna nie przeszła. Po drodze spotkałem trzech młodych mężczyzn. Jeden z nich poznał mnie, podszedł i zapytał:

– Skąd wracacie?

– Z obozu koncentracyjnego – odpowiedziałem.

– Ja was widziałem w Stutthofie – mówił dalej.

– Tak, ale my wracamy z filii Stutthofu z Polic, a konkretnie spod Warnemünde.

– Ten, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, przedstawił się i powiedział, że on wyszedł ze Stutthofu, tu znalazł rodzinę, więc zatrzymał się i wstąpił do milicji. Obiecał, że na wieczór postara się o dwa bochenki chleba, dla mnie i dla Michała.

– Z chlebem jest ciężko, ale dla milicjanta i Stutthofiaków chleb się znajdzie. – Obiecał dalszą pomoc. Na razie skierował nas obu do mieszkania miejscowego nauczyciela, gdzie można było dostać coś do zjedzenia. Dalej należało jechać pociągiem. Korzystanie z wozu byłoby trudne, gdyż milicja miała polecenie, by konie i wozy odbierać. Wyjazd mógł nam ułatwić, ale za dalszą drogę nie brał odpowiedzialności. Tak więc tu już działały protekcje i znajomości.

Istniały jeszcze tak zwane warunki lokalne, w których każdy komendant milicji mógł działać na własną rękę. Od Piły wsie i osiedla otrzymały już nazwy polskie. Tu już można było spotkać polską ludność zasiedlającą i sprowadzoną na zasiedlenie. Po tych informacjach dawny Stutthofiak wprowadził nas do domu nauczyciela. Prawdopodobnie była to jego rodzina. Przyjęła nas młoda kobieta. Po mieszkaniu kręciły się małe dzieci, na widok dwóch brudnych mężczyzn wyniosły się do drugiego pokoju. Ubrany byłam częściowo w pasiaki. Podarte portki i bluzę zmieniłem na cywilne. Płaszcz zachowałem pasiasty, obozowy. Michał przebrał się już całkowicie po cywilnemu.

Gospodarz zaprowadził nas do łazienki, gdzie dano nam mydło, ręczniki i ciepłą wodę. Dom i mieszkanie wskazywały na względny dostatek, utrzymane były czysto. W tym czasie żona nauczyciela nakryła do stołu. Na śnieżnobiałym obrusie leżał chleb, masło, wędlina. Z kuchni dochodził zapach smażonej jajecznicy. Do tego podano białą

kawę z kożuszką i serwetki. Przy śniadaniu gospodarz wyjaśnił, że jechać dalej wozem nie ma celu, lepiej jemu pozostawić wóz i konia. Tak też się stało. Za śniadanie podane po ludzku, zapłaciliśmy dość wysoko.

Z wozu zabraliśmy swoje tobołki. Usłużny Stutthofiak przyniósł nam po bochenku chleba. Poszliśmy na stację kolejową zastanawiając się nad powstałą sytuacją. Wracaliśmy jakby z innego świata. Nie orientowaliśmy się zupełnie w zmienionych warunkach życia w Polsce. Był to bowiem okres powszechnego szabru. Jeden odbierał drugiemu to, co uważał dla siebie za korzystne. Najwięcej bezprawia mogła czynić milicja, gdyż miała uzbrojenie i „wolę” komendanta.

Po kilkugodzinnym oczekiwaniu nadjechał pociąg towarowy. W składzie tego pociągu było kilka wagonów krytych i kilka lor załadowanych szynami. Pociąg zatrzymał się kawałek za stacją. Wagony kryte obok skrzyń wypełnione były zbitą masą ludzką. Wielu ludzi z tobołkami i walizami siedziało na szynach lor. Pogoda dopisywała, jazda na lorach z szynami nie była uciążliwa. Niebezpieczeństwo czyhało ze strony maruderów sowieckich. Uzbrojeni wpadali oni do pociągu odbierając jadącym walizki i tobołki. Najłatwiejszy łup mieli na lorach. Opornym, trzymającym kurczowo swoje tobołki, grozili zastrzeleniem. Pociągiem jechało wielu szabrowników z wypchanymi walizkami. Ci wiedzieli, jak uchronić swoje mienie przed oczyma maruderów z bronią. Mieli oni swoje hasło: „grabli nagrablynonno”²²².

Przed wieczorem pociąg ruszył. Jechaliśmy z Michałem na lorach, ulokowawszy się na wierzchu szyn. Pociąg w największym rozpędzie robił nie więcej jak 30 kilometrów na godzinę. Często przystawał w polu. Późnym wieczorem pociąg zatrzymał się w pobliżu stacji Nakło. Kilku uzbrojonych żołnierzy sowieckich kręciło się wzdłuż torów. Na ich widok wszyscy podróżni kurczowo trzymali w rękach swoje walizki i tobołki, nakrywając je swoim ciałem. Mimo to, kiedy pociąg ruszał, rozległ się krzyk kobiety. Żołnierz sowiecki wyrwał jej walizkę z ręki. Pociąg ruszył, kobieta pozostała bez walizki, głośno zanosząc się od płaczu.

Jeszcze dwa razy pociąg zatrzymywał się na krótko w polu. Dopiero koło północy pociąg zatrzymał się na stacji towarowej w Bydgoszczy. Tam dowiedzieliśmy się od kolejarzy, że najbliższy pociąg w kierunku Torunia stoi na innym torze. Przesiedliśmy się. W składzie tego pociągu były wagony towarowe odkryte z osłoniętymi bokami. Usiedliśmy w wagonie załadowanym szklaną wata w belach. Zrobiliśmy sobie miejsce do spania i szybko zasnęliśmy. Spaliśmy twardo, obudziliśmy się dość późno. Słońce było już wysoko. Dzień zapowiadał się ciepły. Wyszliśmy z wagonu, żeby zorientować się w sytuacji. Pociąg, którym przyjechaliśmy do Bydgoszczy stał na sąsiednim torze bez lokomotywy. Skierowaliśmy się do miasta. Przy przejeździe kolejowym Michała dopadł na poły pijany żołnierz sowiecki, kazał mu zdjąć z nóg „sapow”. Michał nosił stare saperki, które podarował mu Niemiec pod Pasewalkiem. Wmieszałem się do tej sceny. Zwymyślałem Sowietę, Michałowi kazałem odejść. Tamten nie dał za wygraną, śledził nas i obserwował.

²²² (ros.) Grabić zagrabione.

Na stacji przy budynku głównym ustawiono stoły. Leżał na nich pokrojony chleb posmarowany marmoladą, obok w kubekach parowała czarna kawa. Zgłosiliśmy się. Dano nam po kubku kawy i po pajdce chleba. Jak nas poinformowano, śniadanie to organizował dla powracających z Niemiec miejscowy Komitet Obywatelski w ramach Czerwonego Krzyża. Wracając na stare miejsce do wagonu, widzieliśmy grupki wystrojonych dziewcząt, powracających z nocnej potańcówki. Rozbawione i podchmielone podśpiewywały sobie ochoczo. Stanowiły one wielki kontrast do ludzi wyniszczonych, powracających z Niemiec.

Późnym popołudniem dowiedzieliśmy się, że w kierunku Torunia odjedzie pierwszy pociąg z szynami, ten którym przyjechaliśmy. Głodni ulokowaliśmy się ponownie na szynach, czekając na odjazd. Przed zmierzchem lokomotywę przyczepiono i pociąg ruszył. Na wysokości Kanału Bydgoskiego w ciemnościach rozgrywały się niezwykle sceny. Do pociągu dosiadło się kilkunastu sowieckich żołnierzy. Tuż za kanałem rozbiegli się po wagonach. Wyrwali z rąk walizki i wyrzucali na ziemię. Krzyki, przekleństwa po rosyjsku i po polsku, mieszały się z płaczem i turkotem kół wolno jadącego pociągu. Po upływie kwadransa Ruskich już nie było, pociąg powoli nabierał szybkości. Uciszyło się. Jadący na lorach z szynami drzemali. Co pewien czas pociąg przystawał, zatrzymując się na godzinę i dłużej. Na stację towarową w Toruniu pociąg wjechał o brzasku 20 maja. Zeszliśmy z wagonu. Rozejrzeliśmy się po stacji. Pod pompą można było się umyć. Zabieg ten znacznie poprawił nasze samopoczucie. Poszliśmy na stację. Około godziny siódmej rano dostaliśmy po kubku czarnej kawy i po pajdce chleba z marmoladą, podobnie jak dzień wcześniej w Bydgoszczy.

Po śniadaniu Michał wyszedł na miasto. Wrócił po upływie pół godziny, bez saperrek. Okazało się, że tym pociągiem przyjechał ten sam żołnierz sowiecki, który wczoraj w Bydgoszczy chciał odebrać owe saperki. Sowiet ten cały czas śledził Michała, aż go dopadł. Michał zwrócił się do polskiego milicjanta, żeby go obronił przed Sowietem. Ten, zamiast go obronić, pomógł Ruskiemu ściągnąć buty z nóg. Widząc to przygodny kolejarz dał Michałowi z litości jakieś stare kamasze, mocno podarte. Tyle, że Michał nie wracał boso. Po tej przygodzie nie oddalaliśmy się zbyt od pociągu. Według zapowiedzi miał on ruszyć w kierunku Kutna po południu. Ruszył o szarówce. Jechaliśmy porządnie głodni, Czerwony Krzyż wydawał tylko śniadania. Zupki nie było gdzie ugotować. Oprócz suchego chleba nie mieliśmy żadnych innych zapasów.

Podobnie jak w dniach poprzednich, co pewien czas pociąg zatrzymywał się w polu. O szarówce 21 maja mijaliśmy Włocławek. Do Kutna dojechaliśmy w godzinach przedpołudniowych następnego dnia. Tu nastąpiło rozstanie z Michałem. Wysiadł z pociągu i czekał na połączenie z Płockiem. Ja pojechałem dalej w kierunku Warszawy. Pożegnanie mieliśmy szybkie, gdyż pociąg na wyjątkowo krótko zatrzymał się w Kutnie w miejscu wjazdu na stację osobową. Michał chciał, żeby mu dać kawałek szynki znalezionej w sianie w opuszczonej wsi, którą wiozłem z Niemiec troskliwie owiniętą na dnie tobołka. Na jakikolwiek podział było już za późno. Pociąg ruszał. Krótkie „do zobaczenia” i uścisk dłoni wystarczył za wszystko.

Na odcinku między Kutnem a Łowiczem pociąg zatrzymał się tylko dwa razy i to na krótko. Na stacji w Łowiczu do pociągu podeszły biednie ubrane kobiety, sprzedawały zapalki z fabryki w Błoniu. Niestety, tego towaru nikt nie kupował, nie było czym płacić. Tym niemniej mowa tych kobiet, zatrącająca regionalną gwarą, przyprawiła mnie o rozrzewnienie. Dopiero tu uświadomiłem sobie, że jestem wśród swoich. Po roku przebywania w obozie koncentracyjnym, gdzie językiem urzędowym był niemiecki, polska mowa dawała siły witalne, przywracała spokój i równowagę ducha.

Od stacji w Łowiczu pociąg do Warszawy jechał bez przerwy. Dopiero przed stacją Gołębki zatrzymał się pod sygnałem. Wykorzystałem ten moment i wysiadłem. Czyjeś ręce wyrzuciły z wagonu za mną mój tobołek. Rozejrzałem się po dobrze znanej mi okolicy. Tu nic się nie zmieniło. Te same domki, te same ogródki, a jakże inaczej wyglądały teraz w moich oczach. Powrót ten działał na wyobraźnię i rozpałał przygaste zarzewie przywiązania do stron ojczystych.

Szedłem wolno. Tobołek, który niosłem, ważył mniej jak dziesięć kilogramów, a przecież ciążył mi dotkliwie. Miałem w nim szynkę, płaszcz pasiak i trochę brudnej bielizny osobistej. Wracałem brudny, zarośnięty, zapuchnięty, na chorych nogach, podpierając się kijem. Tak dowlokłem się do szosy w Piastowie. Przystanąłem. Mijały mnie samochody osobowe rażno mknąc w kierunku Warszawy i w stronę przeciwną do Pruszkowa. Siedzący w nich pasażerowie elegancko ubrani, w nieco przydługich marynarkach (ostatni krzyk mody paryskiej), pasażerowie wojskowi w brunatnych koszulach i zielonych krawatach, z paskami koalicyjnymi przez ramię. Wyglądali na domytych, a nawet wypielegnowanych. Ktokolwiek na mnie spojrział, obracał głowę z jakimś grymasem na twarzy. Powlokłem się dalej przez Piastów. Na ul. Kasprowicza spotkał mnie sąsiad z następnego domu, nazwiskiem Rurkowski. Jechał na rowerze. Zatrzymał się. Wyraził swoją radość z mojego powrotu. Wziął mi tobołek na rower i podwiózł do furtki mojego domku. To już tu. Powróciłem.

Nacisnąłem dzwonek znajdujący się przy furtce. Z domu wyszła moja żona. Jak mnie ujrzała, zaniemówiła. W domu wszyscy mnie mieli za straconego, ona jedna wierzyła w mój powrót. Jej wiara stała się teraz rzeczywistością. W domu zastałem obie córki. Tę starszą – Hanię, która podczas naszego aresztowania wybroniła się od wysyłki do Kinderhausu²²³, i tę młodszą – Lilę, urodzoną w warunkach więziennych na Pawiaku, która miała już bez mała rok. Następnie przebywały u mojej żony obie matki, moja i żony, oraz żony siostra.

Zrazu wydawało się, że powiemy sobie dużo, jednak zmęczenie było tak duże i powrót tak niespodziewany, że wszystkim jakby odebrało mowę. Dowiedziałem się tyle, że staraniem patronatu więziennego RGO²²⁴ trzynaście matek i czternaścioro dzieci udało się wywieźć z Pawiaka w przeddzień wybuchu powstania w Warszawie. W liczbie tych matek znalazła się moja żona Emilia z córką, wówczas niespełna dwumiesięczną.

²²³ (niem.) Dom dziecka.

²²⁴ Rada Główna Opiekuńcza – organizacja charytatywna udzielająca pomocy Polakom w czasie obu wojen światowych, działająca za zgodą władz okupacyjnych. W czasie II wojny światowej działała od 1940 r. do stycznia 1945 r.

Przy pomocy dobrych ludzi ostatnią kolejką EKD²²⁵ dostała się do stacji Malichy²²⁶, a stamtąd do domu.

W chwili mojego powrotu córka urodzona na Pawiaku, kiedy po raz pierwszy ujrzała ojca miała prawie rok. Długo mi się przyglądała dobrymi swymi oczętami, a przecież wyglądałem mało zachwycająco. W tej godzinie wydała mi się dojrzałą, rozumieliśmy się.

W domu zastałem dużą biedę. Chore kobiety w zmienionych warunkach długo borykały się z losem. Skromne środki na życie zdobywała moja żona. Od tej pory rozpoczął się inny rozdział w życiu.

²²⁵ Elektryczna Kolej Dojazdowa, obecnie Warszawska Kolej Dojazdowa.

²²⁶ Stacja kolejowa w Pruszkowie, znajdująca się w pobliżu Piastowa.

Suplement

Na temat warunków życia, męczeństwa i śmierci więźniów zamkniętych w niemieckich obozach koncentracyjnych napisano już wiele pamiętników i artykułów prasowych, wydano wiele książek, wygłoszono wiele przemówień przy okazjach rocznicowych i okolicznościowych. W pierwszych latach po wojnie rosły w liczbę pamiętniki. Jeśli uważny badacz tamtych czasów weźmie je do ręki, nie dowie się z nich całej prawdy. W większości przypadków pisane one były przez więźniów na funkcjach, a nawet przez kapo. Ludzie ci, choć wiele widzieli, nie mogą pisać całej prawdy, ponieważ sami wielokrotnie współdziałali w mordowaniu więźniów szeregowych.

Nie było przypadkiem powierzenie funkcji nadzoru nad więźniami reneгатom i zwyrodnialcom różnych narodowości, także Polakom. Jednemu z nich, Waławowi Kozłowskiemu, w czerwcu 1946 r. polski sąd wymierzył karę śmierci. Inni – których potworne okrucieństwo popełnione na więźniach szeregowych, przerastające często zbrodnie Kozłowskiego – uniknęli kary, korzystają z przywilejów prawa obywatelskiego, przeniknęli nawet do organizacji kombatanckich, jako że czas wszystko zaciera.

Bunkry na ruinach byłych zakładów benzyny syntetycznej w Policach w zakrzepłej masie betonu są nosicielami tajemnicy śmierci wielu tysięcy więźniów. Obecnie trudno określić dokładną liczbę zamęczonych i zamordowanych. Najlepiej w tych sprawach był zorientowany więzień na funkcji pisarza obozowego, Niemiec o nazwisku Schneider. Jemu to komendant obozu powierzył 23 kwietnia 1945 r. zadanie zniszczenia wszelkich akt kancelaryjnych.

Drugą osobą dobrze wtajemniczoną był kapo-lekarz Bolesław Kaczyński. To on sprawował nadzór nad stanem zdrowotnym więźniów. Uczestniczył we wszystkich przyjęciach i wysyłkach więźniów. Codziennie składał raport o stanie chorych i zmarłych więźniów. Niezależnie od tego doskonale orientował się w ilości zamęczonych i rozstrzelanych. W marcu 1945 r. brał udział w segregacji więźniów z ostatniego transportu na stacji kolejowej w Policach. Odrzucono wówczas ponad tysiąc więźniów, jako nienadających się do ciężkiej pracy. Do obozu ich nie wpuszczono, nie mieli także dokąd wracać, więc wykończono ich w pobliżu stacji. Na rewirze decyzja Kaczyńskiego, a nawet opinia, równała się często wyrokowi śmierci.

Dokładną liczbę więźniów, którzy przeszli przez obóz pod Policami, trudno ustalić. Według moich obserwacji ogólny stan ewidencyjny więźniów wahał się w granicach ok. 6 tys. osób. Jeśli od tego odjąć uratowanych chorych (ok. 200), ewakuowanych

(ok. 350) i pozostałych po ewakuacji (30), to około 5,4 tys. więźniów zostało zamęczonych w samym obozie lub poza nim. Spośród ewakuowanych pieszo, po drodze zastrzelono ośmiu więźniów, jednego niemieckiego kapo zwolniono. Pod Warnemünde również zginęło kilku więźniów. Wolność odzyskało ok. 300 więźniów ewakuowanych pod Warnemünde, w tym połowa funkcyjnych i kapo. To ponura statystyka. Kilka osób po odzyskaniu wolności zmarło na skutek ogólnego wyczerpania fizycznego i z powodu nabytych chorób.

Z liczby 210 Jugosłowian przybyłych transportem z Buchenwaldu, uratował się jeden, który jako krawiec został zatrudniony do naprawy mundurów esesmanów. Podobnie wyginęli Litwini. Przybyło ich do obozu ok. 130, uratowało się czterech – w tym Jonas Lipcius. Żydzi, którzy przybyli z ostatnim transportem z Bergen-Belsen, wyginęli wszyscy. Stosunkowo najmniej zginęło Niemców. Traktowani byli jako uprzywilejowani. Poza funkcją kapo, pełnili też inne funkcje obozowe i zaliczani byli do nadzoru.

Z wielkiego dzieła przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy pozostały kruche wspomnienia. Widomymi znakami tych wspomnień są bunkry, schrony i szczątki budowli. Na obszarze dawnej fabryki plenią się bujne chwasty. Nie zatarły się jeszcze ślady po bombach w postaci lejów.

Jałową ziemię polickich lasów użyźniły tysiące ciał zamęczonych i zamordowanych więźniów. Na miejscach mogił rosną nowe lasy. Po innych, nierozpoznanych, deptają ludzkie stopy. Czas zaciera wszelkie ślady. Jedyne prąctwo leśne z nadejściem wiosny swoim śpiewem rozgłasza nad mogiłami pieśń miłości, pieśń życia – innego, lepszego niż tamto, któremu wtórowali ich przodkowie.

Posłowie

Mimo bogatej literatury dotyczącej hitlerowskich obozów koncentracyjnych, o wielu wciąż wiadomo niewiele, np. o filii KL Stutthof w Policach koło Szczecina. Dlaczego? Po pierwsze oprawcy starali się, na ile zdążyli, zatrzeć ślady swojej zbrodniczej działalności przed ewakuacją pozostałych przy życiu więźniów i likwidacją obozu. Po drugie, niewiele – zwłaszcza szeregowych – więźniów przeżyło to miejsce kaźni. Tym, którzy pozostali przy życiu, często brakowało siły psychofizycznej i/lub chęci do przekazania potomnym tego, co było ich tragicznym udziałem.

Warto, aby poprzez napisane wspomnienia przemówił Józef Jagodziński – mój Ojciec, jeden ze świadków tamtych dni – i ożywił milczący kamienny pomnik w Policach. Przerażający los zadreżonych tam ludzi nie powinien ulec zniekształceniu przez oddalenie w czasie. Pomnik ten powinien przemawiać do wyobraźni i pozostać dla przyszłych pokoleń nie tylko jako legenda, ale jako przestroga. Należy zwrócić szczególną uwagę na ciężki los tzw. Więźniów szeregowych (nie pełniących żadnej funkcji obozowej), wśród których był autor wspomnień.

Relacja dotycząca warunków życia w obozie Stutthof (od 24 maja 1944 r. do 28 czerwca 1944 r.) i w jego podobozie w Policach (od 29 czerwca 1944 r. do 25 kwietnia 1945 r.) jest tylko częścią wspomnień obejmujących cały okres II wojny światowej.

Przed aresztowaniem przez Gestapo 18 marca 1944 r. i osadzeniem na Pawiaku – wraz z ciężarną żoną Emilią Jagodzińską – Ojciec działał czynnie w Związku Walki Zbrojnej, a następnie w Armii Krajowej. Swoją konspiracyjną działalność rozpoczął wkrótce po udanej ucieczce z grupy jeńców wyprowadzonych z miasta po klęsce Cywilnej Obrony Warszawy we wrześniu 1939 r.

Opisując wydarzenia, które przeżył, chciał pokazać autentyczny obraz tamtych tragicznych lat, ku pamięci rodziny, rodaków i wszystkich tych, którzy interesują się historią. Wspomnienia dla przyszłych pokoleń miały stanowić świadectwo zbrodni, do jakich zdolne są systemy totalitarne, oraz służyć zachowaniu prawdy historycznej, która niezbędna jest do prowadzenia mądrej polityki. Dla pełnej realizacji zamierzeń, niezbędnym było ich wydanie drukiem.

Ojciec zaczął opisywać swoje przeżycia już w latach 1946–1947, na podstawie szczegółowych notatek sporządzonych krótko po powrocie z niewoli. Są one zatem niemal bezpośrednią relacją szeregowego więźnia nazistowskiego obozu koncentracyjnego. Znaczna część autorów wspomnień obozowych pełniła różnego rodzaju funkcje. Zwiększało

to ich szanse na przeżycie, ale inny był ich punkt widzenia, a przez to odmienna ocena otaczających wydarzeń. Należy zaznaczyć, że nie wszyscy więźniowie funkcyjni byli psychopatami wypranymi z ludzkich uczuć. Była wśród nich pewna liczba ludzi, którzy w ekstremalnych warunkach, obecnie trudnych do wyobrażenia, służyli pomocą innym w przetrwaniu, choć nie zawsze bezinteresownie.

Przez wiele lat wspomnienia Ojca przeleżały w biurku. W Polsce sprzed 1989 r. nie można było opublikować ich w całości, zawierały bowiem treści niezgodne z poprawnością polityczną tamtych czasów. Ojciec nie zmierzał ich „naginać” za cenę możliwości ich wydania. Do tej pory opublikowano jedynie fragment w postaci rozdziału zatytułowanego *W celi w książce Pawiak był etapem* opracowanej przez Reginę Domańską.

Po zmianie sytuacji politycznej w Polsce powstały okoliczności sprzyjające szerszej publikacji napisanych wspomnień. Na początku były jednak pilniejsze tematy do popularyzacji, a Józef Jagodziński od kilkunastu lat był już na emeryturze, nie miał już takich sił i możliwości, jak człowiek w kwiecie wieku. Jednak marzenie o publikacji wspomnień – zwłaszcza najtragiczniejszej ich części, dotyczącej pobytu w obozie Stutthof i jego podobozie w Policach – trwało. Szkoda, że nie dożył chwili, gdy Jego wspomnieniami zainteresował się Paweł Knap – młody historyk, pracownik szczecińskiego Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej.

Dla pełniejszego zrozumienia i odbioru informacji oraz odczuć autora zawartych we wspomnieniach, warto przybliżyć Jego postać i kształtowanie się osobowości na tle okoliczności i warunków życia. Każdą hitlerowską mogła przetrwać – i do tego nie ulec odczłowieczeniu – tylko bardzo silna osoba. Musiał to być człowiek z dużą ilością sił witalnych, z silną wolą przeżycia, z wysokim morale, z ogromnym szczęściem, a przede wszystkim ze wsparciem Opatrzności, która pomagała w utrzymaniu wiary i nadziei. Wielu więźniów, na skutek tragicznych przeżyć, zwątpiło lub utraciło wiarę – i w Boga, i w ludzi – ale wielu wiara i nadzieja pomogły w przetrwaniu.

Mój Ojciec od młodych lat miał duszę kronikarza. Na ile czas pozwolił, starał się notować i opisywać ważniejsze przeżycia i wydarzenia z życia rodzinnego na tle tego, co działo się wokół. Niestety, nie wszystko przetrwało wojenne zawirowania. W moim posiadaniu, poza wspomnianą wyżej relacją z lat II wojny światowej, znajdują się zapiski Ojca sporządzone ręcznie w zeszytach. Zanotował w nich, w różnej formie, przebieg swojego pracowitego i odpowiedzialnego życia, tak rodzinnego, jak i zawodowego.

Zarys biografii Ojca przedstawiam w oparciu o ustne i pisemne przekazy rodzinne, niektóre ocalałe dokumenty i to, co w miarę dorastania sama mogłam zaobserwować i zapamiętać.

Józef Jagodziński urodził się w okolicy Ogrodu Saskiego w Warszawie 11 maja 1905 r., jako ostatnie dziecko Franciszka i Antoniny Jagodzińskich. Miał starszą o sześć lat siostrę Janinę i starszego o prawie cztery lata brata Kazimierza. Jako dziecko, jak sam mówił, „czерpał siły z pokarmu matki i z powietrza w Ogrodzie Saskim”.

Mój dziadek Franciszek, pracownik warszawskiego magistratu, zaangażowany był w działalność Polskiej Partii Socjalistycznej i po niepokojach 1905 r. musiał myśleć o zmianie miejsca pracy i zamieszkania. Rodzina przeniosła się wpierw na ul. Krochmalną,

a w szóstym roku życia Ojca do Mokotowa, wówczas leżącego za rogatkami Warszawy. Cytuję: „Sprzyjały temu okoliczności podziału schedy po dziadku Jagodzińskim. Pieniądze te, połączone z oszczędnościami, umożliwiły założenie własnego przedsiębiorstwa przewozowego”. Do wybuchu I wojny światowej chłopięce lata Ojca płynęły spokojnie i w dostatku. Jako mały chłopiec, jeszcze przed rozpoczęciem szkoły, z książek starszego brata nauczył się czytać po polsku i po rosyjsku. Naukę rozpoczął w 1912 r. w szkole z wykładowym językiem rosyjskim.

Po wybuchu wojny latem 1914 r. sytuacja rodziny skomplikowała się. W obliczu wojennego zagrożenia, głodu i dotkliwych braków niezbędnych środków do przeżycia, trzeba było przede wszystkim zadbać o przetrwanie. Sprawa edukacji Ojca była utrudniona – jedne szkoły zamykano, inne otwierano, zmieniały się języki, brakowało programów nauczania, nauczycieli i podręczników. Dopiero po wyzwoleniu mógł dokończyć ostatnią klasę szkoły powszechnej i po dobrze zdanych egzaminach wstępnych rozpoczął naukę w prestiżowej wówczas Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców Miasta Stołecznego Warszawy. Ukończył ją w 1925 r. Wkrótce został powołany do odbycia służby wojskowej. Dla Ojca, który w listopadzie 1918 r., jako 13-letni chłopak, specjalnie udał się na dworzec kolejowy w Warszawie, aby zobaczyć powitanie Józefa Piłsudskiego, odbycie służby wojskowej w niepodległej Polsce było oczywistym zaszczytem i patriotycznym przeżyciem. Na rozbudzanie uczuć patriotycznych Ojca ogromny wpływ miał starszy brat Kazimierz, który był dla Niego wzorem cnót młodego Polaka. Kazimierz, jako ułan krechowiecki, brał udział w walkach o Lwów, a następnie w wojnie polsko-rosyjskiej 1920 r. Niestety, został ranny i zachorował na gruźlicę, która stała się później przyczyną jego przedwczesnej śmierci.

Jeszcze przed powołaniem do wojska Ojciec poznał swoją przyszłą żonę, Emilię Denską. Po zakończeniu służby stanął przed wyborem: studia czy małżeństwo? Pragnął kontynuować naukę i być z ukochaną osobą. Postanowił zatem i pracować, i studiować. Znajomość narzeczonych wytrzymała próbę czasu i zaowocowała małżeństwem zawartym 26 października 1929 r. Wkrótce po ślubie Ojciec spisał *Wspomnienia*, które powstały na podstawie listów wymienianych w czasie odbywania służby wojskowej w Rembertowie. Tam w 1928 r. Ojciec ukończył Szkołę Podchorążych Wojsk Łączności.

Niestety, marzenia o dalszej nauce musiał odłożyć na około 20 lat. Wcześniejsza ich realizacja stała się niemożliwa w warunkach światowego kryzysu i z powodu nieoczekiwanej choroby żony. Musiał dużo pracować dla zapewnienia bytu rodzinie, zwłaszcza że w 1933 r. przyszła na świat moja starsza siostra Hanna. Gdy sytuacja finansowa rodziny zaczęła się wreszcie poprawiać, nastąpił wybuch II wojny światowej. Priorytetem dla rodziców stała się wolna ojczyzna.

Po klęsce hitlerowskich Niemiec nie mogliśmy jednak cieszyć się pełnią wolności, mimo walki Polaków na niemal wszystkich frontach świata, ogromnej liczby ofiar i cierpienia naszego narodu. W powojennej Polsce wciąż następowały aresztowania i tortury. Po ogromnej radości, że rodzina niemal w komplecie przeżyła wojnę i po rekonwalescencji Ojca, rodzice musieli na pewien czas wyjechać z Piastowa. W czasie okupacji istniały tam silne ruchy lewicowe i jako działacze Armii Krajowej rodzice nie chcieli wpaść, tym

razem w ręce Urzędu Bezpieczeństwa. Zostawiliśmy w domu babcię Antoninę Jagodzińską, która zamieszkała u nas z powodu zbombardowania jej mieszkania na Mokotowie.

Na trzy lata przenieśliśmy się do Starogardu Gdańskiego. Tam Ojciec poświęcił się – obok pracy zarobkowej – działalności społecznej. Osłabiony przeżyciami obozowymi stwierdził, że trzeba zabrać się za odbudowę kraju i w ten sposób przygotować ojczyznę do odzyskania niepodległości. W Starogardzie otrzymaliśmy mieszkanie kwaterekowe, a Ojciec pracę urzędnika – najpierw w Starostwie, później w zakładach farmaceutycznych „Polfarma”. Jak wspomina: „Kiedy dałem się lepiej poznać w kręgach społecznych Starogardu i gdy zbliżały się wybory do Sejmu w 1947 r., przybył do nas do mieszkania zastępca I sekretarza powiatowego P[olskiej] P[artii] R[obotniczej] z formularzem i propozycją zapisania się do partii, odmówiłem. Kilka tygodni później ponowił propozycję, odmówiłem. Następnie zaprosił mnie I sekretarz towarzysz Toruniak na rozmowę, i tym razem nie zgłosiłem akcesu do partii”.

Nadszedł 1948 r. W Piastowie zmniejszyła się aktywność w poszukiwaniu „wrogów ludu pracującego miast i wsi”. Domek wymagał pilnego remontu, a babci przybywało lat. Ojciec po znalezieniu pracy w Przedsiębiorstwie Państwowym „Film Polski” zorganizował powrót rodziny do domu w Piastowie. „Trafiłem do pracy w pionie dyrektora handlowego Mariusza Giniatowicza, który ocenił moją przydatność i powierzył mi organizację rachunkowości we wszystkich jednostkach podległych naczelnej dyrekcji” – wspominał.

W styczniu 1949 r. Giniatowicz został konsultantem w Biurze Organizacji Rachunkowości i zaproponował Ojcu przejście do tego biura. Praca była „samodzielna, organizacyjno-badawcza i wdrożeniowa. W ramach szkolenia pracowników najpierw sam szkoliłem się na kursach prowadzonych przez pracowników S[zkoly] G[łówniej] P[lanowania] i S[tatystyki] i pomyślnie zdawałem egzaminy, następnie szkoliłem młodych pracowników. Dla absolwentów szkół ekonomicznych stworzono seminarium ze specjalnością rachunkowość, którego celem było praktyczne przysposobienie do pracy”.

Później Ojciec pracował w Centralnym Zarządzie Szkolenia Zawodowego Ministerstwa Finansów. Wkrótce przeniósł się do Departamentu Księgowości Ministerstwa Budownictwa, gdzie 1 kwietnia 1952 r. został zaangażowany na stanowisku kierownika Działu Księgowo-Finansowego w Centralnym Zarządzie Budownictwa Przemysłowego Śląsk. Od 1 stycznia 1955 r. pracował jako główny księgowy Centralnego Zarządu Budownictwa Przemysłowego Śląsk, co wiązało się z bardzo częstymi delegacjami. W tym czasie prowadził także szkolenia dla pracowników kontroli z zakresu rewizji finansowo-księgowej. W związku z tym zaproponowano mu przeniesienie się na stałe do pracy w Ministerstwie Kontroli Państwowej, ale z tej propozycji nie skorzystał. Krótko przed powołaniem na głównego księgowego, kolejny raz zaproponowano Ojcu wstąpienie do partii, roztaczając wizję objęcia stanowiska dyrektora departamentu. W swoim zeszycie Ojciec zapisał: „I sekretarz Centralnego Zarządu towarzysz Gwizdała dostarczył mi deklarację, abym ją wypełnił i wstąpił do partii, gdyż K[omitte] C[entralny] P[olskiej] Z[jednoczonej] P[artii] R[obotniczej] chciałby szerzej rozwinąć ze mną współpracę. Oczywiście po raz kolejny odmówiłem. W mojej naturze leży niezależny i krytyczny sposób myślenia,

także w stosunku do siebie. Ponad wszystko cenię sobie wolność myślenia i działania, a nie wykonywanie narzuconych dyrektyw obcych mojemu przekonaniu”.

Kilka miesięcy później przeniósł się do Biura Norm Budowlano-Montażowych w Urzędzie Rady Ministrów na stanowisko starszego radcy. Biuro to poznał już wcześniej, podczas dostarczania tam analiz i zestawień kosztów produkcji budowlano-montażowych. Następnie, od 1 września 1960 r., w ramach zmian organizacyjnych Biuro Norm zostało włączone do nowo utworzonego Komitetu Budownictwa Urbanistyki i Architektury.

15 lipca 1963 r. ważnym wydarzeniem zawodowym było uznanie osiągnięć Ojca w zakresie rachunkowości przez Ministra Finansów i nadanie tytułu zawodowego „dyplomowanego biegłego księgowego” ze specjalnością w zakresie budownictwa. Dalsze lata pracy Ojca w Departamencie Norm i Cen mijały szybko. W maju 1970 r. Ojciec skończył 65 lat, zbliżała się emerytura, a kadry przypominały o gromadzeniu dokumentów potrzebnych do jej naliczenia.

Mimo przejścia na emeryturę, jeszcze przez kilka lat Ojciec nadal otrzymywał prace zlecone, głównie badanie bilansów. W lutym 1970 r., podczas badania bilansu za rok 1969 w Przedsiębiorstwie Robót Elektrycznych „Elektromontaż” w Szczecinie, dyrektor do spraw technicznych inż. Wagner zaaranżował spotkanie Ojca z dziennikarzami „Kurieria Szczecińskiego”. Cytując: „Dnia 10 lutego udzieliłem wywiadu dotyczącego więzienia mnie w obozie w Policach. Dnia 12 lutego w »Kurierze Szczecińskim« ukazał się z moim zdjęciem artykuł pod tytułem »Czego nie napisał Albert Speer«, podpisał go B. Chocianowicz, który notował moją wypowiedź. Drobne usterki nie zmieniły głównej myśli wypowiedzi”. Artykuł wywołał zainteresowanie w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich i zmotywował Ojca do opracowania *Bunkrów na ruinach* na podstawie spisanych wcześniej wspomnień.

Przez niemal 20 lat pracy w powojennej Polsce (z małymi wyjątkami) Ojciec spędzał swój wolny czas pracując przy domu i w ogródku w Piastowie. Tu najlepiej odpoczywał i odreagowywał stresy związane z odpowiedzialną pracą. Prawdopodobnie to aktywność, brak nałogów oraz miłość i oddanie najbliższych w dużej mierze zadecydowały o długości życia. Do osiągnięcia 100 lat zabrakło jednak sił.

Tak się złożyło, że obie z siostrą, w tym samym 1970 r. opuściłyśmy ciepły dom rodzinny i spracowani rodzice, po latach tętniącego życiem domu, pozostali w nim sami. Siostra Hanna Pijewska, po kilkunastu latach oczekiwania, otrzymała własne mieszkanie na Saskiej Kępie w Warszawie, gdzie przenieśli się wraz z wówczas 15-letnią córką Danutą. Ja, po związaniu się w 1969 r. z Edwardem Hamannem, przenieśliśmy się do naszego małego mieszkania na osiedlu Za Żelazną Bramą w Warszawie – blisko miejsca, gdzie urodził się Ojciec i niezbyt daleko od miejsca moich narodzin na Pawiaku. Na szczęście Piastów leży tylko 14 km od Warszawy i wprawdzie nie codziennie, ale bardzo często tam bywaliśmy. Rodzice dobrze rozumieli, że każde małżeństwo powinno tworzyć własny dom w oparciu o te wartości, które zostały im wpojone w domach rodzinnych i w oparciu o własną pracę.

Do starszych już rodziców przyjeżdżaliśmy nie z obowiązku, lecz z naturalnej potrzeby serca, aby ich wspomagać w codziennym życiu. Choroby nękające rodziców miały związek w znacznej części z przejściami okresu wojny. Jedną z nich był opisywany w medycynie powojennej syndrom KZ-lager. Mimo ciężkich przeżyć i przewlekłych schorzeń oboje, każde w swoim zakresie, wypełniając często ponad siły liczne obowiązki, wychowali i wykształcili obie córki. Siostra Hanna skończyła Wydział Geologii na Politechnice Gdańskiej w 1956 r., a ja Akademię Medyczną w Warszawie w 1968 r.

Rodzice bardzo pomogli przy wychowaniu swoich ukochanych wnuczek: najstarszej Danuty (córką Hanny i Wiesława Pijewskich) urodzonej w 1955 r. oraz dwóch moich córek, Małgorzaty i Anny, urodzonych w 1972 i 1975 r. Również w 1975 r. doczekali się pierwszej prawnuczki, Natalii (córką Danuty i Konstantego Gebertów). W 1998 r. Ojcu udało się jeszcze zobaczyć i ucieszyć z narodzin drugiej prawnuczki, Ewy (córką Małgorzaty i Piotra Dregerów).

Mama niestety niespodziewanie zmarła osiem lat przed narodzinami Ewy. „Z głębokim bólem notuję zgon mojej jedynej i najdroższej Miteczki (Emilii Jagodzińskiej z domu Denskiej), ukochanej żony, matki, babci i prababci, urodzonej w Warszawie dnia 2 sierpnia 1907 r. Zmarła dnia 23 września 1990 r. o godzinie 7 rano we własnym domu w Piastowie. Przeżyła 83 lata i 52 dni, a w małżeństwie ze mną 61 lat bez 33 dni”. Powyższą notatką Ojciec zakończył pisanie w zeszytach.

Po śmierci mamy do 1999 r. Ojciec był sprawny w codziennym życiu i mógł mieszkac samodzielnie (do 92. roku życia jeździł na rowerze). Potrzebował jedynie pomocy przy wykonywaniu cięższych i bardziej skomplikowanych prac. W wieku 94 lat ciężko zachorował, potem przez blisko trzy lata potrzebował już stale naszej opieki.

Józef Jagodziński zakończył życie podczas snu, przy czuwających córkach i zięciu, o godzinie 3 nad ranem 21 stycznia 2002 r. w domu w Piastowie. Odszedł do wieczności człowiek silny duchem i ciałem. Pozostawił jednak po sobie ślad w córkach, którym wpoił swoje podstawowe wartości życiowe.

Lilii Jagodzińska-Hamann
(napisane 8 maja 2009 r. w Piastowie,
przy biurku autora *Bunkrów na ruinach*)

Indeks osobowy

- Anders Władysław 29, 50, 133
Andrasik 42, 45, 46, 47, 53, 56, 58, 78,
83, 93
Antek 67
Bergius Friedrich 9
Bielajew 83, 96
Biernacki Andrzej 16
Biernat Stanisław 27, 37
Bilkowsky Emil 26, 27, 28, 30, 31, 33,
35, 36
Bojko Eugeniusz 16, 43, 69, 71, 72, 73,
76, 77, 80, 83, 84, 85, 86, 95, 97,
102, 107, 108, 112
Bolek 87, 91, 92, 93, 94, 107
Borowski Tadeusz 16
„Bór”, zob. Komorowski Tadeusz
Brzoskowski Stanisław 65, 66, 78
Chmielewski Zdzisław 13
Chmurkowski Feliks 25
Chocianowicz Bogdan 155
Chruściel Antoni 55
Chyrek Agnieszka, zob. Kłys Agnieszka
„Cygan” Robert 43, 80, 81
Czajkowski Tadeusz 48, 49, 50, 65, 66,
68, 73, 80
Czejarek Roman 18
Denska Emilia, zob. Jagodzińska Emilia
Denska Eugenia 33
Dębski Józef 69
Domańska Regina 17, 152
Dreger Ewa 156
Dreger Małgorzata 156
Dreger Piotr 156
Drywa Danuta 9, 18
Dulęba Michał 88, 91, 107, 112, 113,
114, 115, 116, 117, 118, 119, 120,
121, 122, 123, 124, 125, 126, 127,
128, 129, 130, 131, 132, 134, 135,
139, 140, 141, 142, 143, 144, 145,
146
Dunin-Wąsowicz Krzysztof 10, 14, 16,
26, 32, 49
Dybowski 36
Ehle Paul 42
Faryński Stanisław 65, 74, 77, 78, 89, 94
Ferenc Ewa 14
Franek 79, 109
Frankiewicz Bogdan 9, 10, 14
Frankowski Marek Tadeusz 11
Friedrich Richard 77, 84
Gabrych Michał 29, 30, 47, 48, 50, 55,
57, 58, 62
Garbarczyk Waclaw 84, 85
Gąsiorowski Andrzej 32
Gebert Danuta 156
Gebert Konstanty 156
Gebert Natalia 156
Gebs Erich 37, 44, 46
Giniatowicz Mariusz 154
Gliński Mirosław 10, 11, 12, 42
Głowacki Włodzimierz 28, 30, 31
Golczewski Kazimierz 12
Golon Mirosław 18
Gołowacz Czesław 14
Gorczyca Agnieszka 18
Górski Grzegorz 24
Grabowska Janina 9, 12
Grot Elżbieta 9, 11, 18

- „Gruby Jurek” 37, 39, 43, 46, 58, 60, 86,
102, 108, 112
- Grzęda Marian 14
- Gwizdała 154
- Hamann Anna 156
- Hamann Edward 155
- Hamann Małgorzata, zob. Dreger
Małgorzata
- Heydecke 12, 16
- Hitler Adolf 19, 41, 55, 62, 132, 133
- Hofmann Tadeusz 80
- Höltzel Alfred 77, 84
- „Igiełka”, zob. Volkmann Kurt
- Jagodzińska Antonina 152, 154
- Jagodzińska Emilia 17, 33, 147, 151,
153, 156
- Jagodzińska Hanna, zob. Pijewska Hanna
- Jagodzińska Janina, zob. Wiśniewska
Janina
- Jagodzińska-Hamann Lilii 17, 18, 33,
156
- Jagodziński Franciszek 152
- Jagodziński Kazimierz 152, 153
- „Jagódka”, zob. Pijewska Hanna
- Jakubowski Stefan 65, 66, 78
- Janiszewski Ludwik 13
- Jeziarska Maria 9, 10, 14
- Jurek 74
- Jurkiewicz Janusz Leszek 14
- Kaczmarek Czesław 63, 64, 67, 86, 87,
90, 93, 94, 99, 102, 107
- Kaczyńska Maria 94
- Kaczyński Bolesław 16, 17, 26, 42, 45,
46, 53, 61, 65, 68, 69, 71, 72, 75, 76,
77, 79, 80, 83, 85, 86, 90, 91, 94, 95,
96, 97, 99, 102, 104, 105, 107, 108,
112, 149
- Kamiński Tadeusz 42, 68, 71, 72, 73, 75,
76, 80, 83, 86, 102, 107, 108, 112
- Kasprowicz Władysław 50, 59, 67
- Kitkowski Józef 72, 73, 74, 78
- Kliche Holger 14
- Kłys Agnieszka 18, 24
- Kłys Jan Antoni 14
- Knap Paweł 16, 18, 152
- Komorowski Tadeusz, ps. „Bór” 56
- Kosieradzki Lucjan 97
- „Kozioł”, zob. Kozłowski Waclaw
- Kozłowski Waclaw 11, 26, 34, 35, 37, 39,
41, 42, 43, 44, 45, 46, 47, 48, 49, 51,
52, 53, 54, 56, 58, 59, 60, 61, 63, 64,
65, 68, 69, 74, 75, 78, 83, 86, 87, 88,
90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 100,
102, 104, 105, 106, 107, 108, 109,
110, 111, 121, 149
- Krupa Bartłomiej 15, 16
- „Krwiozerczy Antek” 73
- Krystyniak Stanisław 72, 76, 83, 86
- Krzysiek 65, 68, 96
- Książak Leon 114, 115, 116, 117, 118,
119, 120, 121, 122, 123, 124, 125,
126, 127, 129, 130, 132, 134, 135,
136
- Kübler Gottlob 37, 43, 44, 45, 48, 49,
50, 53, 55, 59, 60, 63, 66, 67, 81, 96,
98
- Kuhlmann Hans 10
- Lambert Maciej 12, 14, 16, 17
- Lasik Aleksander 11
- Leszczyński Wiesław 18
- Ligarski Sebastian 18
- Lipcius Jonas 75, 76, 77, 79, 83, 96, 97,
99, 102, 104, 105, 108, 112, 150
- Lizak Wojciech 18
- Lońka 53, 77, 78, 109
- Lutz Otto 88, 94, 96
- Lüge Gustaw 77, 84
- Łęgowski Jan 50, 68
- Łukasik Edward 42, 52, 56, 59, 83, 93
- „Łysy”, zob. Schamp Erich
- Maciejewska-Marcinkowska Hanna 32
- „Mały Jurek” 37, 43, 44, 46, 60
- Marciniak Franciszek 26, 27, 28, 29, 30,
32, 33, 34, 35, 36, 37

- Marcinkiewicz Marta 18
Matura Jakub 9, 18
Matura Jan 15, 18
Matynia Józef 13
Mąka Henryk 15
Messerschmitt Willy 51
Meyer Teodor 67
Mierzecka Wanda 16
„Miteczka”, zob. Jagodzińska Emilia
Mołotow Wiaczesław 133
Morylewski Bartosz 18
Moskowska Sergej 69
Musolf Max 36
Neumann Bruno 77, 84
Nowicki Jerzy 10, 14
Orski Marek 9, 10, 11, 12, 14, 20, 34, 36
Osóbka-Morawski Edward 133
Ostrowski Stanisław 43, 71, 83, 84, 86
Owsiński Marcin 9, 14, 30, 32, 65
Paul 68, 73
Pawlik Jan 74, 97
Pietruszka Jan 73, 82
Pietryga Izabela 18
Pijewska Danuta 155, 156
Pijewska Hanna 17, 153, 155, 156
Pijewski Wiesław 156
Piłsudski Józef 153
Pobłocki Józef 65, 66, 78
Polikarpow Nikołaaj 87
Przyklenk-Frankowski Paul 28, 43, 94, 98
Rostafiński Jan 16, 26, 27, 28, 30, 31,
32, 33, 34, 35, 36, 38
Rurkowski 147
Ryll Andrzej 98
Ryll Henryk 98
Schamp Erich 11, 37, 42, 56, 59, 64, 69,
76, 77, 83, 84, 85, 86
Schneider 43, 57, 58, 74, 76, 78, 80, 87,
90, 91, 93, 98, 149
Selonke Fritz 49
Semczyszyn Magdalena 18
Sette Ernst 10, 55
Siedziako Michał 18
„Siwek”, zob. Garbarczyk Wacław
Skubisz Paweł 18
Ślapak Łazar Borysowicz 42, 52, 80, 83
Słomiński Maciej 12
Soroka Antoni 13, 77, 78, 85, 115, 116
Speer Albert 15, 19, 155
Stalin Józef 55, 127, 133, 137, 139
Starenga Zofia 73
Staśkiewicz L. 17
Stefaniak Marcin 18
Sterkowicz Stanisław 16
Steyer Donald 9
Strzałkowski Stanisław 67, 72
Suliński Józef 31
Szary 43, 78
Szaszka 65, 97
Sziling Jan 24
Szulc Paweł 12, 14, 18
Szynkiewicz Gerard 16
Szynkiewicz Leonard 16
Todt Fritz 52
Toruniak 154
Usarek Leon 43, 68, 77, 79, 86, 91, 97,
100, 101, 102, 104, 107, 112
Volkman Kurt 11, 57, 67, 81, 87, 92,
96, 98
Wagner 155
Waldemar 109
Waluk Bronisław 10, 14
Werner Andrzej 16
Wiarus Roman 83, 86
Wiśniewska Janina 73, 152
Władek 118, 119, 121, 122, 123, 124,
125, 127, 129, 132, 134, 136, 143
Włodarkiewicz Władysław, zob. Gabrych
Michał
Wojak Tadeusz 17
Wojtkowiak Zbysław 15
Wójcik Franciszek 81, 84
Zawacka Elżbieta 32
„Zawisza”, zob. Suliński Józef

Zdrojewski Leszek 32, 38, 50

„Zębotłuk”, zob. Hofmann Tadeusz

„Zielonka” Herbert 49, 50, 60, 66, 82,
83, 95

„Żółw”, zob. Zdrojewski Leszek

Żurawski Zygmunt 42, 66, 67, 72, 73,
74, 77, 87, 89, 93, 102, 109